

NOWA Fantastyka

NUMER 5 (11/104)

MAJ 1991

CENA 8000 ZŁ

Brian W. Aldiss
SWASTYKA
David Brin
AKORD



**DICK
TRACY**

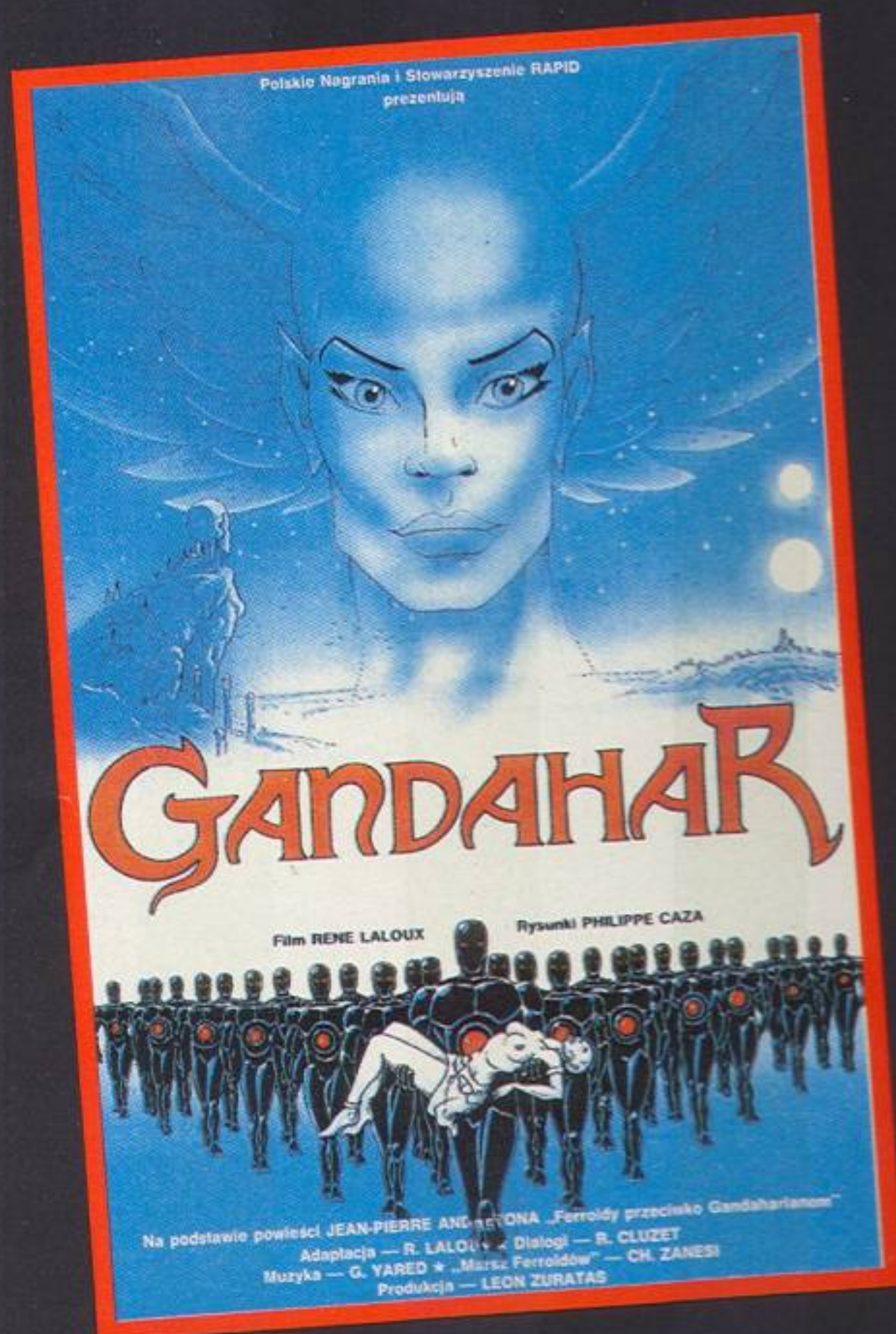
LUIS ROYO

POLSKIE NAGRANIA

NAJWIĘKSZA FIRMA FONOGRAFICZNA W POLSCE

PRZEDSTAWIA

GANDAHAR



FILM, KTÓRY
MUSISZ MIEĆ
W SWOJEJ
KOLEKCJI!

SZCZEGÓŁOWE INFORMACJE
W NASZYCH SKLEPACH FIRMOWYCH:

00-357 WARSZAWA, UL. NOWY ŚWIAT 68
☎ 26-13-76

02-603 WARSZAWA, UL. PUŁAWSKA 66/70
☎ 45-17-41

01-249 WARSZAWA, UL. GOLESZOWSKA 6
☎ 37-35-10 WEW. 206



PRZYJDŹ, ZOBACZ, WYBIERZ. CO MIESIĄC NOWOŚCI!

POLSKIE NAGRANIA, UL. GOLESZOWSKA 6, 01-249 WARSZAWA; ☎ 37-35-10; TELEX: 817831 FONAG PL, FAX: 37-37-35

Opowiadania i nowele

David Brin Akord	3
Brian W. Aldiss Swastyka!	15
Steven Bryan Bieler „Star Trek” – ostatnia parodia	22

Powieść

Orson Scott Card Gra Endera (5)	23
------------------------------------	----

Z polskiej fantastyki

Jacek Sobota Ręka Diabła	45
Jacek Komuda Czarna Cytadela	48

Film i fantastyka

Maciej Parowski Dusza na wierzchu	54
--------------------------------------	----

...3...2...1...

Adam Hollanek Ta nieobliczalna młodość (1)	60
---	----

Krytyka

Słownik polskich autorów fantastyki	60
Małgorzata Skórska Biblioteka Fantastyki	62
Barrington J. Bayley Nauka, religia i idea science fiction...	64

Recenzje	66
----------	----

Wśród fanów

Rolandas Maskoliunas Fandom litewski	68
---	----

Nauka i SF

Andrzej Marks Czy Gagarin był w kosmosie?	69
T. Zbigniew Dworak Księżycy bez planety	70

Bibliofil – Kinoman

Dorota Malinowska Papierowy Batman	72
---------------------------------------	----

Szanowny Czytelniku!

Czy to nie dziwne i niestosowne zajmować się fantastyką w czasie, kiedy ważą się losy Polski i poważnej części Europy, kiedy dni i tygodnie decydują o następnych latach i dziesięcioleciach? A przecież to właśnie science fiction od stulecia ćwiczy ludzi w ocenianiu teraźniejszości z punktu widzenia przyszłości. Przypomina też, że historia może potoczyć się (a jak twierdzą niektórzy, toczy się) różnymi drogami i to, którą drogą się potoczy, zależy od działań, które podejmiemy lub których zaniechamy dzisiaj. Jakiś parlament nie przegłosował środków na obronę i kraj stracił niepodległość na lat 120 albo na zawsze. A mogło zabraknąć kilku głosów! Jakimś ludziom nie chciało się dobrze pomyśleć i demokratycznie wybrali sobie Hitlera. Właśnie o Hitlerze, tej dziwnej postaci, w której w pewnym momencie skupiło się tyle zła, napisał swoje przewrotne opowiadanie Brian W. Aldiss. Pochodzi ono sprzed wielu lat i od dawna ostrzyłem sobie na nie zęby, ale dotychczas było „niedrukowalne”.

Stało się to okazją do zamieszczenia artykułu Barringtona J. Bayleya. Przeznaczony był pierwotnie do tomu „Spór o SF”, ale „nie przeszedł”, bo „w Poznaniu nie można było dobrze pisać o Hitlerze”. A przecież autor nie chwali Hitlera, stwierdza tylko, że to jego szalone pomysły doprowadziły pośrednio do programu kosmicznego Rosji i USA. Rzeczywiście to niemiecka pogoń za wunderwaffe – cudowną bronią nadała mocy eksperymentom raketowym. Przedtem amatorskie badania prowadził w USA dziwak Goddard, a w Związku Sowieckim grupa inżynierów-entuzjastów została rozpedzona i ukarana za „puszczanie kosztownych fajerwerków i odwracanie uwagi od zadań pięciolatki”. Ma też Bayley znakomite obserwacje na temat ruchu fanów SF jako pseudoreligii. Polecam lekturę tego błyskotliwego szkicu zawierającego myśli na kilka książek i przypominam, że Bayley jest autorem znakomitych opowiadań „Statek, który żeglował po oceanie kosmosu” (Kroki w nieznanne) oraz „Rejs po promieniu” (Raketowe szlaki 2).

Lech Jęczmyk

PS. Stałej czytelniczce Mirce Kuleszy z Zabrze i wszystkim, którzy nadesłali nam życzenia wielkanocne – serdeczne podziękowania.

L.J.



**ZA MIESIĄC SPOTKAMY SIĘ
W „NOWEJ FANTASTYCE”**

Funky Koval i Brenda Lear

Czytelnicy i „Fantastyka”

W ostatnich czterech numerach zamiast listów Czytelników drukowaliśmy listy, które nadesłali w odpowiedzi na naszą jubileuszową ankietę autorzy i krytycy współpracujący z „Fantastyką”. Tymczasem teczka z korespondencją od Państwa pęczniała. Wszelkie zaległości postaramy się odrobić jak najprędzej. Zaczynamy od głosów nawiązujących do setnego numeru naszego miesięcznika.



Fantastyczna „Fantastyko”!

Z okazji jubileuszu, jakim jest ujrzenie światła dziennego przez setny numer najwspanialszego z wszystkich znanych mi pism, życzę Tobie co najmniej stu lat istnienia. Lecz cóż znaczy sto lat w dziejach wszechświata? Życzę więc Tobie miliona lat w zdrowiu, szczęściu i pomyślności. Wszystkiego najlepszego!

Robert Klejnik
Rogów



Droga „Fantastyko”!

...„Fantastyka” towarzyszy mi od drugiego numeru aż do teraz. To dzięki temu pismu wyrobiłem sobie poglądy na temat literatury współczesnej i kształtowałem swoje możliwości jej odbioru. Na początku była tylko SF, ale z biegiem czasu moje zainteresowania zaczęły się poszerzać. Wasze pismo początkowo było dla mnie esencją, a przez ostatnie dwa i pół roku niezbędnym dodatkiem. Pamiętam czasy, kiedy liczyły się układy z kioskarkami, aby zdobyć „Fantastykę” bez ryzyka utraty numeru do rocznika. To Wy towarzyszyliście mi w tzw. zdobywaniu wiedzy o świecie i to czasami Wasze pismo wywierało na mnie większy wpływ w kształtowaniu poglądów na świat niż najlepsi nawet nauczyciele w szkole średniej. Chciałbym Wam gorąco za to podziękować i życzyć Wam jak największego nakładu, jak najpiękniejszego papieru, jak najlepszych autorów i spełnienia takiej roli edukacyjnej wśród młodego pokolenia, jak to było w moim przypadku...

Piotr Szelański
Poznań



Szanowna Redakcjo!

Pragnę pogratulować Wam z okazji wytrwania na orbicie (jakże niestabilnej w

ostatnich czasach) i życzyć Wam i sobie kolejnej przynajmniej setki numerów „Fantastyki”...

Piotr Mirecki
(nauczyciel, 25 lat)
Kalisz



Droga Redakcjo!

...Mam 14 lat i 10 miesięcy. Czytać się nauczyłem na zamieszczanym przez Was „Funkym” w wieku pięciu i pół roku. Po pół roku wziąłem się za opowiadania. Nie wszystkie czytam, ale mam swoje ulubione – czytam je, gdy czuję, że za moment przegryzę sobie żyły i zacznę wyć. Do takich utworów należą: „Gambit pionka”, „Już po wszystkim, Baby Blue...”, „Geheimnisnacht”, „Wielki Joe i N-te pokolenie” i wiele, wiele innych. (...) Życzę jak najdłuższego utrzymania się na rynku i wydawniczych sukcesów...

Maciej Komorowski
Turek



Szanowna Redakcjo!

Styczniowe wydanie „Fantastyki” miało numer 100. W związku z tym chcę podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania i istnienia tego Pisma, życzyć im zdrowia i dobrych pomysłów na kolejne 100 numerów. Wszystkiego najlepszego!

Mam wszystkie numery „Fantastyki”, od pierwszego do ostatniego. W tych dawnych już czasach, w roku 1982, „Fantastyka” wypełniła miejsce, które jakby na nią czekało. Wielu kolegów z mojego pokolenia pasjonuje się fantastyką w różnych odmianach. Niestety większość uważa, że ten gatunek dobry jest dla dzieci i młodzieży, dla nich jest zbyt niepoważny. Myślę, że my Polacy jesteśmy narodem przedwcześnie dojrzałym, zbyt poważnym, nie umiejącym się bawić i wstydzącym się radości i śmiechu. Faktem jest, że przez 45 lat nie było nam do śmiechu.

Nie sądzę, aby potrzebne były jakieś podsumowania Waszej działalności przez te lata. Jak wszędzie zdarzały się wzloty i upadki, ale „Fantastyka” zawierała taką różnorodność form i treści, które powinny zadowolić chyba wszystkich czytelników. Przez ten czas Pismo nie angażowało się w obowiązującą wówczas ideologię i chwala mu za to. (...)

Jeszcze raz życzę całej Redakcji i Wszystkim Współpracującym z nią zdrowia i szczęścia, a „Nowej Fantastyce”, żeby nie była efemeryczna jak gwiazda nowa, ale żeby nam świeciła 100 lat!

Piotr Pieniążek
Ustka



Szanowni Państwo!

Serdeczne pozdrowienia od grupy Waszych stałych czytelników i wielbicieli dobrej literatury fantastycznej (choć nie tylko). Całe pismo, w tej postaci, w jakiej ukazało się z numerem 100 jest OK! (...) Życzymy pomyślnego rozwiązania wszelkich Waszych kłopotów i „wyjścia na prostą” w ciągłym borykaniu się z regresem ekonomicznym.

Klub Miłośników
Fantastyki, Sensacji i Przygody
Szczecinek



Redaktorom-Pilotom „WWW”
Wspaniałego Wehikułu Wyobraźni
„Fantastyka Ltd”

Serdeczne gratulacje z okazji jubileuszu setnego rejsu oraz najlepsze życzenia dalszych niezwykłych podróży i coraz większej liczby Pasażerów-Czytelników składa

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE
Krzysztof Lewandowski
Bronisław Kiedzik

Tak dużą porcję komplementów i pochwał drukujemy z pewną dozą zażenowania, ale też i z satysfakcją. Podobnych listów z gratulacjami i życzeniami otrzymaliśmy znacznie więcej. Wszystkim serdecznie dziękujemy i zapewniamy, że nadal będziemy starać się nie zawieść oczekiwań Czytelników. Po jubileuszowych laurkach prosimy teraz o ostrą krytykę naszych niedociągnięć i wnikliwą ocenę wszystkich materiałów, które zamieszczamy w kolejnych numerach. Najciekawsze listy lub ich fragmenty wydrukujemy.

(KS)

Fantastyka

Dyrektor Zarządu: Maciej Makowski

Adres do korespondencji:

00-952 WARSZAWA 40
skrytka pocztowa 6

Redaguje „Fantastyka” sp. z o.o.: Andrzej Brzezicki (dział graficzny), Adam Hollanek, Lech Jęczyński (redaktor naczelny), Andrzej W. Kaczorowski (zastępca sekretarza redakcji), Sławomir Kędziński, Dorota Malinowska (dział zagraniczny), Marek Oramus (dział publicystyki), Teresa Pajdzińska (korekta), Maciej Parowski (dział literatury polskiej, zastępca redaktora naczelnego), Jacek Rodek (zastępca redaktora naczelnego), Hanna Sosińska-Balcer (dział techniczny), Krzysztof Szolginia (sekretarz redakcji).

Stali współpracownicy: Maciej Ilowiecki, Arkadiusz Nakoniecznik, Andrzej Niewiadowski, Darosław J. Toruń oraz Karburator, Kunkator, Negocjator, Predator, Sekator i Wibrator.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w opublikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydaje KANT IMM sp. z o.o.

Koordinatory produkcji:
Jacek Herman-Łycki,
Mieczysław Prószyński.

Adres: ul. Odyńca 1A/1
02-606 Warszawa.
Tel./fax: 44 07 31,
telex: 825 175 kanti pl.

Skład, druk i oprawa:
Prasowe Zakłady Graficzne,
Łódź,
al. Piłsudskiego 82
Nakład 130 000 egz.

PL ISSN 0867-132X

© Copyright by „Fantastyka” sp. z o.o., Warszawa 1991

NR INDEKSU 35 839

David Brin

AKORD

(Piece Work)

Urodzenie czterokilowego cylindra ciasno uzwojonych łożyskowych filtrów rozpuszczalnikowych średniej klasy zdenerwowało najlepszą przyjaciółkę Io.

Przez pięć długich miesięcy Persef zachowywała dietę pozbawioną cukru, prochu czy tytki – no, prawie pozbawioną. Ostatnie dziesięć tygodni spędziła człapiąc bez celu, spowita w draperie na modłę beduińską – tegoroczny nakaz mody dla akordzistek. I wszyst-

Io dokładnie pamiętała ten wieczór kilka miesięcy temu, kiedy to obie obserwowały ciche bagienne mgły przenikające znad błotnistej brzozy rzeki do obór Ellesmere Port i tłumiące zadowolony ryk bydła, nawet jeśli nie jego ostrą woń.

Dwadzieścia cztery godziny na dobę ciężarówki wyjeżdżały z do-jarni i obór porodowych, unosząc ze sobą ładunki genetycznie zaprojektowanych olejów, polimerów i błon przemysłowych. Przy-



Ilustracje – Monika Grycko

ko to za może dwa tysiące eurodolarów, w przemysłowych sitach, niewiele lepszych od produkowanych przez zwykłe fabrykowny.

Persef była naprawdę wkurzona.

Na zewnątrz Io okazywała współczucie, jak należało, faktycznie jednak nie podzielała wściekłości przyjaciółki. Persef sama zdecydowała się wynająć swą macicę niezależnemu koderowi o niepewnym pochodzeniu, nawet bez sprawdzenia go przez agenta.

– Oni wszyscy mają świra na punkcie spermy – ostrzegała ją wiele miesięcy wcześniej. Siedziały wtedy obie na jej wąskim balkonie, przyglądając się, jak splaszona kula zachodzącego słońca sączy wiśniową barwę na poplamione chmury horyzontu. Bliżej ciepła mgła unosiła się z trzcinistych błot u ujścia Mersey. Hałasliwe stada morskiego ptactwa, zmierzające do domu, rozpraszały opary w poszarpane wstęgi.

– Na robotach łożyskowych nie da się zarobić i nie ma w nich szansy na awans – powiedziała Io tego wieczoru. – Osobiście, zostaję przy jajczkowych.

– Ale start w jajówce kosztuje – narzekała Persef. – A jak nie wyjdzie, to kary za niedotrzymanie mogą cię zrujnować. I gdzie masz w t e d y swoją inwestycję?

Jakby Persef wiedziała, co znaczy to słowo! Podobnie jak większość akordzistek, ta wysoka brunetka nigdy nie zaoszczędziła grosza ze swych porodowych honorariów, przepuszczając wszystko na obwódzie wycieczkowym, póki nie nadszedł czas powrotu do czeków z zasiłkiem i kolejnej sztucizny. Nic dziwnego, że trzymała się prac łożyskowych. Niektórzy ludzie naprawdę pozbawieni są ambicji.

masowej produkcji otrzymywanej od specjalnie hodowanych fabryków wyniki drobnych kontrahentek, jak Io czy Persef, wydawały się być znikome. Plotka głosiła, że ICI umieściło swe rozpieszczane zwierzęta tu, na południowym brzegu, aby onieśmielić akordzistki zamieszkujące opuszczone hangary i wielopiętrowe spółdzielcze łodzie mieszkalne w pobliżu.

Jeśli nawet, to obecność obór wywierała na Io wpływ odwrotny od zamierzonego. Podnosiła ją na duchu, przypominając, że ciągle istnieją rzeczy, których żadne zwierzę czy maszyna nie zrobi tak dobrze, jak ludzka rzemieślniczka. Nie ma takiej fabrykowny, która zdołałaby dorównać jej wyrobom!

Tego wieczoru, parę miesięcy temu, przyjaciółka Io zaczynała dopiero swoją najnowszą sztuciznę i nadal tęskniła gwałtownie do chemicznych przyjemności, teraz zakazanych przepisami cechu. Rzecz jasna, wkrótce Persef będzie już na lekkim haju pod wpływem własnych hormonów. Na razie jednak stanowiła ponure towarzystwo.

– Żadnej szansy, Io. Nie sądzę, abym wytrzymała tyle, ile wymaga robota jajowa. To tak długo trwa, oszalałabym bez imprez.

– Ale Pers, zobacz, ile Technique Zaire płaci dzisiaj za dobrego bazyliżka. Albo statkomózg...

– Statkomózg! Ha! W jaki sposób taka akordzistka, jak ja, mogłaby zostać zapłodniona statkomózgiem? Gdybym kiedykolwiek podpisała kontrakt, wrobiliby mnie chyba w... w glinę z drogówki! – Persef zaśmiała się. Io odnosiła wrażenie, że w tym dźwięku czuło się ostatnio coraz większą gorycz.

Potrząsnęła głową.

– Wszystko, co wiem, to to, że nie chcę ciągle oszczędzać przez następnych dziesięć lat. Jeszcze dwa udane porody i opłacę szkolenie i licencję, i jeszcze zostanie mi tyle, że wystarczy na inkubację. A poza tym, po jajówce potrzebuję krótszej retrokonwersji.

– Hmmm – mruknęła z powątpiewaniem jej przyjaciółka. – A na razie żyjesz niczym mniszka, oszczędzasz wszystkie premie, zamieniasz na gotówkę asygnaty podróżne i zabawowe. Przysięgam ci, Io, czasami niektórzy z nas myślą, że... – Persef przygryzła wargę. – No, po prostu nie dość imprezujesz.

– Nie mam czasu na wycieczki, Pers. Wiesz o tym. Jest jeszcze college... – natychmiast zorientowała się, że wspomnienie o tym było pomyłką. Słowo „college” brzmiało tak szykownie, nawet jeśli chodziła tylko do wieczorowej klasy.

– Eech – Persef odchyliła się zdegustowana. Chrząknęła osłaniając swój już wrażliwy brzuch. – Io, męczy mnie samo myślenie o tym. Niektóre ambicje po prostu nie są warte włożonego w nie wysiłku.

Rozmowa ta ostatecznie wykrystalizowała różnice w ich poglądach, toteż odtąd zwyczajnie unikały tego tematu.

Teraz jednak, kiedy kroczyła obok wolno sunącego naprzód łóżka dla rekonwalescentek, czesząc zwilgotniałe od potu włosy przyjaciółki, podczas gdy poporodowe enzymy sączyły się do żył Persef, stopniowo zabarwiając jej kredowobiałe policzki zdrowym rumieńcem, trudnym do odróżnienia od naturalnego, Io przypomniała sobie to zdarzenie z fotograficzną dokładnością. Umieszczony nad jedną poręczą monitor mierzył tempo, w jakim Persef odzyskiwała siły, dopasowując prędkość ruchu łóżka do stopnia

– Kur macica! Wiedziałałam, że powinnam była skończyć trzy dni temu. Popatrz, co od tego czasu stało się z cenami filtrów rozpuszczalnikowych! Ale nie. Ja po prostu musiałam spróbować zyskać jeszcze te parę gramów!

Z obrzydzeniem uniosła się na łóżku. Spore wzniesienie pod kołdrą, przypominające garbatego krasnoludka w namiocie, rozpiętym między jej wzniesionymi nogami, skoczyło naprzód.

– Hej! Uważaj, co robisz, dobrze? – Persef klepnęła kręcący się wzgórek.

Odpowiedziało jej jedynie stłumione pochrząkiwanie i flegmatyczne pierdnięcie.

– Cholernie tanie oczyszczacze – wymamrotała Persef. – Sama bym sobie lepiej poradziła.

Io z zakłopotaniem rozejrzała się wokół. Wyglądało jednak na to, że żadna z odzyskujących siły robotnic na sąsiednich łóżkach nie zwróciła na nie uwagi. Niektóre błogo spały. Parę rozmawiało przez cichofony i tylko wyraz ich twarzy mógł wskazać, czy dzwonią do agentów, czy też do swych bliskich. Reszta oglądała seriale na małych telewizorkach wbudowanych w poręcze, podczas gdy specjalne enzymy spływały do ich ramion, skracając czas, w którym Kompania musiała zapewnić im te usługi, wliczone w kosztą własne. Wyposażenie łóżek gwarantowane było w karcie pracy akordowej. Tu przynajmniej cech zrobił coś dobrego.

Kilka kobiet w pobliżu było już na haju, najpewniej dzięki przemycyconym prochom. Korzystały z pierwszych chwil wolności po dyscyplinie sztuczy.



wzmocnienia jej sygnałów życiowych. Akordzistki siedzące w biznesie spermowym rzadko miały odwiedzających w samym dniu porodu. Bo i po co? Ruchome łóżka nie były zatem wyposażone w przyczepki, a jedynie w niewielkie siedzenia na sprężynach. Io wołała zostać na nogach, stale uważając na wózki obsługi i oczyszczacze, śmigające dokoła po swych z góry ustalonych trasach. Normalnie zadzwoniłaby po prostu do Persef po jej powrocie do domu. Była jednak akurat w okolicy i postanowiła wpaść, żeby zrobić przyjaciółce niespodziankę.

Lecz w tej chwili zaczynała tego żałować. Choć zdawała sobie sprawę z tego, że jej reakcje są staroświeckie, te hurtownie położnicze wywoływały u niej mdłości.

Szczotkowała teraz czarne loki Persef, podczas gdy dokoła rzędy łóżek wysuwały się regularnie z rozładowni niczym nowe wozy z linii montażowych. Każde unosiło wyczerpaną, bezwładną, świeżo opróżnioną akordzistkę. Od czasu do czasu przez otwarte drzwi do ogromnej sali rekonwalescentek przedostawały się krzyki – od panicznych zawodzeń kiepsko wyszkolonych debutantek aż do rytmicznych okrzyków rodem z karate, typowych dla wprawnych weteranek – melodie współczesnego przemysłu.

Nie, przysięgała sobie w duchu Io. Ja zostaję przy jajczkach.

Szczotka zaczęła o splątany kosmyk. Persef zaklęła: – Plemniki!

– Przepraszam, Pers, ja...

– Nie, do cholery, spójrz na to! Wiedziałałam! – gwałtownym ruchem kciuka wskazała przecinającą sklepienie sufit lśniąca holo-wstęgę, która pokazywała najnowsze notowania BioBourse.

– Słuchaj, Pers, cieszę się, że zdołałam cię złapać przed wyjściem. Ale kończy mi się przerwa obiadowa, a potrzebuję jeszcze swej dawki protein przed powrotem do pracy.

– Pracy? – oczy zaśniły ciemnym blaskiem. – To masz już teraz i pracę?

Io natychmiast pożałowała swej niedyskrecji. – To tylko ćwierć etatu, Pers. Jeden z moich nauczycieli zauważył, że mój poziom czytania wzrósł do... no, wypełniam karty w biurze psychera. To nic wielkiego.

– College i do tego praca. Same pipsztuły – Persef wzruszyła ramionami. – Dobra, leć i strzel sobie obiad – leniwie dźgnęła palcem w kierunku brzucha Io. – Nie można przecież pozwolić czekać tosterkowi, no nie?

Persef nacisnęła guzik uruchamiający kanał serialowy na jej telewizorku – bez wątplenia po to, by zrobić na złość Io, która szybko odwróciła wzrok od kuszących, migotliwych obrazów. Io unikała wszystkich nałogów.

– Dobra, to, eee, wpadnę do ciebie, kiedy już będziesz z powrotem na chodzie. – Persef jednak skupiła się już na mydlanej akcji. – Mhmm – odpowiedziała tylko.

Cofając się, Io musiała błyskawicznie odskoczyć, aby uniknąć zbliżającego się wózka obsługi. Instynktownie jej ręce osłoniły sterujący brzuch. Poczła wewnątrz ruch, będący odpowiedzią na przyspieszone bicie serca – zupełnie jakby to coś w środku naprawdę żyło.

Pulsowanie w lewej, wrażliwszej piersi.

– Do jasnej sraczkii! – tym razem głos Persef zabrzmiał na całą salę, ściągając na nią liczne spojrzenia. – Tego już za wiele!

Koldra odleciała na bok. Ciemnowłosa akordzistka oburącz odczepiła spomiędzy swych ud małe włosate stworzenie.

– Zjeżdżaj! Przez setki lat kobiety same zasklepiały swoje naczynka włoskowate, bez pomocy takich małych szczyli jak ty! Spadaj!

Żaloszny jęk. Nie wypełnione zadanie. Nie ukończony posiłek. Sztuczne zwierzątko uchyliło się przed kopniakiem Persef i przypuściło na brzegu kozetki, skąd skomleniem przyzywało opiekuna, aby zabrał je od tej niewdzięcznej kobiety.

Io odwróciła się szybko i pośpieszyła do wyjścia.

Pprzed wyjściem kręcił się zwyczajny tłumek, mierzący wzrokiem każdą wyczerpaną akordzistkę, która mrugając oczami wychodziła na słońce.

Taksiarze proponowali jazdę do domu w zamian za rządowe kupony. Koderzy rozdawali karty wizytowe i ofiarowali się pokazać swe wytatuowane licencje. Nieunikniona obszarpana para protestujących katolików madryckich przemierzała na pamięć znaną trasę z ponuro zwisającymi transparentami.

Najgorsi byli koderzy. Oczywiście do biznesu spermowego koderzy są niezbędni. Producentki filtrów łóżyskowych, takie jak Persef, nigdy nie mogły sobie pozwolić na wykonanie własnego programowania genetycznego. Nawet zestaw platynowych sit wysokiej jakości przynosił zysk, zamykający się pięcioma cyframi, a prawo ograniczało kobiety do dwudziestu pięciu sztuczi w życiu. To mężczyźni zatem poddawali się kosztownej operacji modyfika-

– Wcześniej jesteś tu dzisiaj, co nie, Io? – zmierzyl wzrokiem jej sztuczniowy strój, ledwie wypełniony owocem jej własnej produkcji.

– Wpadłam, żeby zobaczyć Persef – ruchem głowy wskazała centrum. Oczy Colina rozszerzyły się.

– Świetnie, rybko! Dzięki, Io. Przykoczuję tu, aby błysnąć naszej wielbionej pani swoją kartą, kiedy tylko znów wkroczy w ten zwariowany świat.

– Tylko uważaj, żebyś błysnął jedynie swoją kartą, Colin. Wiesz, są tu damy.

Colin prychnął rubasznym śmiechem. Zgodnie z intencją Io, wziął jej uwagę za sarkastyczną, złośliwą drwinę – podstawową monetę obiegową dziwnego protokołu szyderstwa. Nie mógł wiedzieć, że na innym poziomie Io traktowała swą wypowiedź całkiem dosłownie.

– Więc kiedy wreszcie złamiesz się i odpracujesz swoje po naturce?

– Przyjmuję, że mówiąc „natura”, masz na myśli pchanie i sapanie? Mam oddać takiemu koderowi jak ty dziesięć procent mojego zarobku i do tego całą zasługę? Piękne dzięki, Colin. Może jajowa jest i cięższa, ale za to wszystko pozostaje między mną a projektantami.

– Chciałaś powiedzieć, między tobą a zimnym szkłem i gumą! – sztywny uśmiech Colina świadczył o tym, że wciąż jeszcze należało to do repertuaru przycinków, lecz w jego głosie zabrzmiał chłód. – Czy tobie naprawdę podoba się to w taki sposób? Jesteś pewna, że



cji komórek rozrodczych, amortyzując jej koszt dzięki procentowi, otrzymywanemu od każdej akordzistki, która urodziła ich towar.

Koderzy nawiedzający wyjścia centrów porodowych to najczęściej bardzo niska klasa – desperacko oczekujący w miejscu na swój udział, zanim ich zmęczone klientki zdążą wszystko przepuścić, albo ogarnięci taką chciwą, że zachwalali swe modele kobietom wprost po pologu.

Sam pomysł wywołał u Io mdłości. Wyobraźcie sobie tylko: myśleć o zajściu w dwie godziny po porodzie!

A przecież dostrzegła kilka znanych jej z widzenia akordzistek, jak wyłaniają się z sali rekonwalescentek i podchodzą wolniutko do puszących się mężczyzn – bez wyjątku ubranych w jaskrawe, obcisłe bluzy i spodnie, których wielobarwne nogawki zbiegały się na kodowniku, ukrytym w przysnurowanym saczku. Koderzy traktowali swe ewentualne klientki z przesadną uprzejmością, podsuwając składane krzeselka, napoje i kwiatowe spraje każdej kobiecie, która zgodziła się usiąść i posłuchać o ich podniecających najnowszych modelach.

„A mówi się, że romanse umarły” – pomyślała ironicznie Io.

– Cześć, Io, o pani. Nasza Io bez skazy.

Specjalnie przyzlane włosy z przedziałkiem pośrodku zgodnie z najnowszą modą. Nogawki żółta i jaskraworóżowa, wypchany kodownik w grochy w tych dwóch kolorach. Sznurował jeszcze jedną stronę, jakby właśnie skończył pokazywać klientce swoją licencję.

– Eeem. Cześć, Colin – skinęła głową. Koder stanowił część imprezowego kręgu Persef i jako taki, zgodnie ze zwyczajem, był również kolegą Io. Choć istnieją różne rodzaje koleżeństwa.

rzeczywiście masz profil hetero? Żaden z chłopaków tak nie uważa.

Io poczuła, że ogarnia ją fala wściekłości. Kto powiedział temu kretynowi o jej profilu? Czyżby Persef? Czy już n i k o m u nie można ufać?

Colin nachylił się nad nią szczerząc zęby. – Wiesz, Io, czasem wydaje nam się, że uważasz się za lepszą od innych. Tylko dlatego, że chodziłaś do szkoły-smółki i wolisz wypuszczać tostery zamiast porządnych filtrów, jak twoje przyjaciółki. Ale to jeszcze nie czyni cię klejnocikiem. Tu się urodziłaś, kiciu. Pchanie i sapanie to także twoje początki.

W Io coś zakipiało. Na zajęciach niedojrzałych stosunków społecznych zaczynała się uczyć, jak dokonywać rozbioru takich konwersacji – sposobu, w jaki Colin starał się ją onieśmielić za pomocą słów, postawy ciała i niesprecyzowanych aluzyjnych gróźb zerwania przyjaźni. Zabawne, jak zawsze przyjmowało się takie zachowanie jak coś oczywistego, dopóki ktoś wreszcie nie dostarczył modelu. Nie pokazał, że jest to taki sam proces, jak każdy inny w świecie. Wtedy nagle wszystko zdawało się nabierać ostrości i wyglądało już tylko głupio i prymitywnie.

Ach, teoria to jedno. Ale praktyczne zastosowanie należało do programu następnego semestru, toteż sama wiedza nie mogła jej teraz pomóc. Nie wiedziała, jak rozładować agresję faceta nie wywołując u niego złości.

Diabła tam. Io zdecydowała, że tak naprawdę ani trochę nie obchodzi jej opinia takiego tkankopycha.

– Czytaj z moich warg, Colin. – Nachyliła się naprzód i powoli wymówiła słowa slangu ulicznego:

– Plemniki... poziom zero; zamiast staka mamy flaka.

Colin gwałtownie odchylił się w tył, wyraźnie blednąc. Jego dłonie zaczęły wykonywać zygzakowaty gest, mający odczynić pecha. Zbyt późno opanował się.

– Cha, cha, cha, Io – wyszczerzył zęby, błyskawicznie ocierając pot, który nagle pojawił się na jego twarzy. Rozejrzał się, czy ktoś jeszcze dostrzegł całą scenę. – Bardzo śmieszne.

Długo nie zapomni tego, że przez nią tak otwarcie przyznał się do swych przesądów. Io mrugnęła. – Żartowałam, Colin. I nie spuszczaaj z tonu! Ani poziomu, ani stacza.

Odwróciła się i odeszła, zanim zdążył odpowiedzieć. Zostawiła za sobą szeregi taryf, minęła wymięte, zrezygnowane pikiety, przez pasy zarezerwowane dla autobusów przeszła na ulicę prawdziwego Liverpoolu.

Tłumy wyglądały tak, jak zawsze: stałe w pośpiechu, zaaferowane. Przez całe życie Io zanurzona była w morzu ludzi. Taki właśnie był już ten świat i będzie nadal, dopóki środki kontroli urodzeń w końcu nie dadzą efektu.

Przynajmniej jednak to stulecie odwróciło się od ostentacyjnych różnic pomiędzy klasami i kolorowe włókna syntetyczne były bardzo tanie. Nikt zatem nie chodził w zniszczonych ubraniach, chyba że miał na to ochotę. Tylko wprawne oko mogło wychwycić różnice – żyjącą z zasilku większość, która spędzała swe dni na gonitwie za rozrywką, zapewnianą przez państwo – pracowników usług, mających już jakiś status – i wreszcie dumną elitę, tych, co naprawdę mają coś do zrobienia.

Niewątpliwie mieli tu dzień wywózki śmieci. Otwarte zielone kubły świadczyły, że pierwsza partia ciężarówek już tu była. Lecz czerwone, żółte i srebrne pojemniki, nadal dokładnie zamknięte, stały przy krawężniku czekając na transport. Nie opodal Io ujrzała policjanta z Materiałów Wtórnych, który wręczał miejscowemu handlarzowi mandat za nieoddzielenie wszystkich substancji nieżelaznych od organicznych śmieci. Ani jeden przechodzień nie okazał przygnębionemu sklepikarzowi cienia współczucia. A już na pewno nie Io.

Wreszcie, uspokoiwszy się, mogła już zaplanować sobie trasę przez tłum do miejsca, gdzie serwują znośne posiłki.

„Przynajmniej mniej towarów objęte jest teraz reglamentacją” – pomyślała – „choć mówi się, że to może wrócić w każdej chwili”.

Io nie była naprawdę głodna, nie miało to jednak żadnego znaczenia. I tak jadła bardziej dla tego czegoś w środku niż dla siebie.

„Toster”. Tak nazywali to Persef i Colin.

– Nie zajmuję się gospodarstwem domowym – wymamrotała pod nosem.

Uderzyła ją jednak przewrotna stosowność ulicznego slangu. Znów poczuła pulsowanie wewnątrz.

Tak. Czas nakarmić jej toster.

...do roku 2000 przeludnienie pociągnęło za sobą trzy złowrogie konsekwencje. Pierwszą z nich dalekowzroczni ludzie przewidzieli już dawno temu; potrzeby ponad sześciomiliardowej populacji po prostu przekroczyły wydolność planety. Grunta uprawne, rudy mi-



Przede wszystkim różnicę dało się odczytać z oczu. Pracujący spoglądali wokół... jak gdyby n a l e ż e l i do tego świata, a nie tylko zabijali czas. Za każdym razem, kiedy pochwyliła takie spojrzenie, Io czuła rosnącą determinację, aby pozostać w college'u. I walczyć – nie o byle jakie zezwolenie, lecz o to najwyższe. Nic innego nie zdoła pomóc przetrwać jej duszy.

Nagle wilgotne muśnięcie pod prawym kolaniem wywołało dreszcz paniki wzdłuż jej kręgosłupa. Z walącym sercem obróciła się błyskawicznie, unosząc prawą rękę ku piersi. Io spojrzała w dół i westchnęła.

Przez moment popatrzyły na nią jasnobrzowe oczy. Wilgotny nos kilka razy wciągnął powietrze. Futro zabarwione było w niebiesko-żółte poprzeczne pasy, oznaczające służbę publiczną... kolory drogówki.

Przypominające psa stworzenie, z zaprogramowaną doskonałą znajomością kodeksu drogowego, z parsknięciem zignorowało Io i ruszyło dalej. Gliniarze z drogówki nigdy nie zapominali twarzy ani zapachu, nie wybaczała najmniejszego wykroczenia, dopóki nie zapłaciło się mandatu. Io trudno było uwierzyć, że kiedyś wysokiej klasy akordzistki wytwarzały takie stwory, gdy jeszcze były one eksperymentalne, zanim ostateczny model otrzymał licencję na reprodukcję.

Nadal wędząc w poszukiwaniu gwałcicieli porządku, gliniarz odszedł i zniknął w tłumie.

Io wsparła się plecami o zimne okno wystawowe, podczas gdy obok przelewali się ludzie. Rzuciła wzrokiem wzdłuż ulicy w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby jej skupić się, podczas gdy jej puls powoli wracał do normy.

neralne, czysta woda i materiał genetyczny istot żywych to przykłady nieodnawialnych zasobów, które ulegały gwałtownemu wyczerpaniu. Należało znaleźć inne metody przetrwania, i to szybko.

Wszelako drugi efekt przeludnienia przez dłuższy czas pozostawał praktycznie niedostrzeżony. Był to problem twórczego bezrobocia.

Większość przejściowych rozwiązań, pozwalających społeczeństwu na zapewnienie mieszkania i żywienia dla miliardów, wynikała z technologii produkcyjnych kontrolowanych przez niewielką, elitarną grupę pracowników. Reszta ludzkości była całkowicie zależna i niezdolna do wprowadzenia jakichkolwiek zmian. Niektóre kraje maskowały stan faktyczny poprzez zapewnienie „pracy” w usługach, w miarę jednak upływu czasu pojawiło się poczucie silnego wyobcowania, będące skutkiem nie spełnionej ludzkiej potrzeby wykonywania pracy, docenianej i naprawdę pożytecznej dla społeczeństwa.

I był jeszcze trzeci wielki problem – niedostosowania edukacji. Gdyż, choć gigantyczne kampanie walki z analfabetyzmem podniosły ogólny poziom kulturalny, bardzo wiele ludzi spędzało lata, ucząc się robić rzeczy wymagające faktycznie niewielkiej wiedzy. W tym samym czasie najdelikatniejsza, najbardziej wymagająca praca w historii pozostawała powszechną domeną robotników niewykwalifikowanych.

Io zamknęła książkę, kiedy znów nadeszło rwanie w lewej piersi – ostre klucie, wywołane przez prolaktynę. Zaś brak podstawowej dwustronnej równowagi jeszcze pogarszał sprawę.

Konflikt był zasadniczy. Organ po jednej stronie został zmodyfi-

kowany przez najlepszych techników przemysłowych i przygotowywał się teraz do wytwarzania kompleksowych związków chemicznych. A w tym samym czasie spod drugiego ramienia wystawał jego konserwatywny bliźniak. Odpowiadając za hormony ciążowe, ta pierś czyniła radosne przygotowania do produkcji praktycznie bezwartościowych płynów, pieprząc jej w mózgu i wywołując niemożliwe myśli.

Choć starała się ukryć swe dolegliwości, agent Io zauważył je podczas cotygodniowego badania.

– Ostrzegalem cię przed pozostawieniem jednego cycka w naturze – przypomniawszy jej Joey w trakcie wykonywania barwnych odczytów i sonografów obu gruczołów. – To ja załatwiam ci możliwość wytwarzania naprawdę poszukiwanego drugorzędowego towaru, najnowszego smaru Mobila dla urządzeń wysokoobrotowych, a ty upierasz się przy nastawieniu na pół wydajności. Wiesz, jak to wpływa na twoją reputację? Mówią wszem i wobec, że wcale nie myślisz poważnie o przejściu na zawodowstwo. I co ja mam z tobą zrobić?

Io odłożyła podręcznik. – Pozwolić mi działać po swojemu. Oto, co masz ze mną zrobić, Joey. A poza tym, z lewej piersi też będę produkować.

– A co takiego? Siarę i ludzkie mleczko? I co my z tym pocniemy, zrobimy sobie sera? Czy widziałas ostatnie prognozy? Przy ponownym spadku urodzeń rynek jest przesycony.

– Nie będzie, kiedy urodzę – zapewniła go. – Zaufaj mi.

Stojący w pobliżu ogólnodiagnostyczny monitor sztuczny zabuczał pogodnie – dodający otuchy radosny dźwięk w miejsce prze-

– Pewnie wynajęłaś im mnie do produkcji gliniarza z drogówki – odcięła się, sięgając po książkę i żakiet.

– Spryciara. Tylko pojaw się na następny przegląd. I trzymaj się z dala od kłopotów. A jeśli lewa pierś znowu wywoła u ciebie jakieś głupie myśli, to po prostu powiedz sobie, że toster nie ssie, podobnie zresztą jak glina z drogówki. A ludzkie mleko nie dochodzi nawet do trzech pensów za gram.

– Pięć – powiedziała, naciskając antyczną klamkę. – Przekonasz się, Joey. Pięć pensów za gram albo wracam do robienia na drutach.

– Ha. To będzie święto.

Lecz Io wiedziała, że cena musi pójść w górę. Był to jeszcze jeden powód, dla którego kazała zostawić swój lewy gruczoł mleczny bez względu na to jak nieprawdopodobne iluzje rozpały jej w głowie jego archaiczne wydzieliny.

Niektóre z jej zajęć związane były z wybraną przez Io specjalnością. Jednak w przypadku innych znacznie trudniej było znaleźć jakieś powiązanie. Musiała na przykład walczyć ze znużeniem, podczas gdy wykładowczyni ciągnęła jednostajnym głosem na temat, który Io poznała jeszcze podczas praktyki przy jajczkach.

– ...Aż do lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku – mówiła do całej sali starsza akademicka – wciąż jeszcze wyobrażano sobie, że klonowanie istot ludzkich będzie tak łatwe jak, powiedzmy, żab. W teorii wszystko, co trzeba by zrobić, to zastąpić 23 chromo-



nikliwego pisku, oznaczającego złe wieści. Odgarniając do tyłu kosmyk rzedających jasnych włosów, agent Io oddał wydruk wyników badania, wciąż jeszcze mrucząc z irytacją:

– Ona mi mówi „zaufaj mi”! Co ty robisz, Io, podkradasz moje teksty? To ja mam mówić „zaufaj mi”. Ty? Ty powinnaś powiedzieć „Och, Joey, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła!”.

– Dlatego właśnie cię lubię, Joey. Jesteś jeszcze bardziej staroświecki niż ja.

Jakby na potwierdzenie tego, najwyraźniej nieświadom ironii, Joey założył na nos starożytne okulary, aby przyjrzeć się wynikom badań.

– Ty to nazywasz staroświeckością? Kiedy chcesz mnie opuścić właśnie wtedy, gdy doprowadziłam twoje ciało do naprawdę pierwszorzędnej wydajności? Co się stało z etyką pracy?

– Ja chcę pracować – zapewniła go Io, nachylając głowę nad zapisem, żeby też odczytać wyniki. W tej chwili potrafiła je interpretować prawdopodobnie tak samo dobrze jak Joey. – Po prostu chcę zająć się czymś trudniejszym.

Tak, jak się tego spodziewała, wszystko było w normie. Io dbała o swoje ciało. Podniosła bluzę. – Mogę się już zapiąć? A może obecnie podniecają cię panienci w ciąży?

– I na dodatek jeszcze sarkazm. Za to nie powiem ci, co według mnie urodzisz. Dowiesz się po wszystkim. Ubieraj się i zjeżdżaj stąd, Io.

Na jednych zajęciach zajmowali się ostatnio bluffowaniem jako sposobem podtrzymywania wyższego statusu, toteż nie dała się wziąć na lep słów Joeya. Jasne, że o tym, czym zapłodniła ją Technique Zaire, wiedział nie więcej niż ona sama.

somy jądra kobiecego jajeczka kompletnym zestawem 46 chromosomów pobranym, dajmy na to, z jednej z komórek jej skóry. Wprowadźmy teraz to „samozapłodnione” jajeczko i po dziewięciu miesiącach otrzymujemy dziecko genetycznie identyczne z dawką. Voilà.

Tutaj jednak odkryliśmy, jak bardzo ssaki różnią się od żab. Bo- wiem wygląda na to, że podczas poczęcia ludzki plemnik nie tylko dostarcza 23 chromosomy, aby uzupełnić wkład matki. Faktycznie warunkuje pewne geny tak, by wkroczyły do akcji podczas krytycznych chwil po zapłodnieniu. Geny te aktywizują się jedynie wtedy, gdy zostają dostarczone w spermie. Podobnie inne geny wytwarzają działające enzymy tylko wtedy, gdy pochodzą z jaja...

Nagle pulsowanie bransolety Io było sygnałem, że przyszła do niej wiadomość. Normalnie nagrałaby ją na później. Lecz w sytuacji, kiedy profesor Jackone bez końca nudziła o historii starożytnej, czuła się na tyle bezpieczna, aby zerknąć od razu. Ostrożnie przykręcając jasność swego starego komunikatora, żeby nie przeszkadzać sąsiadom, nacisnęła odczyt, kierując holograficzny obraz sobie na kolana.

BIURO PODRÓŻY HAMPSTED SPECJALIZUJE SIĘ W WYCIECZKACH ZORGANIZOWANYCH GŁÓWNIE Z MYŚLĄ O AKORDZISTKACH. «JESZCZE»

Lśniące litery nie były reklamą. Niewątpliwie stanowiły część wiadomości od Persef. A Io wiedziała, że oznacza to coś w rodzaju ultimatum.

Ponownie nacisnęła guzik; kolejny rząd liter zastąpił poprzednie.

WYCIECZKA ZAMÓWIONA NA OKRES FERII. ZATEM COLLEGE NIE STANOWI ŻADNEGO ARGUMENTU, TAK SAMO JAK TWOJA „PRACA”. NIE MOŻESZ JUŻ ZREALIZOWAĆ WIĘCEJ KUPONÓW, WIĘC JAZDA! «JESZCZE»

Oczywiście, Persef miała rację. Semestr dobiegał końca, a do jej własnego porodu pozostało jeszcze około sześciu tygodni. Poza tym prawo ograniczało liczbę kuponów, które można wymienić na gotówkę, zatem ten najnowszy zmarnuje się, jeśli go nie użyje.

Rzecz jasna, jej rozdęty brzuch był już i tak większy, niż to się kiedykolwiek zdarzało niezależnym łożyskówkom, takim jak Persef, zatem dalekie spacerowanie nie wchodziło w rachubę. Persef jednak przewidziała i ten wykręt.

„Naprawdę przydałaby mi się wycieczka” – powiedziała do siebie Io.

A jednak pomysł ten wzbudził w niej niepokój. Jej przyjaźń z Persef zrodziła się w cichych uliczkach Liverpoolu, kiedy jeszcze były dziewczynkami. Na zmianę strzegły swoich kuponów reglamentacyjnych, wspólnie zabijały szczury dla nagrody. Mimo to praktycznie od początku skazane były na rozejście się.

Niegdyś miała nadzieję, że wciągnie przyjaciółkę w krąg własnych entuzjastycznych zainteresowań – ambicji osiągnięcia czegoś lepszego. Ale te bezskuteczne próby wzbudzały jedynie gniew Persef. Za każdym razem niewłaściwie je rozumiała, zakładając, że Io zadziera nosa.

Ze swej strony Persef również starała się usilnie ocalić tę więź

Te same starocie... Io jeszcze raz nacisnęła przycisk, aby odczytać resztę listu Persef.

JEDŹ Z NAMI, IO. TYLKO NA PIERWSZY TYDZIEŃ, TO WSZYSTKO. POTRZEBUJESZ TEGO. PERS WIE, CZEGO CI TRZEBA. «KONIEC»

Przez moment litery jakby się rozplynęły i Io wiedziała, że nie zawiń tu żadne uszkodzenie wiekowego komunikatora. Otarła oczy, podczas gdy głos profesorki dźwięczał ze wszystkich stron.

– Z początku wieści te, chociaż zaskakujące, nie wzbudziły większego zainteresowania poza środowiskami naukowymi. Pewne fanatyczne feministki przeżyły rozczarowanie dowiadując się, że mężczyźni nie są aż tak zbędni, jak oczekiwały, wszelako dla reszty ludzkości wyglądało to po prostu na jeszcze jedną przyrodniczą ciekawostkę.

Prawie nikt nie przewidywał wagi tego odkrycia ani też jego przemysłowych implikacji...

Io dotknęła tarczy swego zegarka. Szybkimi ruchami, alfabetem Morse'a wystukała cicho prywatny numer Persef i odpowiedź na ofertę przyjaciółki.

OKAY, JADĘ. PRZYNAJMNIEJ KAWALEK. I DZIĘKI, PERS. MYŚLĘ, ŻE NAPRAWDĘ POTRZEBUJĘ URLOPU. JESTEŚ PRAWDZIwą PRZYJACIÓŁKĄ. – IO.

Zgodnie ze swoją reputacją, biuro podróży zapewniło im wycieczkę w ogóle nie wymagającą chodzenia. Był to pociąg zabawowy przemierzający Arktykę, z Oslo przez północną Norwe-



między nimi. Oznaczało to włączenie Io w towarzystwo koleżanek z cechu i społecznej klasy, w której się urodziła.

„Cóż” – pomyślała Io. „Jeśli ona nie chce lub nie może się do mnie przyłączyć, ja mogę przyłączyć się do niej. A przynajmniej tym razem”.

Niespodzianie światła w sali przygasły, gdyż profesor Jackone zaczęła pokazywać slajdy. Io pośpiesznie zmniejszyła jasność swego projektora.

– ...jak tu widzimy – oznajmiła nauczycielka audytorium, gdy holograficzny obraz przybrał ostateczny kształt – jeśli spróbujemy klonowania myszy bez udziału genów uwarunkowanych przez spermę, otrzymamy w efekcie dziwnie powyginały embrion, który wkrótce umiera w łonie matki, bowiem nie zawiązuje się jego łożysko.

Z kolei gdy spreparujemy jajeczko używając jedynie genów połączonych z jądrami plemnika, wynik jest diametralnie inny. – Ponownie zmienił się obraz w pojemniku. Tym razem nie było tam ani śladu embrionu, a tylko splątana, wyolbrzymiona masa pozwijanych włókien, z łatwością rozpoznawalna dla każdego, kto znał się na współczesnej produkcji filtrów.

– ...więc chociaż zarówno geny matki, jak i ojca mają jednakowy wpływ na ostateczny wygląd każdego płodu ssaka, na początku to geny pochodzące z jajeczka matki kontrolują rozwój embriona, podczas gdy geny plemnika odpowiadają za wytworzenie łożyska, organu nie występującego u ryb i płazów, którego skomplikowany chemiczny układ filtracyjny umożliwia odżywianie płodu aż do porodu...

gię i dalej po ogromnych czarodziejskich mostach rozpiętych od Wysp Owczych przez Islandię, Grenlandię aż na Labrador. Grudniowa podróż do serca zimy, wędrówka przez pustynię tak romantyczną i pustą, jak nie, co można by jeszcze znaleźć na powierzchni przeludnionej Ziemi.

Bliźniacze nadprzewodzące szyny, zwieszające się równolegle dwieście metrów ponad zmarzniętą tundrą, wyglądały niczym oszronione sznury wydłużonych kropel, biorące początek w nicości za nimi i strzelające naprzód ku spotkaniu w nieskończonej czerni. Jedynie pojawiające się rytmicznie słupy – samotne, smukłe lodygi posadzone co parę kilometrów – przypominały pasażerom o tym, że istnieje w ogóle jakieś połączenie z martwą, szarą ziemią.

Szczerze mówiąc, Io wołała słońce. Kiedy jednak Persef pokazała jej bilety, zmusiła się do uśmiechu i okazania entuzjazmu. Ostatecznie zawsze mogła wysiąść na Islandii albo Grenlandii i jeszcze zostanie jej dość kuponów na tydzień na Wyspach Kanaryjskich.

Poza wszystkim innym, ktoś kiedyś powiedział jej, że zdolność do oceny estetycznej, choć tak naprawdę nie należąca do wymagań, nie może zaszkodzić osobie ubiegającej się o zezwolenie, na którym jej zależało. Zatem Io zaczęła przesiadywać godzinami w kopule obserwacyjnej pociągu, kontemplując i wolno ucząc się podziwiać przynębiającą pustkę.

Nad głową zorze polarne układały się w zmieniające się bezustannie firanki migotliwej żółci i błękitu, albo – jak kto wolał – w falujące strumienie rozproszonych atomów tlenu, zjonizowanych przez wiatr słoneczny, układające się wzdłuż linii pola magnetycznego.

Od czasu do czasu te pyszne zasłony rozwiewały się niespodzianie, odsłaniając wolno zmieniający się obraz boleśnie jasnych konstelacji, znajomych, a przecież pełnych niezwykłego czaru w tym mroźnym, obcym otoczeniu.

Stada karibu już dawno wywędrowały na południe, aby tam spędzić zimę, podobnie jak bardziej światowy rodzaj turystów. O tej porze roku do akcji wkraczały kompletnie inne szczepy wędrowców, aby dzielić szyny z ciężkimi transportami towarowymi. Na przykład ci, którzy jedynie dzięki rządowym asygnatom podróży mogli skorzystać ze swego obywatelskiego prawa do zwiedzania świata – podobnie jak Io i Persef – w porze mniejszego ruchu.

I byli też inni, ludzie, których zachowanie w sposób subtelniejszy niżli ubiór czy moda, zdradzało, że są gdzieś zatrudnieni, mają prawdziwą pracę, a w dziwną tę podróż wybrali się nie z powodu ograniczeń finansowych, lecz dla upodobania do ponurych przestrzni, czy może napawając się mocą.

Zgodnie z niepisanym kodeksem imprezowicze uprawiali ostrzejsze zabawy w innych wagonach, choć kopuła obserwacyjna stanowiła ulubione miejsce schadzek. Czasami bliskość splecionych par wywoływała u Io poczucie tęsknoty i przejmującej samotności.

Niestety, uczuć takich nie łagodziły bynajmniej ustawiczne starania Persef, próbującej znaleźć dla niej partnera. Wreszcie pewnego wieczoru w wagonie barowym towarzysza Io zaatakowała z irytacją.

– Czasami ni diabła nie mogę cię zrozumieć, Io! Czego trzeba,

czył swój szczyt i wkraczał teraz w fazę depresji. Niegdyś sterczące prosto warkoczyki Persef zaczynały opadać, bowiem lakier stopniowo ustępował pod atakiem potu i zabawy w sporym upale.

– Ale widziałas też, że mój profil zawiera takie rzeczy, jak wysoka wybiórczość i skłonność do silnego przywiązywania się. Nic nie mogę poradzić, taka już jestem. Czasem zazdroszczę ci twojego wykresu, swobody osobowości. Raz, dwa, trzy, już mnie tu nie ma. A ja nie mam wyboru, Pers. Muszę się wstrzymać aż do odpowiedniego momentu.

– To znaczy przetrzymać aż do Pana Czekamy-Na-Pracę – powiedziała zgryźliwie Persef.

– Dokąd nie będę miała własnej pracy, Pers. I na takiego mężczyznę, który uszanuje to we mnie. Koder nigdy nie zrozumie, o co mi chodzi. Wiesz przecież.

W kącie lewego oka Persef wystąpił nagły tik.

– A właściwie co ci się nie podoba w koderach? Niektórzy z moich najlepszych przyjaciół to koderzy!

Io rozejrzała się nerwowo. Rozbawiony tłum przy sąsiednich stołach przyglądał się występowi na scenie z przodu wagonu: umiarkowanie wulgarnemu tańcowi do wtóru łagodnie brzęczących szyn. Kiedyś przedstawienie, gęsta, dusząca atmosfera, różnorodne zapachy towarzyszące zabawie i dla Io stanowiłyby atrakcyjną rozrywkę. Teraz jednak już nie. Sztuczne podniety przestały na nią działać lata temu.

Dym i oślepiające światła zaczerniały wyloty okien za plecami



żebyś w końcu nabrała ochoty, co? Pokazywałyśmy sobie swoje wykresy i twój był w stu procentach hetero. Cały czas mam to na uwadze. Poznałam cię z twoim typem faceta.

„Moim typem?” Jednak Io powstrzymała to, co już miała na końcu języka. Wyraz twarzy Persef zdradzał rozdrażnienie. Krańcowe podenerwowanie. Zarówno żrenice, jak i odcień cery wykazywały wyraźne objawy haszowego haju, który już dawno przekro-

DAVID BRIN

Niedawno przedstawialiśmy powieść tego autora: delikatną, zabawną fantazję „Stare jest piękne” („Nowa Fantastyka” nr 2-6/90). Tym razem opowiadanie zupełnie odmienne, zarówno jeżeli chodzi o treść, jak i klimat. „Akord” to twarda fantastyka kierująca się w stronę cyberpunku, o głębokim przesłaniu moralnym. Jeszcze inna jest najnowsza powieść Brina. Sam autor pisze o niej tak: „Prędzej czy później większość pisarzy SF odczuwa pokusę napisania najtrudniejszego rodzaju przyszłościowej powieści... szczegółowej konstrukcji świata za pięćdziesiąt lat. (Aby przewidzieć sytuację za lat pięć czy dziesięć, wystarczy tylko wziąć parę współczesnych trendów i nieco je wyolbrzymić. Opisując świat kilka stuleci naprzód po prostu dużo wymachuje się rękami!). W każdym razie chyba nadeszła moja kolej, bowiem akcja „Ziemi” rozgrywa się dokładnie za pół wieku i można w niej znaleźć dosłownie wszystko: otoczkę ozonową, efekt cieplarniany, geologię, ewolucję, hipotezę o Ziemi jako żywym organizmie, teorię świadomości, czarne dziury, dziurawiące przestrzeń naokoło i zderzające wnętrza planet... co tylko chcecie... D.M.

Io, a przecież i tak tęskniła do spokoju panującego za tymi perspektywicznymi szybami.

– Hej! – Io zmusiła się do uśmiechu, próbując przełamać ponury nastrój. – Nie zrozum mnie źle, Pers. Koderzy są w porządku. Tylko że znam takiego ledwie od dziesięciu minut, a on już zabiera się do rozbierania i demonstrowania swojej specjalności.

Przez ułamek sekundy oczy Persef były równie głębokie i tajemnicze co nocna panorama za Io. Potem jednak wyglądało na to, że podjęła jakąś decyzję. Jej śmiech mógłby stanowić dobry temat rozprawy na jednym z zajęć w college’u.

– Tak, to prawda, tacy już są. Nawet kiedy jestem już w środku sztuczi i człapię wokół niby jakiś dostojny szynkarz z Blackpool, połowa znajomych koderów zawsze stara się mnie namówić, abym na zapas wypróbowała ich towar. Zawsze mówię wszystkim, których ci przedstawiam, że siedzisz w jajeczkach i nie interesuje cię ich specjalność. Chyba jednak ciężko im przełamać stare przyzwyczajenia.

– Chwileczkę! – zaśmiała się Io. – Nie chciałabym myśleć, że latają za mną wyłącznie dlatego, bo widzą przed sobą pozostawiony odlegiem, domagający się zasiania brzuch. Nie przyszło ci do głowy, że mogę im się podobać?

– Ty? Twoja godna litości osoba o chuderlawych ramionkach? Z tymi niemodnymi żółtymi włosami?

Io udała obrażone spojrzenie.

Śmiech Persef zabrzmiał teraz szczerzej. – Tu cię mam! Najpierw nie odpowiada ci, że za tobą latają. Ale gdyby tak nie było, czułabyś się urażona, prawda?

– Nie, po prostu chciałabym, żeby nie...
 – Ale powiem ci coś, Io. Ja lubię koderów. Niektórzy z nich porządnie się zadłużyli po to, żeby sfinansować swoje przemiany. Bez nich samodzielna produkcja byłaby niemożliwa. Musiałybyśmy ryzykować tak samo, jak ty z twoim jajeczkiem...

– Pers, nigdy nie mówiłam...

– I jeszcze coś, Io. Traktują swą pracę ze znacznie większym entuzjazmem niż Joey i jego nadęci owularni projektanci. Czy kiedykolwiek pomyślałaś, że ta robota może sprawiać przyjemność? Nie, nie sądzę. Ale mówię ci, z koderem to diablo bardziej naturalne niż ta paczka Joeya, próbówki i druty...

Persef znowu miała w oczach ten błysk, kipiącą energię seksualną. Sama się do tego doprowadzała własnymi słowami. Io wiedziała, że już niedługo skończy się to na tym, iż jej przyjaciółka złapie za najbliższy sterzący kodownik, nie sprawdzwszy nawet perspektyw jego właściciela, nie mówiąc już o jego tatuażu.

– Pers, czy pamiętasz o pigułkach? Nie chciałabyś przecież wpaść na imprezie, na miłość...

– Zajmuj się własnymi sprawami! – Persef zerwała się na nogi, wywracając krzesło. – Ja nie udzielam ci rad co do twoich cholernych jaj. I nie mów mi, skąd mam brać nasienie!

I naraz Io już wiedziała. To nie był pierwszy raz. Ten kiepski zestaw niskiej klasy filtrów, który urodziła parę miesięcy temu – Persef nie dostała tej roboty u miejskiego agenta, ani nawet sama nie zorganizowała sobie sztuczi. Po prostu pozwoliła zapłodnić się pierwszemu lepszemu koderowi – prawdopodobnie komuś, kto do-

– Och, idź już, usuń sobie wodogłowego glinę z drogówki! – warknęła Persef, obracając się zamasyżując i przewracając przy tym ich drinki. Niepewnym krokiem odeszła między stolikami, pozostawiając Io samotną w zatłoczonej sali, nagle zbyt pełnej prawdy.

...Współczesnemu obywatelowi trudno uwierzyć, jak bardzo nieefektywni byli nasi przodkowie, nawet ci w wielkich centrach przemysłowych legendarnego Dwudziestego. To jednak, co umożliwiała ludziom tamtych czasów zbudowanie pierwszej obejmującej całą glob kultury, ujarzmienie przyrody, wykształcenie mas i zapoczątkowanie podboju kosmosu, to system oparty przede wszystkim na rozrzutności i marnotrawstwie.

Na przykład pojedynczy gram złota – niezbędnego we współczesnej elektronice – uzyskać można było jedynie wydzierając z ziemi, rozdrabniając i przemywając kilka ton rudy. Pomijając już oczywiście w dzisiejszych czasach skutki ekologiczne, wymagało to także kolosalnego zużycia energii, której zaczynało brakować już na przełomie wieku.

Od skomplikowanych dóbr technicznych do zwykłych płatków śniadaniowych znacznie więcej materiałów wkładano w produkcję, aniżeli otrzymywano w postaci gotowego towaru. Przy siedmiu miliardach ludzi, których należało wyżywić – oraz ubrać, wykształcić i zapewnić rozrywkę – istniało tylko jedno wyjście: przerzucić się na zasoby odnawialne, wydajniejsze od dotychczasowych. Alternatywą była katastrofa nie widziana od czasu Czarnej Śmierci.

Biotechnologia zaofiarowała to wyjście.

Dzisiaj specjalnie projektowane genetycznie bakterie wytrącają zło-



gadzał jej seksualnie – jakby to miało cokolwiek wspólnego z jakością jego towaru!

Mieszanie interesów z przyjemnością, obniżenie zawodowych standardów oznaczało dla rzemieślniczki, a zwłaszcza dla akordzistki początek końca. Io stanęła przed oczami okropna wizja Persef za kilka lat – za bardzo pogrążonej w zdobywanie intratnych kontraktów, fizycznie zbyt wyniszczonej, by przyciągnąć do siebie koderów w celu złożenia depozytu. Skończy na tym, że będzie pobierać spermę z hurtowni i wytwarzać towary nie lepsze niż byle fabrykowa. Wreszcie straci pozycję cehową, a to oznacza stały zasilek.

Życie na zasiłku zabije Persef. Bez możliwości skupienia się na pracy, jakiegokolwiek pracy, pokusa narkotyków i seriali wkrótce zabierze ją z tego świata.

Był to tylko przeblask jasnowidzenia, ale w tym momencie oczy Io spotkały się ze wzrokiem drugiej kobiety w nagłym całkowitym porozumieniu. Czuła, że płoną jej policzki ze wstydu, wywołanego świadomością tego, iż niechcący zdradziła właśnie przyjaciółkę, nie tylko widząc, jak się rzeczy mają, ale wyrazem twarzy ukazując, że zobaczyła. Io nie ukoila Persef kłamstwami, których mówienie stanowi jednak obowiązek przyjaźni. W zamian pokazała jej surowe lustro, ukazujące czarno na białym przyszłość, przeczuwaną już w głębi ducha.

– Ja... muszę zadzwonić – Persef zaczęła odwracać się chwiejnie.

– Pers, przepra...

to i inne potrzebne pierwiastki bezpośrednio z wody morskiej. Organiczne rozpuszczalniki, niegdyś z niewyobrażalną wręcz bezmyślnością odprowadzane do wrażliwych zlewków rzecznych, obecnie wprowadzane są z powrotem do obiegu przy użyciu filtrów, właśnie w tym celu produkowanych przez zadbane, dobrze wykarmione fabrykrowy. U tych samych zwierząt zaś zmodyfikowane gruczoły mleczne wytwarzają smary, zastępujące w naszych pojazdach od dawna już wyczerpaną ropę naftową. W ten sposób korzystamy ze sprawnych metod produkcji, wykształconych w ciągu miliardów lat przez samą Naturę.

Co do produktów szczególnie złożonych, których standardy jakościowe przewyższają to, co da się osiągnąć u zwierząt, w dzisiejszych czasach wytwarzane są one przez grupę produkcyjną zajmującą się rzemiosłem na wysokim poziomie. A przecież podjęcie tej pracy nie jest ograniczone, jak to było w przeszłości, kryteriami wykształcenia, nie stanowi przywileju. Przeciwnie, jest ono osiągalne nawet w niepełnym wymiarze godzin dla każdego mężczyzny czy kobiety obdarzonego dobrym zdrowiem, u wszystkich społecznych...

CZY INTERESUJE CIĘ BIOPROD? Londyn, 2043

Spotkała go w poczekalni na lotnisku w Reykjavíku. Zachowywał się uprzejmie, a jego sylwetka i postawa zdradzały tężyzną fizyczną, choć się z tym nie obnosił.

Ubrany był powściągliwie w odróżnieniu od krzykliwej przesyady, którą niedowartościowani klienci zasiłków jakże często uważali za modę.

I, choć niewątpliwie pochodził z Europy Wschodniej, miał na tyle taktu, by nie nosić skóry tu, na Zachodzie, gdzie odrzucono już produkty wymagające mordowania zwierząt.

Jakiś czas rozmawiali o książkach, które czytała, czekając na swój lot. Wkrótce jednak ich konwersacja przekształciła się w jedną z tych ekscytujących dyskusji bez określonego tematu, ukazujących ogólną fascynację światem. Io nie starała się nawet stłumić rodzących się u niej nagłych uczuć. Metody kontroli emocjonalnej, których nauczono ją w college'u, wciąż jeszcze były dla niej zbyt nowe, zbyt abstrakcyjne. A zresztą, któż chciałby stłamsić coś tak przyjemnego jak nadzieja?

W swojej bogatej, kosmopolitycznej angielszczyźnie Wiktor proponował, że zaprosi ją na obiad. Miała dużo czasu, nie było zaś żadnych oznak tego, iż chciałby, czy spodziewał się czegośkolwiek w zamian, jedynie jej towarzystwa. Zgodziła się nieśmiało, po czym pośpiesznie uśmiechnęła się, żeby nie pomyślał, że się waha.

Zgodnie z jej skrywanymi marzeniami przesunął swą kartą kredytową przed twarzą automatycznego *maitre d'* w restauracji pierwszej klasy i wziął ją pod rękę, podczas gdy różowy promyk światła poprowadził ich przez labirynt świec i stolików do miejsca przy oknie, przez które widać było światła miasta w dole.

Popelniał również błędy... na przykład wahał korek od wina miast zbadać go dotykiem. Z pewnością był już w takich restauracjach, nie tak często jednak, by zachowywać się protekcjonalnie czy zblazowanie.

razy odwiedził Merseyside, zarówno Liverpool, jak i Ellesmere Port, a także z upodobaniem wyrażał się o Krainie Jezior, jej własnym najukochańszym miejscu na świecie.

Wbrew zasadom, których trzymała się podczas produkcji, Io pozwoliła sobie na jeden kieliszek wina. Oczywiście, już dawno temu wyuczyła się na pamięć tabel tolerancji i wiedziała, że nie zaszkodzi to jej... jej testerowi.

Nagle wspomnienie barwnego eufemizmu wywołało nerwowy chichot. Jednocześnie jednak przywołało myśl o Persef, a to sprawiło, że poczuła gwałtowny smutek. Ich rozstanie było tak chłodne. Io nie miała pojęcia, co przyniesie przyszłość, ale nuta nieodwołalności podczas ich ostatniego spotkania sprawiła, że jej wzrok zaćmił się, gdy o tym pomyślała.

Rozchwiane emocje. Szlag by to. Ryzyko zawodowe. Ale sobie znalazła moment na atak sztuczności przygnębienia!

– Ja... nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje – powiedziała, ocierając oczy. – Wybacz, ale muszę... – gestem wskazała damskie toalety. Jego uśmiech był zakłopotany i pełen zrozumienia.

– Oczywiście – odparł. – Zamówię ci ten specjalny deser, o którym wspominałem wcześniej. I – jego uśmiech pogłębił się – szklankę soku owocowego.

– Dzięki. To chyba będzie najlepsze – zaśmiała się i odeszła z pogodną miną.

„Nawet nie próbował namówić mnie na jeszcze jeden kieliszek wina” – zadumała się, manewrując brzuchem między stolikami. Wielu mężczyzn potraktowałoby to jak wyzwanie: postarać się ją



Io przypadkowo dowiedziała się o korkach ze starego czasopisma. Nawet ucieszyło ją, że Wiktor okazywał takie drobne niedoskonałości, prawie niewyczuwalny ślad ukrytej niezręczności. Nie miała ambicji, by znaleźć się w kręgu bogatych i sławnych. Ale jego wyraźna znajomość luksusu świadczyła o zrelaksowanym eklektyzmie, obyciu zawodowca... człowieka, wykonującego prawdziwą pracę. Kogoś, kto naprawdę coś robił.

Czy i ona za trzy lata będzie mogła odwiedzić takie miejsce bez palpitacji serca? Czy zdoła uśmiechać się w podobnie odprężony sposób? I zamówić potrawy z menu z taką pewnością siebie?

Czy pozna tych ludzi, którzy faktycznie sprawiali, że świat się kręci i staje coraz lepszy? Może nawet mężczyznę, interesującego się tym samym zajęciem, które tak długo już studiuje?

Naturalnie podczas tego pierwszego spotkania nie poruszali tematu jego faktycznego zawodu. Co do Io, to jej strój i sylwetka mówiły same za siebie, również jednak o tym nie wspominali. Zamiast tego opowiadał o zorzy polarnej, widocznej nawet stąd tuż ponad światłami miasta. Pewne sugestie wskazywały na to, że kiedyś być może widział ją z góry – z kosmosu – wszelako nie rozwinął tematu, a Io nie naciskała.

Całkowicie w porządku natomiast był temat podróży ziemskich, bowiem do uprawiania turystyki zachęcane były wszystkie klasy społeczne. Nadprzewodzące szyny sprawiały, że ta forma rozrywki była tańsza od wielu innych, a i socjologowie uznawali ją za pożyteczną. Turyści rzadko wywołują wojny.

Io czuła wstyd, że tak niewiele wiedziała, tak mało miała do powiedzenia. Wiktor jednak nadrobił jej braki. Na przykład wiele

upić, nawet jeśli wiedzieli, że za godzinę już jej tu nie będzie. Był to rytuał supermęskości, którego nigdy nie zdołała zrozumieć, niezależnie od tego, ile razy jej to wyjaśniano. Ale Wiktor wyglądał na dżentelmena.

Niski murek zwieńczony dekoracyjnym żywopłotem oddzielał salę jadalną od wyklejonego złocistą tapetą korytarza prowadzącego do toalet. W drodze powrotnej Io przystanęła na chwilę, aby odzyskać opanowanie. Chciała zachować przyjazną otwartość, która zachęciłaby go do poproszenia o jej numer widokom. W końcu mówił, że czasami bywa przejazdem w Liverpoolu. Mógłby wtedy zadzwonić.

Z poczuciem winy zerknęła pomiędzy krzewami, czując się niczym dziewczynka szpiegująca ukradkiem chłopca, przedmiot cudownego, sekretnego pożądanego. Właśnie od ich stołu odchodził kelner. Idąc w jej stronę, na moment przesłonił widok. Potem znów mogła dostrzec Wiktora, jak przesunął szklankę, świeżo napełnioną pomarańczowym płynem, w stronę talerza, na którym widniało coś czerwonozłotego – obiecany deser.

Jego szybkie spojrzenie w jej stronę sprawiło, że niemal schyliła się. Io zastanowił wyraz twarzy Wiktora, kiedy ten grzebał przez chwilę w kieszeni marynarki. Przez moment jakby odczuł ulgę, po czym odwrócił się w lewo – dla niej w prawo – i skinął głową do kogoś siedzącego pośród mrocznych łóż i pograżonych w cieniu kabin.

Czy rozpoznał kogoś znajomego? Nic dziwnego, biorąc pod uwagę kręgi, w jakich się obracał.

Przybierając odpowiednią minę Io wyszła zza murka i podeszła do stołu z uśmiechem. „Jest staroświecki” – pomyślała, kiedy wstał i podsunął jej krzesło.

– Co to jest? – dziabnęła widelcem wzgórek na talerzu.

– Niespodzianka. Będzie ci smakowało.

Pełny widelec zatrzymał się przy jej nosie. – Pachnie ostro.

– Bo jest – uśmiechnął się. – Dlatego właśnie zamówiłem ci coś do picia. Na pewno to polubisz – mrugnął do niej i uniósł do ust porcję z własnego talerza. Wytrzeszczanie oczu i pantomima, mająca wyrazić zachwyt, które po tym nastąpiły, rozśmieszyły Io.

Deser był znakomity. Sprawiał również, że do jej oczu napłynęły łzy.

– No! – zakrztusiła się. – Jedno jest pewne: podczas lotu nie będę miała żadnych kłopotów z zatokami!

– Zawsze wywołuje u mnie pragnienie – odparł, pociągając łyk wina. Nie odrywając od niego wzroku, sięgnęła po szklankę pełną soku.

Czy podejrzewałaby cokolwiek, gdyby nie to, że cały czas kontynuowała naukę? Gdyby nie analizy ciężko zdobytego doświadczenia, efektów stuletnich badań, nigdy prawdopodobnie nie dowiedziałaby się o tych subtelnych sygnałach, występujących u dziecka i mężczyzny w wyrazie twarzy, wzroku i głosie, a zdradzających wewnętrzny niepokój.

Ale wiedza Io była wciąż abstrakcyjna. Może zatem to instynkt – niepewny, a jednak desperacko użyteczny w momencie, gdy się

– Jeszcze wina? W twoim stanie? – zaśmiał się kpiąco i lekko protekcyjnie. – Ależ Io. Nie próbuj mi udowodnić, jaka jesteś twarda. A teraz bądź dobrą dziewczynką i wypij swoje witaminy.

„Moje witaminy?” – pomyślała Io. Sięgnęła po szklankę. „Oto moje witaminy, ty synu fabrykrowy!”

– W gumę! – zaklął, zrywając się na nogi, kiedy rozlała napój na cały obrus.

Dwa potwierdzenia w jednej reakcji. Niewinny człowiek nie wrzasnąłby tak jedynie z powodu głupiej kałuży. A prawdziwy zawodowiec nie użyłby specyficznego przekleństwa, typowego dla jednego rodzaju samodzielnych artystów.

– Ty dziwko, skąd mogłaś wie... – postąpił w przód, tym samym dostając się w zasięg wciąż siedzącej Io. Jedną ręką chwyciła luźne fałdy jego eleganckich bawełnianych spodni, drugą zaś zadała mocne pchnięcie widelcem. Rozległ się głośny trzask rozdzieranego materiału. Z siłą, jakiej jeszcze nigdy nie używała poza poródówką, Io szarpnęła krzycząc.

Przez długą chwilę wszystko wokół zamarło. Gapiący się goście. Oślupiali kelnerzy. Io, zdyszana, z wzniesionym widelcem, gotowym w każdej chwili uderzyć ponownie, tym razem w odsłoniętą ohydę.

Pod rozdartymi spodniami, zwisając jak złamana chorągiew widniał kodownik Wiktora, emblemat jego powołania. Wytatuowana licencja mówiła o kosztownej modyfikacji – łóżyskowych platynowych filtrach ekstrakcyjnych najnowszej generacji.

Nic dziwnego, że Wiktor umiał się znaleźć w stylowym otoczeniu. Tylko jeden z tych odmienionych plemników, produkowa-



pojawia – sprawił, że zwróciła uwagę na niezwykle skupienie, z jakim Wiktor obserwował jej rękę.

Odstawiła szklankę, nim jeszcze zdążyła unieść ją wyżej niż parę centymetrów. Jego spojrzenie błyskawicznie przeniosło się na jej twarz.

– Czy coś się stało?

„Proszę. Nie.” – modliła się w duchu.

– Nie, wszystko w porządku – zaczęła kolejny kęs ostrej słodyczy. – Po prostu rozkoszowałam się smakiem.

Wydawało się, że dostrzegł wahanie w jej oczach i odwrócił spojrzenie. To był błąd. Teraz unikał wzrokiem szklanki z sokiem.

Druga pikantna porcja wzmocniła efekt pierwszej. Gardło Io płonęło, w nosie czuła ogień. Nadal jednak trzymała rękę na stole, starając się przypomnieć sobie treść lekcji.

Dokładnie wyważonym tonem powiedziała: – Chyba jednak wypiję w końcu jeszcze jeden kieliszek.

Prawie natychmiast odczytała jego reakcję: szybkie paniczne zwężenie źrenic... lekki, ledwie dostrzegalny rumieniec przecinający policzki pod nieodpowiednim kątem... mimowolne skrzywienie warg, w tej samej chwili ukryte pod maską nieco asymetrycznego uśmiechu z wprawą utalentowanego pozera...

A zatem doświadczony kłamca. Lecz niewyszkolony.

Człowiek, którego Io kiedyś poślubi, nie będzie kłamał. Nauczy się jednak, jakie są tego efekty. Jak je dostrzec, wykryć i poznać.

Ten mężczyzna, mimo swych pieniędzy i obycia w świecie, nigdy nie chodził do szkoły.

nych przez niego milionami, mógł pchnąć akordzystkę ku jej największej premii w całej karierze. A dla niego spory procencik.

– Dlaczego? – szepnęła.

Bezruch ustąpił. Za plecami usłyszała zbliżające się pośpieszne kroki.

– Policja! – Wiktor powiedział głośno, tak, aby wszyscy słyszeli.

– Pragnę wnieść oskarżenie przeciwko tej wariatce o napad i zamach na moją osobę.

Na jej ramionach zacisnęły się czyjeś ręce. Niedelikatnie wyrwało jej widelec. Io odrzuciła włosy i wyzywająco spojrzała mu w oczy.

– Może zatem zabierzemy obrus na komisariat? – gestem wskazała pomarańczową plamę.

Szybkie mruganie powiek, ruch jabłka Adama towarzyszący nagłemu przekłnięciu.

– Zaczekajcie! – krzyknął Wiktor, kiedy strażnicy zaczęli ją ciągnąć ze sobą. Jego kwaśna mina stanowiła gorzką nagrodę Io. – Ja... zmieniłem zdanie. Zapomnę o tym incydencie... jeśli tylko ta kobieta wsiądzie do swego samolotu i wyniesie się stąd do diabła.

„Och, jasne” – pomyślała patrząc, jak się wije. Mężczyźni zdolni do otrucia kobiety – osobowość takich mężczyzn oparta była na pogardzie dla innych. Zapewne aż do tej chwili ani przez moment nie zastanowił się nad tym, co mogłoby się stać, gdyby został przyłapany. Teraz nareszcie zaświtało mu to, zbyt późno jednak.

– Kto? – spytała, domagając się zapłaty.

Jakby kosztowało go to utratę wszystkich zębów, wypłul z siebie jedno słowo:

– Persef!

Spojrzawszy w jego oczy Io wiedziała, że nie będzie musiała mścić się na swej bylej przyjaciółce. W odróżnieniu od typu mężczyzny, na jakiego usiłował wyglądać, Wiktor był tchórzliwym, drapieżnym stworzeniem, z rodzaju tych, co żerują wyłącznie na słabszych od siebie. Io była pewna, że nigdy już nie zbliży się do niej. Natomiast Persef – być może nawet teraz obserwująca ich z jakiegoś ciemnego kąta pomieszczenia – miała prawdziwe powody, by się go obawiać.

– Co to było? – zapytała.

Na jego wardze i brwiach wystąpiły kropelki potu. Umowa była jednoznaczna: prawda w zamian za bezkarność. Ale dotrzymując swej części Wiktor wiedział, że bez reszty oddaje się w jej ręce.

– Para... Parapyridyna 4 – wyszeptał szybko, starając się, aby była jedyną osobą, która to słyszy.

Nagle Io zakręciło się w głowie. Ręka, którą dotknęła szklanki z sokiem zadrżała, jakby zbrukana. Substancja, którą wymienił, ani odrobinę nie wpłynęłaby na stan jej zdrowia. Zrujnowałaby jednak produkt w jej brzuchu i sprawiła, że jajeczka w przyszłości nie nadawałyby się absolutnie do niczego. Po wypiciu odrobiny miałyby szczęście, gdyby jeszcze mogła kiedykolwiek urodzić filtry rozpuszczalników.



– Dlaczego? – powtórzyła swe pierwsze pytanie.

Na jego twarzy malowała się teraz całkowita rezygnacja. – Zaczynałaś cholernie zadzierać nosa. Chciałaś wspiąć się wyżej i zostawić swoich przyjaciół, swój cech. Uważaliśmy... oni sądzili, że przyda ci się uświadomić, gdzie jest twoje miejsce.

– To było... dla twojego dobra – zakończył nieprzekonywająco. Jego czarująca pewność siebie zniknęła bez śladu. Io zdumiała się, że kiedykolwiek mogła się na nią nabrać.

– Przepraszam, czy ten mężczyzna przyznaje się do zamachu na pani zdrowie?

Io odwróciła się, po raz pierwszy dostrzegając obok siebie blondyna, islandzkiego policjanta. Najwidoczniej śledził on urywki ich przerywanej rozmowy, z wyraźną wprawą wychwytyjąc poszlaki i aluzje. Jego spojrzenie powędrowało od jej sztucznego stroju do tatuażu Wiktora i zaplamionego obrusa. W oczach zaświtało podejrzenie.

Mówił po angielsku tak, jak to czynią wykształceni Islandczycy – lepiej niż rodowity Anglik.

– Może chciałaby pani złożyć na niego skargę?

Przez sekundę Io wpatrzyła się w jego twarz w nagłym objawieniu. Ujrzała tam współczucie i jeszcze coś... pewność siebie, nie mającą absolutnie nic wspólnego z arogancją... szczerść wypływającą jedynie z umiejętności i niewzruszonego poczucia własnej użyteczności. Skonfrontowana z autentycznym Io nie mogła uwierzyć, w jaki sposób dała się ogłupić gierce Wiktora.

Najprawdopodobniej to niedoświadczenie i pobożne życzenia. Będzie musiała przedyskutować to ze swymi nauczycielami.

– Nie – odparła miękko. – Nie zamierzam wnosić skargi. Czy mógłby mnie pan jednak odprowadzić do mojego wyjścia? Myślę, że przydałoby mi się oparcie.

Ostatni raz widziała Wiktora, kiedy przez ramię podziękowała mu za kolację. Zrównoważony ton jej głosu musiał być dla niego bardziej denerwujący niż cokolwiek, co mogłaby powiedzieć. Zostawiła go tak stojącego, obnażonego i bladego.

Łagodny, lecz silny uchwyt oficera podtrzymującego jej ramię pomógł Io odejść z podniesioną głową. Wiedziała, że gdzieś w mroku restauracji obserwuje ją jeszcze jedna osoba – ktoś, komu brak odwagi, żeby się pokazać. Io nie chciało się nawet szukać w cieniu tych znajomych oczu. Nigdy ich już nie zobaczy.

...Wcześniej zapoznaliśmy się z wyjątkami z dzieł autorów wychwalających dobrodziejstwa systemu przemysłowego opartego na wydajnych procesach montażu biologicznego. I nie ma żadnych wątpliwości, że techniki te w znacznym stopniu przyczyniły się do relatywnego komfortu, w jakim żyje dziś dziewięć miliardów ludzi, a zwłaszcza do tego, że nikt z nich nie głoduje.

Mistycyzm katolików madryckich, ich religijna odraza do nawet całkowicie dobrowolnego wykorzystywania ludzkiego układu rozrodczego w przemyśle, jest w dzisiejszych czasach podzielany przez niewielu. Odwrotnie, przywilej biedaków do korzystania ze zdolno-

ści ich ciał, uświęcony jest przez prawo dotąd, dopóki ochotnicy uzyskują odpowiednie kwalifikacje i ograniczają się do licencjonowanego materiału, nie będącego embrionami ludzkimi.

Mimo to pojawiają się też krytyczne opinie na temat tego systemu, odnoszące się do spraw bardziej racjonalnych – naukowych, biologicznych, ekonomicznych i kulturowych. Wyrażają one obawę, że samo nasze fundamentalne podejście do życia jako takiego z każdym dniem ulega powolnej, lecz głębokiej przemianie. I zmiany te zachodzą bez właściwego rozważenia ich możliwych długofalowych konsekwencji. Oddając im sprawiedliwość, wątpliwości te należy traktować poważnie...

PRZEGLĄD PROBLEMÓW WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA,

Nowy Jork, 2049 ...Być może nadejdzie czas, kiedy te wyjątkowo surowe przepisy, dotyczące uzyskiwania zezwoleń będą mogły zostać złagodzone. Tymczasem jednak faktyczna wartość tego szczególnego produktu dla społeczeństwa – niewątpliwie najcenniejszego wyrobu, produkowanego przez jakąkolwiek społeczność – przekonała zarówno prawników, jak i wyborców do uznania, że ten jeden zawód wymaga szkolenia, kwalifikacji i szacunku, jak żaden inny...

AKT O AKCEPTACJI, 2039

Jeszcze jednym ujemnym aspektem prac jajowych był długi i zdecydowanie zbyt realistyczny poród. Io uwierzyła lekarzom na słowo, że w dalszym ciągu jest on nieco łatwiejszy aniżeli „autentyk”. Stanowiło to jednak niewielką pociechę.

Nie żeby specjalnie obawiała się trudności czy wysiłku. Io wiedziała, co robi.

Jednak Joey trzymał ją za rękę podczas męki przejścia. A potem otarł pot z jej czoła. – To tylko część usług zapewnianych przez agencję – powiedział jej. Jeszcze jeden powód, dla którego tak niewiele klientek kiedykolwiek go opuściło.

Oczywiście Io wiedziała lepiej. Joey, niech Bóg go ma w swej opiece, naprawdę się tym przejmował.

– Czy pamiętałam, żeby przekląć cię za to, że mnie w to wrobiłeś? – zapytała, kiedy najgorsze już minęło.

– Niestety. Zapomniałaś – Joey uśmiechnął się. – Straciłaś swoją szansę. Zgodnie z tradycją nic, co powiesz podczas przejścia, nie może być użyte przeciwko tobie. Może następnym razem.

– Mówiłam ci już, Joey, nie będzie żadnego...

– Szszsz. Porozmawiamy o tym później. A teraz skoncentruj się. Najgorsze już za tobą, ale wciąż jeszcze czeka cię sporo mocnego parcia.

– Dobra.

Drżenie. Pierwszy znak. Io skupiła się na swym oddechu i była przygotowana, gdy nadeszły kolejne skurcze.

– Dobrze, dobrze – pochwaliła ją przemysłowa położna. Ta techniczka pracująca dla Technique Zaire dyrygowała swymi podwładnymi z szorstką precyzją. – Teraz proszę nastawić się na ostatni wysiłek.

widzieć, kiedy podeszli, aby pokazać jej coś opatulonego w pieluszki.

Nie wiedzieli. Nie mogli wiedzieć, jak się czuła.

Jej piersi pulsowały, kiedy przytwierdzali maszynę do pierwszego odciągania, łagodzącego nieznosne napięcie. Eksploatacji drugorzędного produktu z prawej. Trzeciorzędного z lewej.

Produkt trzeciorzędny. Siara i ludzkie mleko, pięć pensów gram.

Lewa pierś wysyłała niechciane sygnały do jej mózgu.

– Io, właśnie mi powiedzieli. Są tak z ciebie zadowoleni, że chcą odnowić...

– Och, Joey! – krzyknęła. – Proszę cię, odejdź! – Jej głowa zakotyła się. – Po prostu idź już.

A więc odeszli, pozostawiając ją zasłuchaną w rytmy, odgłosy maszyn, bicie własnego serca, śpiew krwi w żyłach.

„To musi być tego warte” – pomyślała. Modliła się. Musi!

Do: Pani Iolanthe Livingstone,

Marina Drive 93,

Ellesmere Port, Merseyside

Nadawca: Departament Akceptacji i Zezwoleń.

Oddział na Wielką Brytanię

Szanowna pani Livingstone,

Z ogromną przyjemnością zawiadamiamy, że wyniki testów, staż, doświadczenie i rekomendacja instruktorów zdołały w su-



Ilustracje – Monika Grycko

– Ach! – Io gwałtownie wypuściła powietrze. – Ach! – A potem straciła poczucie czasu. Poczucie świadomości. Chwila za chwilą wykonywała polecenia tych, których zadaniem było jej pomóc. Kilka razy krzyknęła głośno, dokładnie tak, jak ją tego nauczono, oszczędzając siły na ostateczny moment.

Kiedy wreszcie nadszedł, był prawie rozczarowaniem. Przejście, uwolnienie, wydobyć. Przerwanie jakże znajomego złącza.

Pustka.

Zakrzęta technicy nie poświęcali jej ani krzty uwagi. Nawet Joey rzucił się naprzód z niecierpliwością. Kiedy wrócił, jego oczy lśniły.

– My... myślałem, że to będzie statkomózg. Io, myliłem się jednak. To gwiazdomózg!

– G-gwiazdomózg?

– Tak! Porządny, duży, zdrowy gwiazdomózg. Jedyny biofabrykowany produkt licencjonowany do użycia prawdziwych ludzkich genów! Jedyny, który czuje!

Dolna warga Io zadrżała. W jej oczach zakręciły się łzy. Zaczęła szlochać. Joey, biorąc to za oznakę radości, pysznił się dalej.

– Jezu, Io, on będzie myślał. Pilotował gwiazdoloty. Na miłość boską, dyskutuje się nawet projekt ustawy, przyznającej im prawa obywatelskie! Czy wiesz, ile płacą za zdrowy...

Głos Joeja brzęczał dalej, ciche zawołanie źle skierowanego entuzjazmu. Io wyłączyła się. Zakryła ramieniem oczy tak, by nie

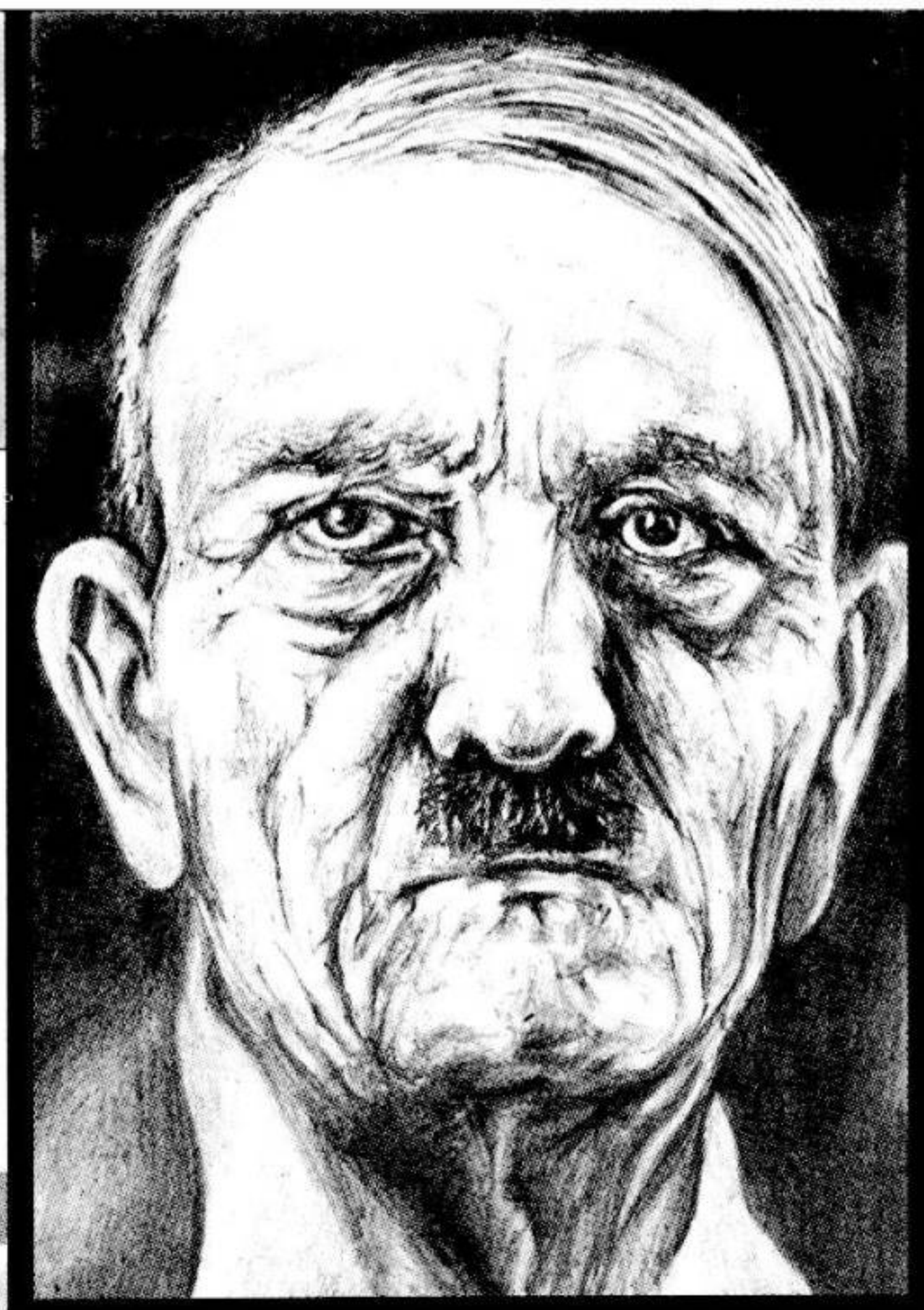
mie przekonać Zarząd, iż naprawdę kwalifikujecie się do otrzymania zezwolenia, o które prosicie. Wytrwałą pracą zdobyliście umiejętności tak cenne dla całej ludzkości. Umiejętności, które doprowadzić mogą do uzyskania nowej generacji ludzi, nareszcie wolnej od nękających nas od wieków okrucieństwa, strachu, nerwicy i nie spełnionych możliwości – plag, które o mało nie zniszczyły naszego świata i do dziś ciężko nas doświadczają.

Z pewnością wasza osoba i zawodowy entuzjazm dodadzą nam nowych sił w walce o tę lepszą przyszłość.

A zatem od dzisiejszego dnia zostajecie niniejszym upoważnieni do podjęcia najbardziej wymagającej i najważniejszej ze wszystkich pracy.

Gratulujemy. Jesteśmy pewni, że będziecie doskonałą matką.

Dla dobra dziecka...



Brian W. Aldiss

Swastyka!

(Swastika!)

30 kwietnia 1945 roku, w swoim bunkrze pod Kancelarią Rzeszy, Adolf Hitler przegryzł ampułkę z cyjankiem potasu. Potem jego ordynans Heinz Linge strzelił mu w głowę i ciało führera wyniesiono do ogrodu Kancelarii, gdzie zostało spalone, czy też częściowo spalone.

Niektóre z tych „faktów” przedostały się do wiadomości publicznej prawie natychmiast. Na szczęście, wojska sowieckie pierwsze przybyły na miejsce zbrodni i, zaledwie w dwadzieścia trzy lata później, ujawniły resztę. Jest jednak coś, co każe mi powątpiewać w prawdziwość całej tej historii: przypadkiem wiem, że Hitler jest zdrow i cały, i mieszka w Ostendzie pod przybranym nazwiskiem – w każdym razie zakładam, że jest ono przybrane – Geoffreya Bungle-vestera.

Byłem go odwiedzić w zeszłym tygodniu, żeby zdążyć przed atakiem mroźów. Rzecz jasna, bardzo się ostatnio posunął, ale i tak jest zadziwiająco rzeński jak na swój wiek i nadal interesuje się polityką, popierając Flamandów przeciw Wallonom.

Jak zwykle spotkaliśmy się w małym zacisznym barze w pobliżu jego miejsca zamieszkania. Rozmawialiśmy o interesach, ale stopniowo przeszliśmy do tematów bardziej osobistych.

– Czy oglądając się wstecz – spytałem – żałujesz czegoś?
– Żałuję, że nie poświęciłem więcej czasu malarstwu – powiedział z zadumą. – Pejzaże to było coś dla mnie. Pochlebiam sobie, że zawsze miałem oko na piękne krajobrazy. Nadrenia, Austria, Czechosłowacja, Polska...
– Rzeczywiście niektóre z twoich wczesnych akwarel zdradzały nieprzeciętny talent, ale czy nigdy nie żałowałeś żadnej ze swoich decyzji... powiedzmy, militarnych? – wtrąciłem, żeby nie uciekł od tematu.

Spojrzał mi prosto w oczy odgarniając z czoła kosmyk włosów.
– Nie mówisz chyba tego ironicznie, Brian?
– Ależ skąd, Geoff, broń Boże!
Pochylił się nad stolikiem i obejrzał się za siebie.
– Jesteś Aryjczykiem, prawda?
– Chodziłem do dobrej angielskiej szkoły, jeżeli o to ci chodzi.
– To mi wystarczy. Niezrównany system dyscypliny! Cóż, przepraszam cię, już myślałem, że chcesz mnie krytykować za próbę zastosowania ostatecznego rozwiązania problemu żydowskiego.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło, Geoff.
– No dobrze, ale przyznaję, że ta kwestia jest dla mnie dość drażliwa. Byłem za to bardzo nieobiektywnie krytykowany od czasu upadku Trzeciej Rzeszy w roku 1945. Musisz wiedzieć, że za eksterminacją Żydów krył się znacznie głębszy zamiar. Miała to być tylko rozgrzewka dla wprowadzenia maszyny w ruch. Celem ostatecznym, do którego realizacji planowałem przystąpić w roku 1950, póki mi tak brutalnie nie przeszkadzono, była eksterminacja ras murzyńskich.

Wstrzymałem oddech, kiedy uświadomiłem sobie ogrom jego wizji.
– Niewątpliwie, błąd taktyczny... – wyjąkałem.
Ze swoim niemal chłopięcym entuzjazmem nie zrozumiał tego, co chciałem powiedzieć. Pochylając się nad stołem, z błyskiem w oku powiedział:

– Tak, zapewne błędem było (jak widzisz, przyznaję, że nie jestem wolny od błędów), że nie ogłosiłem światu swojego wielkiego planu. Wówczas zdobyłbym serca Amerykanów i nie wypowiedzieliby mi wojny. Cóż, za późno teraz płakać nad rozlanym mlekiem... Wielka szkoda, że nie udało mi się przeprowadzić likwidacji Murzynów! Przyznaję, że początkowo mogło się to wydać kontrowersyjne, ale później zostałbym uznany, nie bójmy się powiedzieć, za dobroczyńcę ludzkości.

– Przez wszystkich prócz Murzynów.
Wziął moją uwagę za dobrą monetę.
– Drogi chłopcze, nawet sami Murzyni przyznają, że nikt ich nie lubi. A ja po prostu wyprowadziłem z tego faktu logiczne konsekwencje. Bóg mi świadkiem, że nigdy nie zabiegałem o popularność dla samej popularności, ale musisz przyznać, że przez całe życie spotykałem się z niezrozumieniem. Nawet Niemcy musieli udawać, że odwrócili się ode mnie.

Potrząsnął głową z wyrazem wielkiego smutku na twarzy.
– Cóż, Geoff – powiedziałem, żeby go pocieszyć – świat zawsze tak traktował pokonanych, nie ma za grosz szacunku dla ambicji...

– Pokonany! Kto tu jest pokonany? Czyżbyś ty też padł ofiarą kłamliwej żydowsko-burżuazyjno-bolszewickiej antynazistowskiej propagandy? Ja nie zostałem pokonany...

– Ale przecież w roku 1945...
– To, co się wówczas stało, nie ma żadnego znaczenia! Po prostu w tym roku zdecydowałem się wycofać z czynnego życia politycznego i pozwolić innym przejąć niełatwą rolę kierowania wojnami i budzenia z niewolniczego ośpienia całych narodów.

– Nie chcesz chyba powiedzieć... Twierdzisz więc, że odniosłeś coś w rodzaju psychologicznego zwycięstwa?

Nalał czerwonego wina i rozcieńczył je wodą mineralną.
– To moi dawni rasowi wrogowie szerzyli kłamstwo, że rok 1945 był początkiem pokoju. To nieprawda, albo coś, co stary Winston nazwałby na swój zabawny sposób nieścisłością terminologiczną. Był to rok, w którym Amerykanie rzucili pierwszą bombę atomową i zapoczątkowali wyścig zbrojeń jądrowych, nie słabnący do dzisiaj, zwłaszcza teraz, kiedy USA i ZSRR udało się zachęcić do udziału w nim Chiny. My, niestety, nigdy nie mieliśmy możliwości, żeby produkować środki wojenne na taką skalę!

– Ale przecież nie możesz porównywać zimnej wojny z drugą wojną światową, Adolfie!

– Dla ciebie Geoff.
– Chciałem powiedzieć, Geoff. Przepraszam.
– Ja nie porównuję. Jedna rozwinęła się z drugiej. Rok 1945 oznaczał przejście do nowej fazy. Kontynuacja jest oczywista. Spójrz tylko na Rosjan! Nie mam zbyt wysokiego mniemania o rasie słowiańskiej, ale jedno trzeba im przyznać: ich polityka agresji utrzymuje się niezmiennie od pół wieku. Czy przypominasz sobie niejakiego Józefa Stalina? Nieco oprysz-

kowaty, ale ogólnie człowiek z tych, których lubię. Powiedział mi... chyba to było w 1938, że chce wejść do Europy...

– Wspólny Rynek?
– I rzeczywiście postawił na swoim, a niedawno jego następcy wkroczyli, jak ja kiedyś, do Czechosłowacji! – Z nieukrywaną przyjemnością klepał się w udo. – To były czasy! Piękne miasto, Praga! Słońce świeci, Wehrmacht w paradnych mundurach, jadą czołgi, wszyscy krzyczą „Heil...”, powiedzmy „Heil ja”, a małe czeskie dziewczynki wręczają nam bukiety kwiatów... – Miłe wspomnienia zmiękczyły jego twarde zazwyczaj rysy. – Byłeś wtedy dzieckiem, Brian...

– Mimo to pamiętam ten dzień. Ale rosyjska inwazja Czechosłowacji w roku 1968 to coś zupełnie innego...

– To kontynuacja drugiej wojny światowej, tak samo jak wojna koreańska, Wietnam czy zamieszanie na Bliskim Wschodzie. Wszystko to są ogniska od pochodni, którą ja zapaliłem w Europie.

– Tu muszę się nie zgodzić. Przyznam się, że nie ogarniam tej myśli. Ostatecznie układy pokojowe z 1945 roku...

– Nie chciałbym być niegrzeczny, ale przypominam, że znajdowałem się wówczas bliżej centrum wydarzeń niż ty. Jestem pewien, że generał Curtis Le May, czy wasz „Monty” nie uważają wojny za skończoną, daleko nie. Ludzie tacy jak oni – silni, urodzeni z domieszką żelaza, mający zawsze w sobie coś z Bismarcka – dzielają wielką wizję pokoju jako czasu na wzmocnienie armii. Jak wino? Dolać może wody?

Przykryłem kieliszek dłonią. – Nie, dziękuję. Jest w sam raz. Nie powinniśmy się sprzeczać o...

– Wybacz, ale musimy się sprzeczać, jeżeli się ze mną nie zgadzasz. Moja wojna, bo za taką ją uważam, toczy się nadal, rozpala się stale na nowo i wkrótce może nawet wrócić do swojego źródła. Cóż to jest, jak nie zwycięstwo moje i moich ideałów?

Wzruszony, jeżeli nawet nie przekonany, czułem, że obcuje z wielkością.

– Zawsze ten sam stary wojownik! Nigdy nie zrezygnowałeś, co?
– Rezygnacja! Kto może sobie pozwolić na rezygnację? Poza tym świat nigdy nie dał mi prawdziwych powodów do rezygnacji. Nie brak w nim urodzonych wojowników.

– Chyba tak. Ale byłem nieco zdziwiony słuchając, jak mówisz o generale Le May. Zdawało mi się, że zasadniczo żywisz niewielki szacunek dla amerykańskiego ducha?

Upiwszy łyk spojrzał na mnie z naganą.
– Bądźmy sprawiedliwi dla Amerykanów. Wiem równie dobrze jak ty, że cały ich kontynent został opanowany przez bandę Słowian, Żydów, Meksykanów, Hiszpanów oraz szumowiny z Afryki i Skandynawii. Ale na szczęście zachowali też kręgosłup teutońskiego i anglosaskiego ducha żołnierskiego. Nie wszyscy są tam zazjatyżowanymi dekadentami jak Roosevelt. Wiem, że w przeszłości często przeważała rasowo podejrzana lokajska mentalność rodem z getta, ale ostatnio dochodzi do głosu zdrowszy i bardziej racjonalny element, przeważając nad rozkładowymi siłami demokracji. Bardzo mnie podniosła na duchu dziarska, bezkompromisowa postawa Reagana i gubernatora Wallace'a. Prezydent Nixon też bywa niezły. Oczywiście, amerykańska wojna ćwiczebna w Wietnamie była prowadzona beznadziejnie... To nie wojna, a jakieś...

– Ciepłe kluski?

– Dobrze powiedziane, ciepłe kluski. Poza starym de Gaulle'em wszyscy Francuzi to ciepłe kluski, co? O czym to ja mówiłem? Tak, w Ameryce szerzy się duch bardziej realistyczny. Nie zdali z logiki cofając się przed użyciem broni jądrowej w Wietnamie, ale ta asekurancka postawa ulega zmianie i spodziewam się, że wkrótce zastosują takie rozwiązania dla przywrócenia dyscypliny w swoich własnych granicach.

– Zawsze ten sam wielki strateg! – uśmiechnąłem się. – Czy często powracasz myślą do swoich starych kampanii?

– Nie sędzę, nie częściej niż większość ludzi. To Himmler był okropnie sentymentalny, ja nie. Powiedziałbym, że jestem dość przeciętnym typem człowieka. Wolę żyć dniem dzisiejszym. Przyjaciół z Anglii przysyła mi codziennie „Timesa”. I, jak ci już chyba wspominałem, pisuję teraz wiersze. – Uśmiechnął się skromnie z drgnięciem wąsików.

– Nie wiem, jak się do tego odniesiesz, Geoff, ale chętnie bym kiedyś rzucił okiem na twoje wiersze.

Wyprostował się i spojrzał na mnie z półuśmiechem, ale chyba dostrzegłem mgiełkę w jego oku, jakby poczuł się wzruszony moim zainteresowaniem.

– Dlaczego miałbyś się interesować wierszami starca?
Może to rozcieńczone wino zrobiło swoje. Pochyliwszy się nad stolikiem powiedziałem:

– Geoff, nie wyobrażasz sobie, ile dla mnie znaczyłeś, kiedy byłem dzieckiem. W Anglii nigdy nie mieliśmy silnego przywódcy, jakim ty byłeś w latach trzydziestych i, na Boga, rozpaczliwie potrzebujemy kogoś takiego teraz; Edward Heath jest o wiele za miękki i tolerancyjny! Ja... dobrze... wiem, że to zabrzmiało sentymentalnie, ale byłeś dla mnie jak ojciec, dla mnie i dla tysięcy takich jak ja, którzy mieli szczęście żyć w czasie wojny. Ach, te wspaniałe marsze z pochodniami, te okrzyki, te piękne piersiaste frau-



Piotr Łopalewski

PĘDZEL I MŁOT(ek)

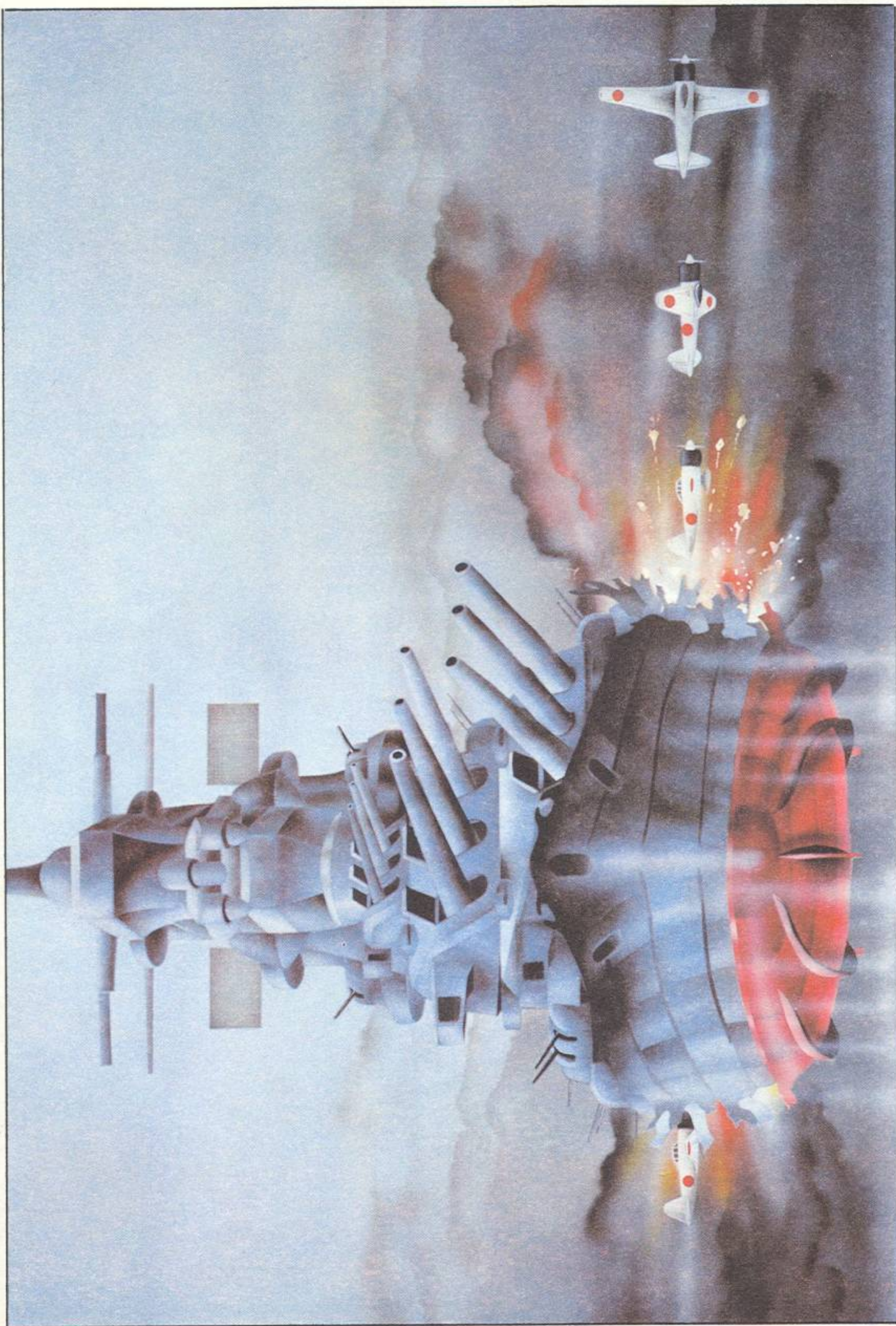
Piotr Łopalewski gości w GALERII już po raz drugi (poprzednio w „Fantastyce” nr 7/87). Z prezentacją jego nowych prac się ociągałem, czekając na specjalną okazję. Taką okazję stworzyło zaplanowanie przez naszą szefową od literatury zagranicznej, Dorotę Malinowską, opowiadania Davida Brina „Akord”. Myślę, że te dwa nie nasze światy doskonale się uzupełniają. Wreszcie więc proponuję GALERIĘ Made in Poland.

Piotr Łopalewski urodził się w 1946 roku w Zabrze. Jest absolwentem Wydziału Form Przemysłowych Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Uprawia malarstwo, rysunek, grafikę, plakat. Swoje prace wystawiał w kraju i za granicą (Szwecja, RFN, Szwajcaria).

Andrzej Brzezicki

Piotr Łopalewski







lein, ten bezbłędny krok defiladowy twoich żołnierzy! A potem ten dramatyczny podbój Europy... To było cudowne! Nieważne, że byliśmy po przeciwnych stronach; wiedzieliśmy, że w głębi serca jesteś przyjacielem Imperium Brytyjskiego.

– Lepszym przyjacielem niż dekadencyjni Amerykanie. – Spojrzał na swój kieliszek i trudno było nie zauważyć zmarszczek znużenia wokół jego ust. – Tak, Brian, to były wspaniałe czasy, nie ma co do tego wątpliwości. Nie musisz sobie wyrzucać, że czułeś tak, jak czułeś. Nikt dzisiaj nie ma już tej klasy: Rosjanie, Południowi Afrykanie, Rodezyjczycy, Portugalczycy... To już nie ta klasa.

Potrząsnął głową. Przez moment obaj byliśmy zbyt wzruszeni, żeby mówić, zastanawiając się, czy wspaniałe czasy na Ziemi nie należą już do przeszłości. Po chwili spytałem cicho:

– Geoff, czy nigdy nie żałujesz, że sprawy nie potoczyły się inaczej? To znaczy, dla ciebie, osobiście?

Nigdy nie zapomnę jego odpowiedzi. Nie podniósł oczu, nadal obejmował kieliszek lekko trzęsącymi się rękami (starcza dolegliwość nadal czasami przypominała o sobie) i wpatrywał się w wino. A potem, głosem, w którym słychać było tłumione łzy, powiedział:

– Jak wiesz, na starość staję się sentymentalny. Ale chwilami ogarniają mnie wątpliwości, czy świat wejdzie kiedyś na właściwe tory. Nieustanna konfrontacja Wschód – Zachód to coś pozytywnego, a dwie wzajemnie związane manie prześladowcze Rosji i Ameryki utrzymywały świat w gotowości bojowej w nieciekawych skądinąd czasach. Ale...

Westchnął. Żaden człowiek nie powinien być tak samotny, jak on w tej chwili. Przypominał mistyka oglądającego wspaniałą wizję przez teleskop z niewłaściwego końca.

– Ale... – przypomniałem mu. – Czy miałeś plan?

– Przez wszystkie te lata zjeżdżali się do mnie emisariusze. Mogę ci chyba powiedzieć. Przybywali pokornie do mnie, mieszkającego na wygnaniu tutaj, w Ostendzie. Sowieci i Amerykanie, Brytyjczycy też, jeżeli o to chodzi. Przyjeżdżali tu w największej tajemnicy. Tak, i mali kacykowie też. Naser, Hussein, ten facet z Rodezji... Jones? Smith?... Ten lizus Czou En-lai, Castro – parszywy mały komunista! Wszyscy na kolanach przede mną! Nawet... tak, nawet generał Dajan z Izraela. Całkiem sympatyczny jak na... Wszyscy błagali mnie, żebym pokierował ich wojnami, uściślił je, poprowadził. „Oddam, panie, cały Ocean Spokojny, jeżeli pomoże mi pan zdobyć Pekin”. Tak mi powiedział ten... pamięć mnie zawodzi... Sukarno. Zawsze chodziło im o to, żebym to był ja. Stara charyzma działa...

– Albo się ją ma, albo nie – zgodziłem się. – Dlaczego nie przyjąłeś ich propozycji... mam na myśli Rosję i Amerykę?

– Bo te durnie chciały, żebym nimi rządził nie dając mi pełni władzy! – uderzył pięścią w stół. – Chcieli mnie i jednocześnie bali się mnie! Lyndon B. Johnson i ja spotkaliśmy się tu, w tej kawiarni... w cztery oczy... pamiętasz Lydona B. Johnsona? Mówię ci to w zaufaniu i nie chcę, żeby wyszło poza nas.

– Możesz mi zaufać – zapewniłem go żarliwie. Oczywiście mało mi nie wyskoczyły z głowy. – Naprawdę spotkałeś się tu z Lyndonem B. Johnsonem?

– Zapłacił rachunek. Nalegał na to. Dość pyskawy, mówił, że przysłała

go żona! Miał kłopoty zagraniczne z komunistami i wewnętrzne z Murzynami oraz z białym, krypto-mulackim elementem wyrotowym. Czy bym mu nie pomógł? Powiedziałem, że tak. Ze mną na czele Stany Zjednoczone podbiłyby cały świat, nie ma co do tego wątpliwości! Najpierw Rosja – wykorzystać wszystkie te rdzewiejące bomby H! Potem inwazja i racjonalizacja Europy. A potem reszta świata wypalona do czysta, począwszy chyba od Ameryki Południowej. Wypalona do czysta. Żadne ciepłe kluski.

– Dlaczego Johnson na to nie poszedł? Widzę, że to była dla niego wielka szansa.

– Może mi nie uwierzysz, ale miał jakiś poroniony pomysł, żeby ocalić z pożogi Indie. W głębi serca był tchórzliwym liberałem i cała sprawa upadła. Byłem zdumiony.

– Dlaczego ktoś miałby ratować Indie? Dlaczego akurat Indie?

– Mój drogi, amerykańskie ambicje kolonialne są dla mnie tak samo nieprzeniknione, jak dla ciebie! Szkoda, bo wspólnie – a jeszcze lepiej, gdybym to robił sam – moglibyśmy zbudować znacznie schludniejszy świat, świat, w którym każdy robiłby to, co mu się każe!

– Tchórzostwo, zawsze to tchórzostwo – powiedziałem po chwili. – Podczas wojny mieliśmy kolektywne kierownictwo, naloty, dyscyplinę i wszyscy ciężko pracowali. A teraz ugrzęźliśmy w społeczeństwie tolerancyjnym.

On jednak myślał o swoim. Minęła chwila, zanim się odezwał, widziałem, że bar będą zaraz zamykać.

– Jak ci już mówiłem, na starość staję się sentymentalny. I coraz częściej żałuję, że nie zacząłem od Anglii zamiast od Polski. To ładniejszy kawałek świata i ludzie są tam miłsi. Mogłbym osiąść na przykład w Torquay i ożenić się z miłą Angielką czystej krwi. Ale widać nie było mi to sądzone. Nie ma co zastanawiać się nad tym, co mogłoby być...

Musiał już iść. Noga za nogą odprowadziłem go ulicami Ostendy do domu. Miał na sobie stary, szary trencz, wciąż jeszcze ze swastykami, których nigdy nie odpuł. Jakież to były symbole nostalgii! W błysku olśnienia znalazłem tytuł do musicalu o nim, który przyjechałem omówić. „Swastyka!” Jasne jak słońce! „Swastyka!” Zawsze będę wspominał tę chwilę jako najbardziej dramatyczną w moim życiu, z wojną włącznie.

Zatrzymaliśmy się na progu.

– Nie zapraszam cię do środka – powiedział – bo dozorczyńni ma gripę. – Z właściwym sobie humorem zawsze nazywał Martina Bormanna dozorczynią.

– Miło było z tobą porozmawiać – powiedziałem.

– Mnie też – odpowiedział. – I obiecuję przyjechać do Londynu na premierę. Pod warunkiem, że muzyki nie napisze jakiś Bernstein.

– Możesz na mnie liczyć – zapewniłem go. – I pamiętaj, dwa i pół procent brutto.

Wymieniliśmy pełne zrozumienia spojrzenia. Ze względów sentymentalnych chciałem go pożegnać w wiadomy sposób, ale krępowałem się nieco z powodu przechodniów. Ująłem więc tylko w obie dłonie jego drżącą rękę.

– Do widzenia, Geoffrey!

– Auf widersehen, Brian, mój drogi chłopcze!

Z wilgotnymi oczami pośpieszyłem na lotnisko, z kontraktem w kieszeni.

Przełożył Lech Jęczynek

CZARNA DZIURA HISTORII

Hitler i nazizm do dzisiaj fascynują nie tylko historyków, ale i artystów (zauważmy, że słowo fascynacja i faszyzm mają ten sam rdzeń). Ten kilkunastoletni epizod w dziejach świata, ta niestychana erupcja zła w samym sercu najbardziej ucywilizowanego kontynentu jest na pozór czymś tak dziwnym i obcym, że może sprawić wrażenie przebitki z innego świata, fragmentu jakiejś innej historii.

Autorzy utworów SF przedstawiających różne możliwe dzieje hitleryzmu szli w dwóch kierunkach. Pierwszy z nich to wizja świata, w którym Hitler zwyciężył. Dawało to okazję do prezentowania okrutnych utopii, upadku kultury lub sadystycznych wizji z Göringiem urządzającym polowania na ludzi („The Sound of His Horn” Sorbana). Niejednokrotnie wykorzystywano motyw podróży w czasie i interwencji w historię. Oto na przykład w powieści „The Proteus Operation” (1985) znanego czytelnikom „Fantastyki” Jamesa P. Hogana Niemcy hitlerowskie podbiły cały prawie świat prócz Ameryki. Prezydent Kennedy wysłał w roku 1975 agentów w przeszłość, żeby zamordować Hitlera. Pomysł ten wykorzystywany był kilkakrotnie i wówczas mamy albo inną wersję historii, albo – jeżeli zabójstwo nastąpiło w Berlinie w roku 1945 – nasza historia jawi się jako wynik nadzwyczajnej interwencji, jest historią szczęśliwą. Jak powiedział chyba Brian Aldiss, jeżeli sądzicie, że nasz świat jest kiepski, to powinniście zobaczyć kilka innych.

Druga grupa utworów przedstawia świat, w którym hitleryzmu nie było. Autorzy kasują w nich ten, tak ich zdaniem mało prawdopodobny incydent przedstawiając inne, gładziej wersje historii XX wieku. Najbardziej znanym z tych utworów jest zapewne powieść Normana Spinrada „The Iron Dream” (Żelazne marzenie). Hitler emigruje tutaj do USA i nie znajdując pola do działań politycznych realizuje swoje obłądne wizje w podrzędnych powieściach science fiction. Podobnie w opowiadaniu „Catch that Zeppelin!” (Zatrzymajcie ten Zeppel-

in!) Fritza Leibera. Hitler jest w Nowym Jorku drobnym urzędnikiem w niemieckim biurze podróży. Gene Wolfe w znakomitym opowiadaniu „Jak wygrałem drugą wojnę światową” pokazuje jako odpowiednik wojny rywalizację ekonomiczną między brytyjskimi firmami samochodowymi a Volkswagenem.

Philip K. Dick w „Człowieku z Wysokiego Zamku” stworzył świat z dojrzałym, zwyczajnym nazizmem, ale występuje on tylko w tle – autora interesują bardziej stosunki japońsko-amerykańskie. Tylko ktoś z naszej części Europy mógłby się pokusić o wersję historii, w której dojrzały hitleryzm podejmuje próbę reformy. Na przykład zjazd NSDAP po śmierci Hitlera obciąża go odpowiedzialnością za pewne błędy i wypaczenia. Przecież o obozach krążyłyby tylko słuchy i można by ujawnić jedynie część zbrodni, żeby ukryć resztę. Czy Generalna Gubernia próbowałaby wybić się na niepodległość? Jak jest po niemiecku *pleriestrojka*?

Jeżeli odłożyć na bok science fiction, to można podejrzewać, że był to naturalny owoc wleku Oświecenia, zwyrodniały przejaw czynników irracjonalnych, którym odmówiono miejsca w życiu społecznym, usiłując sprowadzić człowieka do jego (wcale nie największej) części racjonalnej. Kiedy na ołtarze wynosi się Człowieka, kiedy oddaje się boską część Rozumowi, można spodziewać się ataku niezwykłego barbarzyństwa. Tak było po rewolucji francuskiej, rosyjskiej i chińskiej. Hitleryzm różnił się od tamtych ruchów tym, że otwarcie głosił pochwałę przemocy i gwałtu, świadomie wypuszczał na świat ciemne siły. Nazizm różnił się od komunizmu szczerością i to, być może, skróciło mu żywot. (Człowiek, który w krótkim odstępie czasu przeszedł przez Gestapo i NKWD, spytany o różnicę między systemami odpowiedział: *Niemcy bili, żebym powiedział prawdę, Rosjanie, żebym skłamał*).

Lech Jęczynek



Garfield

CHYBA NAPISZĘ KSIĄŻKĘ! KSIĄŻKĘ O PRZYSTOJNYM, DZIELNYM KOCIE, KTÓRY OBRONIK ZIEMI PRZED INWAZJĄ Z KOSMOSU, ZAPROWADZIK POKOJ, SKASOWAK GŁÓD...



NIE!



... I TAK OSTATNIO UKAZUJE SIĘ ZBYT DUZO AUTOBIOGRAFII...

© 1988 United Feature Syndicate, Inc.

JIM DAVIS 2-9

Steven Bryan Bieler

„Star Trek” – ostatnia parodia

(The Last Star Trek Parody)

Kapitan Kirk, oficer naukowy Spock, główny oficer medyczny „Bones” McCoy oraz geolog nazwiskiem Johnson, Jackson albo może Chang teleportują się na nieznaną planetę, posiadającą zdatną do oddychania atmosferę, tubylców mówiących zrozumiałym językiem i społeczeństwo zorganizowane na kształt feudalnej Europy pod panowaniem Karola Wielkiego. Mimo przewagi uzbrojenia grupa badawcza zostaje szybko schwytana przez wymachujących mieczami analfabetów, działających z polecenia podstępного imperatora, pod którego panowaniem zniknęły na planecie nawet pozory wolności. Johnson, Jackson czy Chang ginie, Kirk ma podartą koszulę. McCoy zostaje zmuszony do leczenia pięknej córki imperatora, śmiertelnie chorej na konturówkę. Dowiaduje się od niej, że wojna galaktyczna wisi na włosku.

Tymczasem okręty Romulan przekraczają Strefę Neutralną i atakują „Enterprise”. Inżynier Scott obejmuje dowództwo i przeżywa ciężkie chwile: blokuje się pole ochronne nr 4, silniki hiperprzestrzenne wpadają w amok, w dodatku w domu, przy obiedzie, zapomni o swoim akcencie. Poleca porucznik Uhurze, by skontaktowała się z Dowództwem Gwiezdnej Floty, ale linia jest zajęta. Scotty otwiera kolejne piwo i czeka, by przerwa na reklamy wybawiła go z opresji.

Na powierzchni planety Kirk uwodzi córkę imperatora i zdobywa ważne informacje na temat działających w podziemiu rewolucjonistów. Szpiegdy jednak zdradzają powstańców i wszyscy wpadają w łapy Klingonów. Kirk wyzywa ich dowódcę na pojedynek, wygłoszwszy wcześniej mowę na temat powszechnego pokoju. Spock przelicza szanse, a McCoy przyjmuje zakład. Wszyscy stawiają na Klingona, dwa razy większego od Kirka i uzbrojonego w bazookę. Kirk posiada jedynie swój nienaganny wygląd, a w dodatku Klingoni związali mu razem sznurówki. McCoy prosi Spocka, żeby coś wymyślił. Spock z kości kurczęcia konstruuje prosty odwilżacz molekularny i włącza go do gniazdka w ścianie. Urządzenie działa. Wszyscy uciekają.

Córka imperatora błaga Kirka, żeby z nią został, ponieważ go kocha, a poza tym dobrze jest mieć w domu jakiegoś mężczyznę. Kirk odrzuca ofertę. Odpowiada za życie 400-osobowej załogi, a zresztą jest już zakochany w „Enterprise” i zdradzając go ma poczucie winy. Imperator pojawia się na scenie akurat, by wysłuchać kolejnej

przemowy Kirka o braterstwie wszelkich istot żywych. Czuje się zawstydzony i obiecuje zmiany na lepsze.

Z opiekacza do grzanek Spock buduje prymitywny komunikator i łączy się ze statkiem. Scotty teleportuje wszystkich na pokład, ale transporter ulega uszkodzeniu i przenosi Spocka do salonu gier telewizyjnych na pokładzie romulańskiego flagowca. W tej sytuacji dowódca „Enterprise” nie może się bronić, by nie zranić swego oficera naukowego. McCoy żąda, żeby coś wymyślić. Kirk wali pięścią w poręcz swojego fotela i naciska guziki, ale nie może złapać żadnej stacji, która by mu odpowiadała. Scotty informuje, że statek długo tego nie wytrzyma. Kirk poleca Uhurze, by wywołała Romulan i jest wściekły, gdy ci nie zgadzają się na rozmowę na koszt odbiorcy. Kirk nakazuje uruchomić „częstotliwość alarmową”, która pozwala na prowadzenie rozmów bez płacenia rachunków. Zawiadamia Romulan, że przestaje być uprzejmy. Grozi, że użyje niedawno zainstalowanego bilateralnego hemostatu. Romulanie nigdy o czymś takim nie słyszeli. Wpadają w panikę i odlatują do domu. Dali się nabrać na sprytną sztuczkę Kirka, który przy najbliższej wypłacie może się spodziewać małego conieco od Dowództwa Floty.

Scotty’emu udaje się naprawić transporter. Przeciera szybę i wciska przełącznik, ściągając z powrotem Spocka. Ten określa swoje przeżycia jako fascynujące: udało mu się zdobyć 5 milionów punktów w Galaktycznym Pożeraczu Planet. Znowu nastaje czas, by cieszyć się wolnością. McCoy żartuje ze Spocka, Spock żartuje z McCoy’a, Kirk śmieje się, chociaż nie rozumie dowcipu. Poleca Sulu, by zabrał ich już z tego odcinka.

Niestety, ktoś włącza suszarkę do włosów w czasie, gdy pracuje hemostat bilateralny, silniki dostają szału i wszyscy pędzą poprzez czas z jedenaściesiętym stopniem szybkości. Sulu wciska hamulce i zatrzymuje statek w XX wieku. Orbitują nad prymitywną planetą, której jedyna działalność ekonomiczna i kulturalna polega na tworzeniu nieskończonego długiego serialu filmowego „Star Trek”. Zaczynają telefonować agenci z Hollywood, a Kirk i jego załoga pojmują, że nareszcie wrócili do domu.

Przełożył Piotr W. Cholewa

STEVEN BRYAN BIELER

Amerykański autor średniego pokolenia, pisze inteligentne eseje, satyry i krótkie opowiadania. D.M.



Garfield

PRZY PISANIU KSIĄŻKI NAJWAŻNIEJSZY JEST DOBRY TYTUŁ. „NOCNE NIEDYSKRECJE” – TO BĘDZIE DOBRE!



NIE, NIE! TWÓRCA MUSI PISAĆ O TYM NA CZYM SIĘ ZNA!



MAM! DAM TYTUŁ „NOCNE NIESTRASNOŚCI”!



JIM DAVIS 2-10

powieść

Orson Scott Card



Gra Endera (5)



(Ender's Game)

przełożył Piotr W. Cholewa

Rozdział 14 Nauczyciel Endera

– Nie śpieszył się pan, pułkowniku Graff. Podróż nie jest krótka, ale trzy miesiące wakacji to lekka przesada.
– Nie lubię dostarczać wybrakowanego towaru.
– Są ludzie, którzy po prostu nie mają poczucia czasu. Co tam zresztą, chodzi przecież tylko o losy świata. Proszę nie zwracać uwagi na to, co mówię. Ale musi pan zrozumieć naszą niecierpliwość. Siedzimy tu przy ansiblu, odbierając ciągłe raporty o postępie naszych okrętów. Każdego dnia wiemy, że wojna jest coraz bliżej. Jeśli można tu mówić o dniach. A on jest jeszcze taki mały...

– Jest w nim wielkość. Wspaniałość ducha.
– Mam nadzieję, że także instynkt zabójcy.
– Tak.
– Zaplanowaliśmy dla niego trochę nietypowy tok szkolenia. Oczywiście, wszystkie tematy wymagają pańskiego zatwierdzenia.

– Przyjrzyj się im. Nie będę udawał, że się na tym znam, admirale Chamrajnagar. Jestem tu tylko dlatego, że znam Endera. Nie musi się pan obawiać, że zechcę pozmienić pańskie propozycje. Najwyżej tempo szkolenia.

– Jak wiele możemy mu powiedzieć?
– Nie warto marnować czasu na fizykę podróży międzygwiazdnych.

– Co z ansiblem?
– O tym już mu powiedziałem. I jeszcze to, że flotylla dotrą do celu w ciągu pięciu lat.

– Widzę, że niezbyt wiele zostało dla nas.
– Wyjaśnijcie mu działanie systemów uzbrojenia. Musi o nich wiedzieć, jeśli ma podejmować decyzje.

– Och, mimo wszystko na coś się przydamy. Jak to miło.

Przeznaczaliśmy jeden z pięciu symulatorów wyłącznie do jego użytku.

– Co z innymi?
– Innymi symulatorami?
– Innymi dziećmi.
– Jest pan tutaj, żeby się zajmować Enderem Wigginem.
– Po prostu byłem ciekawy. Niech pan nie zapomina, że oni wszyscy byli kiedyś moimi uczniami.

– A teraz są moimi. Wprowadzamy ich w sekrety floty, pułkowniku, których pan jako żołnierz nie miał okazji poznać.

– W pana ustach brzmi to jak opis zakonu.

– I boga. I religii. Nawet ci z nas, którzy dowodzą za pośrednictwem ansibla, znają wspaniałość lotu wśród gwiazd. Widzę, że uważa pan to za mistycyzm. Zapewniam, że pański niesmak jest jedynie dowodem ignorancji. Już wkrótce Ender Wiggin będzie wiedział to co ja; wkrótce zatańczy między gwiazdami i wszystko, co jest w nim wielkiego, zostanie odkryte, odsłonięte, postawione wobec wszechświata. Ma pan duszę kamienia, pułkowniku, ale potrafię zaśpiewać kamieniowi tak, że zrozumie równie dobrze jak inny śpiewak. Może pan teraz pójść do swojej kwatery i się rozpakować.

– Nie mam żadnego bagażu oprócz ubrania, które noszę.

– Niczego pan nie posiada?

– Trzymam moją pensję na koncie bankowym, gdzieś na Ziemi. Nigdy nie potrzebowałem pieniędzy. Jedynie po to, by kupić cywilne ubranie na czas moich... wakacji.

– Nie jest pan materialistą. A mimo to jest pan nieprzyjemnie tęgi. Łakomy asceta? Cóż za sprzeczność.

– Kiedy odczuwam napięcie, jem. Kiedy pan odczuwa napięcie, wydała pan odpadki stałe.

– Podoba mi się pan, pułkowniku. Sądzę, że się dogadamy.

– Niespecjalnie mi na tym zależy, admirale. Przyleciałem tu dla Endera. A żaden z nas nie przybył tu dla pana.

Ender nienawidził Erosa od chwili, gdy wysiadł z promu. Czuł się fatalnie już na Ziemi, gdzie podłogi były płaskie. Eros okazał się zupełnie beznadziejny. Kształtem przypominał wrzeciono mające zaledwie sześć i pół kilometra w największym punkcie. Powierzchnię zewnętrzną przeznaczono w całości dla absorpcji światła i jego przemiany w energię,

więc ludzie żyli w komorach o gładkich ścianach, połączonych tunelami, we wszystkie strony przecinającymi wnętrza asteroidu. Zamknięta przestrzeń nie stanowiła dla Endera problemu. Męczyło go to, że podłogi tuneli wyraźnie opadały w dół. Od samego początku cierpiał na zawroty głowy, gdy chodził po korytarzach, zwłaszcza tych, które biegiły wokół obwodu planetoidy. Grawitacja wynosiła tu tylko połowę ziemskiej normy, ale to niewiele pomagało; wrażenie, że za chwilę spadnie, było nie do odparcia.

Było też coś niepokojącego w samych proporcjach pomieszczeń: stropach kabin, zbyt niskich w stosunku do ich wymiarów, zbyt wąskich korytarzach. Nie żyło się tu wygodnie.

Najgorsze było jednak, że roilo się od ludzi. Ender prawie nie pamiętał ziemskich miast. Dlatego Szkołę Bojową, gdzie każdego znał z widzenia, uważał za odpowiednio zagęszczoną. Tu jednak, we wnętrzu skały, populacja wynosiła dziesięć tysięcy. Nie było tłoku, choć aparatura systemu podtrzymywania życia i inny sprzęt zajmowały sporo miejsca. Endera denerwowało, że przez cały czas otaczają go obcy.

Z nikim nie pozwolili mu się bliżej poznać. Często widywał innych studentów Szkoły Dowodzenia, ale ponieważ nie uczęszczał regularnie na zajęcia, pozostali dla niego tylko twarzami. Od czasu do czasu zjawiał się na takim czy innym wykładzie, zwykle jednak kształcił się indywidualnie pod opieką nauczycieli. Z rzadka tylko przebieg jakiegoś procesu wyjaśniał mu któryś ze studentów. Jadał sam albo w towarzystwie Graffa. Ćwiczył w sali gimnastycznej, ale rzadko spotykał tam kogoś więcej niż jeden raz.

Stwierdził, że znowu chcą go odizolować, tym razem nie drogą budzenia nienawiści, a raczej przez pozbawienie go wszelkich szans na bliższe kontakty z innymi. Zresztą i tak nie mógłby się z nikim zaprzyjaźnić – prócz niego wszyscy uczniowie byli już w wieku dorostania.

W tej sytuacji Ender całkowicie poświęcił się studiom. Uczyl się szybko i dobrze; astrogację i historię działań wojennych chłonał jak gąbka; abstrakcyjna matematyka była trudniejsza, lecz zawsze się przekonywał, gdy natrafiał na problem związany ze złożonymi wzorami czasu i przestrzeni, że bardziej może ufać swej intuicji niż obliczeniom. Często od razu widział rozwiązanie, którego zasadność potrafił udowodnić dopiero po długich minutach, czasem nawet godzinach, manipulacji liczbami.

Dla przyjemności miał symulator, najdoskonalszą grę wideo, jaką widział w życiu. Nauczyciele i studenci krok po kroku tłumaczyli mu, jak się nim posługiwać. Z początku, nie znając jeszcze straszliwej mocy gry, używał jej tylko na poziomie taktycznym, operując pojedynczym myśliwcem w powtarzanych bez końca manewrach pościgu i niszczenia wroga. Kontrolowany przez komputer wróg był potężny i chytry. Gdy tylko Ender wypróbował nową taktykę, już po kilku minutach komputer wykorzystywał ją przeciw niemu.

Gra toczyła się na holograficznym ekranie, gdzie jego myśliwiec reprezentowało małe światełko. Przeciwnik był także światełkiem, innego koloru; tańczyli i wirowali wewnątrz sześcianu o boku długości mniej więcej dziesięciu metrów. Instrumenty pozwalały na wiele: mógł obracać ekran w każdym kierunku tak, by obserwować wszystko z różnych kątów; mógł też przesunąć środek, by walka rozgrywała się bliżej lub dalej.

W miarę jak coraz sprawniej potrafił kontrolować szybkość myśliwca, kierunek ruchu, orientację i systemy uzbrojenia, gra stawała się bardziej złożona. Zdarzały się dwa wrogi statki równocześnie; albo przeszkody, jakieś okruciny w przestrzeni; musiał się martwić o paliwo i ograniczenia dzia-

łania broni; komputer wyznaczał mu konkretne obiekty, które miał zniszczyć lub zadania do wykonania. Musiał się naprawdę skoncentrować, jeśli chciał osiągnąć cel i wygrać.

Kiedy opanował grę z jednym myśliwcem, pozwolili mu przejść do następnego etapu, jakim była eskadra czterech jednostek. Wydawał rozkazy symulowanym pilotom i zamiast wykonywać instrukcje komputera, mógł sam określać taktykę. Sam decydował, który z celów jest najważniejszy i zgodnie z tą decyzją dowodził grupą. W każdej chwili mógł, na pewien czas, osobiście przejąć sterowanie którymś z myśliwców i początkowo często z tego korzystał. Wtedy jednak pozostałe trzy jednostki szybko ulegały zniszczeniu. Gra stawała się coraz trudniejsza i coraz więcej czasu zajmowało mu kierowanie eskadrą. Coraz częściej wygrywał.

Nim minął rok jego pobytu w Szkole, sprawnie używał symulatora na wszystkich piętnastu poziomach – od pilotowania samotnego myśliwca do kierowania flotą. Dawno już zrozumiał, że symulator był dla Szkoły Dowodzenia tym, czym Sala Bojowa w jego dawnej szkole. Wykłady przydawały się, ale wiedzę czerpał z gry. Różni ludzie wpadali od czasu do czasu, żeby popatrzeć, jak sobie radzi. Nigdy się do niego nie odzywali – jak zresztą prawie nikt, z wyjątkiem tych, którzy mieli mu coś wytłumaczyć. Widzowie stali w milczeniu oglądając jego manewry w jakiejś trudnej symulacji, po czym odchodzili, gdy tylko skończył. Co tu właściwie robią? Oceniają go? Sprawdzają, czy można mu powierzyć flotę? Niech pamiętają, że wcale o to nie prosił.

Stwierdził, że to, czego nauczył się w Szkole Bojowej, daje się wykorzystać na symulatorze. Co kilka minut odruchowo zmieniał jego orientację, by nie przyzwyczajać się do sztywnego układu góra-dół. Bez przerwy ocenił swoją pozycję z punktu widzenia przeciwnika. Przyjemnie było sprawować pełną kontrolę nad przebiegiem bitwy, dostrzegać każdy jej element.

Jednocześnie irytowało go, że jego władza jest mocno ograniczona. Symulowane myśliwce były tak dobre, jak pozwalał komputer. Nie przejawiały inicjatywy. Nie dysponowały inteligencją. Zaczął tęsknić za swoimi dowódcami plutonów. Gdyby tu byli, przynajmniej niektóre eskadry działałyby samodzielnie, bez ciągłego nadzoru.

Pod koniec pierwszego roku wygrywał już wszystkie bitwy i grał tak jakby maszyna stała się częścią jego ciała.

– Czy to już wszystko, co może zrobić symulator? – spytał pewnego dnia, gdy jadł obiad w towarzystwie Graffa.

– Czy co już wszystko?

– To, jak teraz gra. Proste układy, a od pewnego czasu przestały się robić trudniejsze.

– Aha.

Graff przyjął to obojętnie. Ale Graff każdą rzecz przyjmował obojętnie. Następnego dnia wszystko się zmieniło. Graff odszedł, a na jego miejsce przydzielili Enderowi towarzysza.

★

Był w pokoju, gdy Ender przebudził się rankiem – stary człowiek, siedzący po turecku na podłodze. Ender spojrzał na niego z zaciekawieniem czekając, kiedy się odezwie. Nie doczekał się. Ender wstał, umył się i ubrał. Postanowił mu nie przeszkadzać. Niech sobie milczy, jak długo zechce. Dawno już się przekonał, że kiedy dzieje się coś niezwykłego – coś, co zaplanował ktoś inny, nie on sam – więcej informacji uzyska czekając niż zadając pytania. Dorośli prawie zawsze pierwsi tracili cierpliwość.

Mężczyzna nie odezwał się nawet wtedy, gdy Ender był już gotowy i chciał wyjść. Drzwi się nie otworzyły. Ender odwrócił się i stanął twarzą w twarz z siedzącym na podłodze. Wy-

glądał na sześćdziesiąt lat i był z pewnością najstarszym człowiekiem, jakiego spotkał na Erosie. Miał jednolity wzrost, kryjący jego twarz tylko odrobinę mniej niż krótko przycięte włosy czaszkę. Policzki były trochę zapadnięte, a sieć zmarszczek otaczała oczy. Spojrzał na Endera z wyrazem świadczącym wyłącznie o apatii.

Ender wrócił do drzwi i jeszcze raz spróbował je otworzyć.

– No, dobrze – powiedział rezygnując. – Czemu drzwi są zablokowane?

Mężczyzna nadal przyglądał mu się tępym wzrokiem.

Więc to gra, pomyślał chłopiec. Dobra. Jeśli chcą, żeby poszedł na lekcje, otworzą drzwi. Nie otworzą, to znaczy, że nie chcą. Jemu nie zależy.

Nie lubił gier, w których zasady były zupełnie nieznane i nie wiedział, co jest ich celem. Dlatego nie będzie grał. Zdecydował też, że nie pozwoli się wyprowadzić z równowagi. Oparty o framugę zmusił się do ćwiczeń odprężających i wkrótce znów był spokojny. Starzec patrzył na niego obojętnie.

Zdawało się, że trwa to całe godziny – Ender się nie odzywał, a obcy sprawiał wrażenie niemego debila. Przez chwilę Ender zastanawiał się, czy jego gość jest zdrowy psychicznie, czy nie uciekł ze szpitala na Erosie, by w jego pokoju przeżywać jakąś szaleńczą fantazję. Ale im dłużej to trwało i nikt nie zaglądał do pokoju w poszukiwaniu zbiega, tym bardziej Ender nabierał pewności, że wszystko zostało zaplanowane, by go zirytować. Nie miał zamiaru się poddawać. Żeby wypełnić czymś czas, zaczął ćwiczyć. Niektóre elementy ćwiczeń były niewykonalne bez sprzętu gimnastycznego, ale przy innych, zwłaszcza tych, które zapamiętał z kursu samoobrony, żadne przyrządy nie były potrzebne.

Ćwicząc poruszał się po pokoju. Trenował wypadki i kopnięcia. W pewnej chwili znalazł się tuż obok mężczyzny, zresztą nie po raz pierwszy. Teraz jednak wysunęła się szponiasta dłoń i chwyciła Endera za uniesioną lewą nogę. Chłopiec stracił równowagę i runął ciężko na podłogę.

Wściekły, zerwał się natychmiast. Starzec siedział spokojnie ze skrzyżowanymi nogami, oddychając równo – jakby w ogóle się nie poruszył. Ender stał gotów do walki, ale bezruch tamtego uniemożliwiał atak. Co miał zrobić, skopać mu łeb z karku? A potem tłumaczyć się Graffowi: ten stary mnie zaciępił, więc przecież musiałem oddać.

Wrócił do ćwiczeń. Obcy przyglądał się obojętnie.

Wreszcie, zmęczony i zły z powodu straconego dnia, Ender podszedł do łóżka, by wyjąć pulpit. Kiedy się schylił, poczuł, jak dłoń tamtego wbija mu się mocno między uda, a druga chwyta za włosy. Zaraz potem został odwrócony głową w dół. Twarz i ramiona przyciskało do podłogi kolano obcego, zaś ręka wyginała boleśnie kark i blokowała nogi. Nie mógł użyć rąk, nie mógł się wyprostować, by zyskać trochę swobody i uderzyć nogą. W ciągu niecałych dwóch sekund starzec całkowicie pokonał Endera Wiggina.

– No, dobrze – wysapał chłopiec. – Wygrał pan.

Kolano obcego przycisnęło go mocniej.

– Od kiedy to – spytał cichym, zgrzytliwym głosem – musisz informować przeciwnika, że wygrał?

Ender nie odpowiedział.

– Już raz cię zaskoczyłem, Enderze Wiggin. Dlaczego mnie nie zniszczyłeś zaraz potem? Dlatego, że nie wyglądałem groźnie? Odwróciłeś się do mnie plecami. Głupie. Niczego nie potrafisz. Nigdy nie miałeś nauczyciela.

Ender był wściekły i nie starał się tego ukryć ani opanować.

– Miałem aż za wielu nauczycieli. Skąd mogłem wiedzieć, że okaże się pan...

– Wrogiem, Enderze Wiggin – szepnął starzec. – Jestem twoim wrogiem, pierwszym, jakiego spotkałeś, który jest sprytniejszy od ciebie. Nie ma nauczyciela, jest nieprzyjaciel. Tylko nieprzyjaciel może ci pokazać, jak zwyciężać i niszczyć. Odkryć twoje słabe punkty. Powiedzieć, gdzie jesteś silny. Ta gra ma tylko dwie reguły: to, co możesz mu zrobić i to, przed czym potrafisz go powstrzymać, by nie zrobił tobie. Od tej chwili jestem twoim wrogiem. Od tej chwili jestem twoim nauczycielem.

Puścił nogi Endera. Wciąż jeszcze przyciskał mu twarz do podłogi, więc chłopiec nie mógł zamortyzować uderzenia i ze stukiem trafił stopami w ziemię. Poczuł mdłące ukłucie bólu. Wtedy obcy odstąpił i pozwolił mu wstać.

Ender jęknął cicho i z wysiłkiem podciągnął nogi. Klęczał przez chwilę nieruchomo, z wolna dochodząc do siebie. Potem jego prawa ręka wystrzeliła w bok, w stronę wroga. Mężczyzna odskoczył szybko. Dłoń Endera chwyciła powietrze, a jego nauczyciel wyprowadził kopnięcie w podbródek.

Ale podbródka Endera już tam nie było. Chłopiec wyprostował się padając na plecy, przekręcił i zanim jego nauczyciel zdążył postawić nogę po kopnięciu, stopy Endera z całą siłą uderzyły go w drugą. Starzec zwalił się bezwładnie, ale wystarczająco blisko, by wyprowadzić cios, który trafił Endera w twarz. Jego ręce i nogi nie pozostawały w jednym miejscu tak długo, by można było je chwycić, a tymczasem grad uderzeń spadał na ramiona i plecy chłopca. Był mniejszy, nie potrafił się przebić przez barierę rąk tamtego. Wreszcie udało mu się wydostać i odczołgać do drzwi.

Starzec siedział jak poprzednio, lecz teraz na jego twarzy nie było nawet śladu apatii. Uśmiechał się.

– Już lepiej, chłopcze. Ale za wolno. Musisz operować flotą lepiej niż własnym ciałem, inaczej nikt nie będzie bezpieczny pod twoją komendą. Zrozumiałeś lekcję?

Ender powoli kiwnął głową. Bolało go całe ciało.

– To dobrze – rzekł obcy. – W takim razie nie będziemy już musieli staczać takich bitew. Cała reszta odbędzie się na symulatorze. Teraz ja będę go programował, nie komputer; ja zaplanuję strategię twoich przeciwników. Nauczysz się reagować szybko i odkrywać, jakie sztuczki dla ciebie przygotowali. Zapamiętaj, chłopcze. Od tej chwili nieprzyjaciel jest mądrzejszy od ciebie. Jest silniejszy od ciebie. Od tej chwili zawsze będziesz bliski klęski.

Twarz mężczyzny przybrała wyraz powagi.

– Będiesz bliski klęski, Ender, ale wygrasz. Dowiesz się, jak zwyciężać nieprzyjaciela. On sam ci to pokaże.

Nauczyciel wstał.

– W tej szkole panuje tradycja, że starszy student wybiera sobie młodszego, stają się towarzyszami i starszy przekazuje młodszemu wszystko, co sam umie. Zawsze ze sobą walczą, zawsze współzawodniczą, zawsze są razem. Ja wybrałem ciebie.

– Jest pan za stary na studenta – stwierdził Ender, gdy tamten szedł już do drzwi.

– Nigdy się nie jest za starym, by studiować wrogów. Ja uczyłem się od robali. Ty nauczysz się ode mnie.

Mężczyzna przyłożył dłoń do zamka. Gdy drzwi otwierały się, Ender wyskoczył w powietrze i obiema stopami kopnął go w kark. Trafił tak mocno, że mógł się odbić i wylądować bez upadku, a obcy krzyknął i osunął się na ziemię.

Wstawał powoli, kurczowo trzymając się uchwyty drzwi. Twarz miał wykrzywioną bólem i wydawał się całkowicie niezdolny do działania, lecz Ender mu nie ufał. Jednak mimo czujności szybkość tamtego zaskoczyła go zupełnie. W jednej chwili znalazł się na podłodze pod przeciwległą ścianą. Krew płynęła mu z nosa i warg w miejscach, gdzie ude-

rzył o ramę łóżka. Obejrzał się z trudem. Mężczyzna stał w drzwiach, krzywił się i rozcierał tył głowy. Uśmiechnął się.

Ender odpowiedział uśmiechem.

– Nauczycielu – powiedział. – Czy masz jakieś imię?

– Mazer Rackham – odparł starzec. I wyszedł.

★

Od tamtego dnia Ender albo przebywał z Mazerem Rackhamem, albo był sam. Mazer rzadko się odzywał, ale był przy nim zawsze: na posiłkach, na lekcjach, w symulatorze, nocą w jego pokoju. Czasami zniknął, ale kiedy był nieobecny, drzwi nie dawały się otworzyć i nikt nie przychodził, dopóki Mazer nie powrócił. Przez tydzień Ender nazywał go nawet Dozorcą Rackhamem. Mazer reagował na to imię tak jak na swoje własne i najwyraźniej się nim nie przejął. Ender szybko zrezygnował.

Zyskał za to pewne przywileje. Mazer pokazywał mu sfilmowane dawne bitwy z Pierwszej Inwazji i katastrofalne porażki MF z Drugiej. Wreszcie mógł oglądać pełne, ciągłe zapisy, a nie posklejane razem kawałki ocenzonej, publicznych wideo. Ponieważ w czasie najważniejszych walk pracowała cała masa kamer, mogli studiować taktykę i strategię robali z najrozmaitszych punktów widzenia. Po raz pierwszy w życiu Ender miał nauczyciela, który wskazywał mu rzeczy, jakich sam nie zauważył. Po raz pierwszy napotkał umysł, który mógł podziwiać.

– Jak to się dzieje, że jeszcze żyjesz? – spytał kiedyś Ender. – Wygrałeś swoją bitwę siedemdziesiąt lat temu, a nie sądzę, żebyś miał teraz więcej niż sześćdziesiąt.

– To cuda względności – wyjaśnił Mazer. – Trzymali mnie tutaj przez dwadzieścia lat po walce, chociaż ich błagałem, żeby dali mi jeden z tych statków, które wysłali przeciwko planecie robali i ich koloniom. Potem... zaczęli rozumieć zachowanie żołnierzy w stresie podczas bitwy.

– Jakie zachowanie?

– Za mało znasz psychologię, żeby zrozumieć. W każdym razie dotarło do nich, że chociaż nigdy nie będę już w stanie dowodzić flotą, to nadal jestem jedynym człowiekiem, który potrafi przekazać to, co rozumiał o robalach. Byłem – pojęli w końcu – jedyną osobą, która pobiła robali raczej dzięki inteligencji niż szczęściu. Potrzebowali mnie tutaj, żebym... żebym uczył tego, kto poprowadzi flotę.

– Więc wsadzili cię w kosmolot, rozpuścili do prędkości relatywistycznej i...

– I potem zrobiłem zwrot i wróciłem do domu. To była nudna podróż, Ender. Pięćdziesiąt lat w przestrzeni. Formalnie minęło dla mnie zaledwie osiem, ale miałem wrażenie, że to raczej pięćset. Po to, żebym mógł nauczyć następnego dowódcę wszystkiego, co potrafię.

– Więc to ja mam być tym dowódcą?

– Powiedzmy, że w danej chwili masz największe szanse.

– Czy inni też się przygotowują?

– Nie.

– Więc raczej nie ma wyboru, prawda?

Mazer wzruszył ramionami.

– Chyba, że ty. Przecież jeszcze żyjesz. Dlaczego nie?

Mazer pokręcił głową.

– Dlaczego? Przecież już raz wygrałeś.

– Nie mogę być komendantem z ważnych i aż nadto wystarczających powodów.

– Pokaż, jak pobiłeś robali, Mazer.

Twarz Mazera przybrała nieodgadniony wyraz.

– Wszystkie inne bitwy oglądaliśmy już co najmniej siedem razy. Wydaje mi się, że wymyśliłem, jak zwyciężyć ro-

bali takich, jakimi byli wtedy. Ale wciąż nie wiem, jak naprawdę ich pokonałeś.

– To wideo, Ender, jest otoczone ścisłą tajemnicą.

– Wiem. Udało mi się je odtworzyć, częściowo. Ty, z małą grupą rezerwową i ich armada, te ogromne, pękate statki wyrzucające roje myśliwców. Atakujesz jeden z tych statków, strzelasz, wybuch. W tym miejscu zawsze przerywają zapis. Potem są już tylko żołnierze, wchodzą na wrogie okręty i znajdują martwych robali.

– To tyle, jeśli chodzi o ścisłe tajemnice – uśmiechnął się Mazer. – Dobrze, obejrzymy sobie to wideo.

Byli sami w sali filmowej. Ender przyłożył dłoń do zamka i zablokował drzwi.

– Oglądajmy.

Wideo pokazało dokładnie to, co poskładał sobie Ender. Samobójczy atak Mazera na serce nieprzyjacielskiej formacji, pojedyncza eksplozja, a potem...

Nic. Statek Mazera leciał dalej, uniknął fali wybuchu i wykreślił złożoną krzywą między okrętami robali. Nie strzelali do niego. Nie zmieniali kursów. Dwie jednostki zderzyły się i eksplodowały – niepotrzebna kolizja, której każdy pilot mógł z łatwością uniknąć. Żaden z nich nawet nie próbował.

Mazer przyspieszył przesuw taśmy.

– Czekaliśmy trzy godziny – powiedział. – Nikt nie mógł uwierzyć.

Na ekranie statki MF zbliżyły się do kosmolotów robali. Marines zaczęli wycinać przejścia i dokonywać abordażu. Robale leżeli martwi na stanowiskach.

– Przekonałeś się – stwierdził Mazer. – Widziałeś już wszystko, co było do zobaczenia.

– Jak to się stało?

– Tego nikt nie wie. Mam swoją prywatną teorię. Ale mnóstwo naukowców uważa, że nie posiadam dostatecznych kwalifikacji, żeby przedstawiać swoje teorie.

– Przecież to ty wygrałeś bitwę.

– Też mi się wydawało, że to mnie do czegoś upoważnia, ale wiesz, jak to jest. Ksenobiolodzy i ksenopsycholodzy nie potrafią sobie nawet wyobrazić, że zwykły pilot może wiedzieć coś lepiej od nich. Chyba wszyscy mnie nienawidzą, ponieważ kiedy zobaczyli te filmy, musieli dożyć końca swoich dni tutaj, na Erosie. Wiesz, bezpieczeństwo. Nie byli zbyt szczęśliwi.

– Powiedz.

– Robale nie rozmawiają. One myślą do siebie. To proces natychmiastowy, tak jak efekt filotyczny. Jak ansibl. Większość ludzi sądzi jednak, że oznacza to kontakt kontrolowany, jak język: ja myślę coś do ciebie, a ty mi odpowiadasz. Nigdy w to nie wierzyłem. Zbyt szybko wspólnie reagują. Widziałeś filmy. Oni nie rozmawiają, nie decydują o wyborze sposobu działania. Statki zachowują się jakby były częściami jednego organizmu. Reagują tak, jak reaguje twoje ciało podczas walki – poszczególne kończyny bezmyślnie i automatycznie robią to, co robić powinny. Robale nie prowadzą rozmów jak ludzie, z których każdy ma inny proces myślowy. Wszystkie ich myśli istnieją razem, równocześnie.

– Jedna osobowość, a każdy robal jest jak stopa albo dłoń?

– Dokładnie. Nie ja pierwszy zasugerowałem coś takiego, ale ja pierwszy w to uwierzyłem. Jest jeszcze coś. Pomyśl tak dziecinnie głupi, że ksenobiolodzy wyśmiali mnie, kiedy to powiedziałem po bitwie. Robale są owadami. Jak mrówki i pszczoły. Jest królowa i robotnice. Może były nimi sto milionów lat temu, ale właśnie z takiego wzorca zaczynały. Z całą

pewnością żaden z robali, jakich oglądaliśmy, nie mógł wytwarzać nowych, małych robali. Więc kiedy już wykształciły sobie zdolność wspólnego myślenia, to czy nie zachowałyby królowej? Czy nadal nie pozostałaby ona ośrodkiem grupy? Po co mieliby to zmieniać?

– Więc to królowa steruje całą grupą.

– Miałem na to dowody. Chociaż nie takie, które ktoś z nich mógłby zauważyć. Pojawiły się zresztą dopiero po Pierwszej Inwazji, bo ona była czysto badawczą. Ale Druga była kolonizacyjna. Chcieli założyć nowy kopiec albo coś takiego.

– Dlatego przywieźli królową.

– Spójrz. To wideo z Drugiej Inwazji, kiedy rozwalali naszą flotę w tarczy kometarnej – zaczął wywoływać i wyświetlać formacje robali. – Pokaż mi statek królowej.

To był subtelny problem. Statki robali poruszały się bez przerwy, wszystkie równocześnie. Nie istniał żaden wyraźnie widoczny okręt flagowy, żaden oczywisty ośrodek. Ale stopniowo, gdy Mazer raz za razem wyświetlał filmy, Ender zaczął dostrzegać, że wszelkie ruchy ogniskują się i promieniują z centralnego punktu. Ten punkt przemieszczał się, było jednak widoczne, gdy przyglądał się dostatecznie długo, że oczy floty, jaźń floty, perspektywa, z której podejmowane są decyzje, znajduje się na pewnym konkretnym statku. Wskazał go.

– Ty to widzisz. Ja też to widzę. To już dwóch spośród tych wszystkich, którzy oglądali film. Ale to prawda.

– Ten statek porusza się tak samo jak wszystkie inne.

– Wiedzieli, że to ich najsłabszy punkt.

– Jednak odgadłeś. Tam była królowa. Ale można by się spodziewać, że kiedy ją zaatakujesz, natychmiast skoncentrują na tobie całą siłę ognia. Momentalnie powinni cię zestrzelić.

– Wiem. Sam tego nie rozumiem. Wiesz, oni próbowali mnie zatrzymać. Strzelali do mnie. Ale wyglądało to tak, jakby nie mogli uwierzyć – do chwili, gdy było już za późno – że naprawdę zamierzam zabić królową. Może w ich świecie królowe nigdy nie giną, najwyżej trafiają do niewoli, jak w szachach, gdy dochodzi do mata. Zrobiłem coś, do czego – jak sądzili – przeciwnik nie był zdolny.

– A kiedy ona zginęła, oni zginęli także.

– Nie, po prostu zgłupieli. Na pierwszych statkach, na które weszliśmy, robale jeszcze żyły. Biologicznie. Ale nie ruszały się, nie reagowały na nic, nawet wtedy, gdy nasi naukowcy przeprowadzili wiwisekcję, żeby dowiedzieć się o nich czegoś więcej. A po pewnym czasie wszyscy umarli. Z braku chęci życia. Kiedy odchodzi królowa, w tych ich małych ciałach nie zostaje nic.

– Dlaczego nie chcą ci uwierzyć?

– Ponieważ nie znaleźliśmy królowej.

– Rozleciała się na kawałki.

– Jak to na wojnie. Przetrwanie jest ważniejsze niż biologia. Ale są tacy, którzy zaczynają już myśleć podobnie. Kiedy się żyje w tym miejscu, dowody rzucają ci się w oczy.

– Jakie dowody mogą istnieć na Erosie?

– Rozejrzyj się, Ender. To nie ludzie wyryli te korytarze. Na przykład, wolimy sufity trochę wyżej. Tutaj znajdowała się wysunięta placówka robali w czasie Pierwszej Inwazji. Wykopali to wszystko, zanim jeszcze się dowiedzieliśmy, że istnieją. Mieszkamy w kopcu robali. Ale zapłaciliśmy już czynsz. Ponad tysiąc marines zginęło przy oczyszczaniu tego labiryntu, pokój za pokojem. Robale broniły każdego metra korytarzy.

Ender zrozumiał, czemu zawsze coś go niepokoiło w rozkładzie pomieszczeń.

– Wiedziałem, że to nie jest miejsce dla ludzi.

– Znaleźliśmy tu prawdziwy skarb. Gdyby się spodziewali, że wygramy pierwszą wojnę, pewnie nigdy by nie budowali czegoś takiego. Nauczyliśmy się kontrolować grawitację, ponieważ tutaj działa wzmocnione ciążenie. Nauczyliśmy się skutecznie wykorzystywać energię gwiazdową, ponieważ oni wyciemnili to miejsce. Właściwie dzięki temu ich odkryliśmy: w przeciągu trzech dni Eros stopniowo znikł z teleskopów. Wysłaliśmy statek, żeby sprawdzić, co się dzieje. Sprawdzili. Nadawali na wizji, jak robale wchodzą na pokład i wyrzynają załogę. Transmisja trwała przez cały czas badania statku. Przerwali ją dopiero, kiedy rozłożyli go na kawałki. Nie przewidzieli tego – nigdy nie musieli przysyłać informacji poprzez maszyny. Nie pomyśleli, że kiedy załoga jest martwa, ktoś może ich obserwować.

– A dlaczego ich pozabijali?

– A dlaczego nie? Dla nich utrata paru członków załogi to jak dla ciebie strata obciętego paznokcia. Nie ma się czym przejmować. Uważali to pewnie za rutynowe odcięcie linii komunikacyjnych drogą wyłączenia robotnic kierujących statkiem. Nie sądzili, że mordują żyjące, świadome istoty, z których każda miała niezależną genetyczną przyszłość. Zabójstwo to dla nich drobiazg. Jedynie zabójstwo królowej jest morderstwem, ponieważ zamyka ścieżkę genetyczną.

– Więc tak naprawdę nie wiedzieli, co robią.

– Nie próbuj ich usprawiedliwiać, Ender. Nie wiedzieli, że zabijają ludzkie istoty, ale nie zmienia to faktu, że zabijali. Mamy prawo się bronić najlepiej, jak potrafimy, a najskuteczniejszym sposobem, jaki znamy, jest likwidacja robali, zanim oni nas zlikwidują. Spójrz na to w ten sposób: w czasie obu wojen z robalami oni zabili tysiące, wiele tysięcy inteligentnych, świadomych istot. I w czasie obu wojen my zabiliśmy tylko jedną.

– Mazer, czy przegralibyśmy tę wojnę, gdybyś nie zabił królowej?

– Moim zdaniem szanse były jak trzy do dwóch przeciw nam. Dalej uważam, że potrafilibyśmy solidnie przetrzebić ich flotę, zanim by nas wytłukli. Mieli fenomenalny czas reakcji i potworną siłę ognia, ale my też trzymaliśmy w ręku parę atutów. Każdy z naszych statków niósł myślące na własny rachunek, inteligentne istoty ludzkie. Każdy z nas mógł wpaść na jakieś genialne rozwiązanie problemu. Oni są zdolni tylko do jednego genialnego pomysłu na raz. Myślą szybko, ale ogólnie nie są tacy sprytni. Nawet gdy wyjątkowo tępi i głupi dowódcy przegrywali kluczowe bitwy Drugiej Inwazji, ich podkomendni potrafili poważnie zaszkodzić flocie robali.

– Co się stanie, gdy dotrą do nich nasze okręty? Znowu wystarczy zniszczyć królową?

– Robale nie dzięki głupocie opanowały technikę lotów międzygwiazdowych. Tamta strategia była dobra tylko raz. Podejrzewam, że już nigdy nawet nie zbliżymy się do królowej, chyba że dokonamy lądowania na ich rodzinnej planecie. W końcu ona wcale nie musi im towarzyszyć, żeby kierować walką. Jej obecność jest niezbędna jedynie przy produkcji małych robali. Druga Inwazja była wyprawą kolonizacyjną – królowa leciała, by zaludnić Ziemię. Ale tym razem... nie, to się nie uda. Będziemy musieli rozbijać ich kolejne flotylle. A ponieważ dysponują wsparciem surowcowym dzieściu gwiazdowych systemów, oceniam, że w każdym starciu będą mieli sporą przewagę liczebną.

Ender pomyślał o swojej bitwie przeciwko dwóm armiom. A on myślał, że to nieuczciwe. Kiedy się zacznie prawdziwa



wojna, będzie to miał za każdym razem. I nie będzie bramy, którą mógłby otworzyć.

– Tylko dwie rzeczy przemawiają na naszą korzyść, Ender. Nie musimy szczególnie dokładnie celować. Nasza broń ma spory rozrzut.

– To znaczy, że nie używamy pocisków nuklearnych z Pierwszej i Drugiej Inwazji?

– Doktor System jest o wiele potężniejszy. Broń jądrowa była tak słaba, że kiedyś używano jej na Ziemi. Mały Doktor nigdy nie mógłby być wykorzystany na planecie. Mimo wszystko szkoda, że nie miałem czegoś takiego podczas Drugiej Inwazji.

– Jak on działa?

– Nie wiem dokładnie. Nie potrafiłbym go zbudować. W punkcie zogniskowania dwóch promieni powstaje pole, w którym rozpadają się molekuły. Wypadają wspólne elektrony. Orientujesz się w fizyce na tym poziomie?

– Uczyli nas przede wszystkim astrofizyki, ale rozumiem, na czym to polega.

– Pole rozszerza się kuliście, ale słabnie przy wzroście odległości. Chyba że natrafi na dużą liczbę molekuł. Wtedy jest wzmacnianie i wszystko zaczyna się od początku. Im większy statek, tym silniejsze nowe pole.

– Czyli za każdym razem, kiedy pole trafi na statek, wysła nową sferę...

– A jeśli statki są zbyt blisko siebie, może wzbudzić reakcję łańcuchową, która zniszczy je wszystkie. I tam, gdzie była flota, masz tylko bryłę pyłu z dużą zawartością żelaza. Żadnego promieniowania, żadnych odpadków. Sam pył. Może w pierwszej bitwie uda się przyłapać ich razem, ale oni szybko się uczą. Będą zachowywać dystans między sobą.

– Rozumiem, że dr System nie jest pociskiem. Nie da się strzelać zza węgla.

– Zgadza się. Zresztą pociski nie na wiele by się teraz przydały. Sporo się nauczyliśmy od robali podczas Pierwszej Inwazji, ale oni także – na przykład jak generować Oslonę Ekstatyczną.

– A Mały Doktor przebija tę osłonę?

– Jakby nie istniała. Nie możesz zajrzeć do środka, żeby wymierzyć i zogniskować promienie, ale ponieważ generator osłony zawsze znajduje się w samym centrum, nie powinno to sprawiać trudności.

– Dlaczego nie byłem szkolony w używaniu tego systemu?

– Byłeś, przez cały czas. Po prostu komputer się tym zajmował. Twoje zadanie polega na uzyskaniu pozycji dającej przewagę strategiczną i na wyborze celu. Komputery pokładowe wymierzają Doktora o wiele precyzyjniej niż ty.

– Skąd taka nazwa: Doktor System?

– Kiedy powstawał, nazwano go Systemem Destrukcyjnym Molekularnej. Dr M. System.

Ender nadal nie rozumiał.

– Dr M. Ten skrót oznacza także doktora medycyny. Dr M. System, czyli dr System. Taki żart.

Ender nie widział w tym nic zabawnego.

★

Zmienili symulator. Nadal mógł kontrolować perspektywę i dokładność wyświetlania szczegółów, ale zniknęły instrumenty sterujące statkiem. Ich miejsce zajęła tablica z nowymi dźwigniami i mały zestaw słuchawek z dołączonym mikrofonem.

Czekający na niego technik szybko pokazał, w jaki sposób ich używać.

– Ale jak mam kierować statkami? – zdziwił się Ender. Mazer wyjaśnił. Więcej nie miał się tym zajmować.

– Przechodzisz do następnego etapu szkolenia. Zdobyleś doświadczenie na wszystkich poziomach strategii i czas już, byś się nauczył prowadzić flotę. Będziesz pracował z dowódcami eskadr, tak jak kiedyś, w Szkole Bojowej z dowódcami plutonów. Przydzielono ci na przeszkolenie trzydziestu takich dowódców. Musisz ich nauczyć skutecznej taktyki, musisz poznać ich mocne i słabe punkty. Stworzyć zespół.

– Kiedy ich zobaczę?

– Są już na miejscach, w swoich własnych symulatorach. Będziesz się z nimi porozumiewał przez słuchawki. Te nowe dźwignie na tablicy kontrolnej pozwolą ci obserwować starcia z perspektywy każdego z dowódców eskadr. W ten sposób sytuacja będzie bardziej zbliżona do prawdziwej walki, bo wtedy na ekranach masz tylko to, co widzą twoje okręty.

– Jak mam pracować z ludźmi, których tu nie ma?

– A po co masz ich oglądać?

– Żeby wiedzieć, kim są, jak myślą...

– Dowiesz się ze sposobu, w jaki działają na symulatorach. Zresztą uważam, że nie powinieneś sobie tym zawracać głowy. Oni już czekają. Włóż słuchawki, to ich usłyszysz.

Ender nasunął słuchawki.

– Salaam – szepnął mu ktoś do ucha.

– Alai – powiedział Ender.

– I ja, karzelek.

– Groszek.

I Petra, i Dink; Zwariowany Tom, Shen, Kant Zupa, Fly Molo, wszyscy najlepsi, obok których lub przeciw którym walczył, wszyscy, którym ufał w Szkole Bojowej.

– Nie wiedziałem, że tu jesteście. Nie wiedziałem, że was tu przenoszą.

– Już od trzech miesięcy mordują nas na symulatorze – oznajmił Dink.

– Przekonasz się, że jestem tu najlepszym taktykiem – wtrąciła Petra. – Dink się stara, ale myśli jeszcze jak dziecko.

I tak zaczęli pracować wspólnie. Dowódcy eskadr wydawali rozkazy poszczególnym pilotom, zaś Ender dowódcą eskadr. Poznali wiele sposobów wspólnego działania, ponieważ symulator stawiał ich w najrozmaitszych sytuacjach. Czasami dostawali do dyspozycji większą flotyllę i Ender dzielił ich na trzy lub cztery plutony, złożone z trzech lub czterech eskadr. Innym razem mieli tylko pojedynczy okręt z dwunastoma myśliwcami; wtedy Ender wybierał trzech dowódców eskadr, przyznając każdemu prowadzenie czterech z nich.

Wszystko to było zabawą, czystą frajdą. Komputerowy nieprzyjaciel nie olśniewał inteligencją i zawsze wygrywali, mimo błędów i nieporozumień. Za to, po trzech tygodniach wspólnych gier, Ender poznał wszystkich doskonale: Dink sprawnie wykonywał polecenia, lecz nie sprawdzał się, kiedy trzeba było improwizować; Groszek nie umiał kierować dużymi formacjami okrętów, ale potrafił z precyzją skalpela użyć niewielkiej grupki, cudownie reagując na wszystko, co komputer dla niego przygotował; Alai był strategiem niewiele gorszym od samego Endera i można mu było powierzyć połowę floty, udzielając jedynie ogólnych instrukcji.

Im lepiej ich znał, tym szybciej mógł ich wprowadzić do akcji, sprawniej wykorzystywać. Symulator wyświetlał na ekranie sytuację i wtedy Ender po raz pierwszy dowiadywał się, jakimi siłami dysponuje i jakie pozycje zajmuje flota przeciwnika. Potrzebował kilku minut, by przywołać potrzebnych

dowódców eskadr, przydzielić im określone okręty lub ich grupy i wyznaczyć zadania. Potem, w miarę rozwoju bitwy, przeskakiwał z jednego punktu widzenia do drugiego, robił pewne sugestie i z rzadka, gdy zachodziła potrzeba, wydawał rozkazy. Ponieważ oni widzieli wszystko jedynie z własnej perspektywy, jego polecenia wydawały się im czasem bezsensowne; nauczyli się jednak mu ufać. Jeśli kazał się cofnąć, cofali się wiedząc, że albo zajmują odstloniętą pozycję, albo ich manewr osłabi pozycję nieprzyjaciela. Wiedzieli także, że nie wydając rozkazów, Ender zdaje się w pełni na ich osąd. Gdyby ich styl prowadzenia walki nie pasował do sytuacji, na pewno nie zostaliby wybrani do tej bitwy.

Zaufanie było całkowite, a flota działała szybko i elastycznie. Po trzech tygodniach Mazer wyświetlił Enderowi zapis ich ostatniej bitwy, obserwowanej z punktu widzenia przeciwnika.

– Tak właśnie widzieli wasz atak. Co ci to przypomina? Choćby szybkością reakcji?

– Wyglądamy jak flota robali.

– Dorównujecie im, Ender. Jesteście równie sprawni jak oni. A teraz popatrz na to.

Ender przyglądał się, jak wszystkie jego eskadry działają równocześnie, reagując na poszczególne sytuacje, w jakich przyszło im walczyć, wszystkie posłuszne poleceniom Endera, ale śmiałe, improwizujące, pozorujące ataki i nacierające z niezależnością, jakiej nie wykazało żadne zgrupowanie okrętów robali.

– Umysł kopca robali jest dobry, ale potrafi się skupić tylko na kilku rzeczach równocześnie. Twoje eskadry mogą skoncentrować całą błyskotliwą inteligencję na konkretnym zadaniu, a te zadania także wyznacza całkiem niezły rozum. Teraz wiesz, że w pewnych dziedzinach macie przewagę. Dysponujecie lepszym, choć mającym swe ograniczenia uzbrojeniem, porównywalną szybkością i wyższą inteligencją. To są silne punkty. Wasza słabość to fakt, że zawsze, ale to zawsze wróg będzie miał przewagę liczebną, a po każdym starciu dowie się więcej o tobie i o tym, jak z tobą walczyć. I natychmiast wykorzysta tę wiedzę.

Ender czekał na wnioski.

– Zatem, Ender, zaczynamy kolejny etap twojej edukacji. Zaprogramowaliśmy komputer, by symulował sytuacje, których można się spodziewać w spotkaniach z wrogiem. Użyliśmy wzorców manewrów obserwowanych podczas Drugiej Inwazji. Ale nie będziemy ich bezmyślnie powtarzać. To ja mam kontrolować symulacje przeciwnika. Z początku układy będą proste i spodziewam się, że zwyciężysz bez trudu. Wyciągaj wnioski, ponieważ ja zawsze będę o jeden krok przed tobą, programując trudniejsze i bardziej złożone sytuacje tak, by kolejna bitwa była cięższa, żebyś musiał wykorzystać wszystkie swoje zdolności.

– A potem?

– Czas ucieka, Ender. Musisz się uczyć tak szybko, jak tylko zdołasz. Wyruszyłem w kosmos, żeby żyć jeszcze, gdy się zjawisz. Kiedy wróciłem, moja żona i dzieci już nie żyły, a wnuki były moimi równolatkami. Nie miałem im nic do powiedzenia. Zostałem odcięty od wszystkich, których kochałem. Żyłem w tej obcej katakumbie i nie mogłem robić nic, co miałoby znaczenie. Uczyłem jednego studenta po drugim; każdy z nich budził tak wiele nadziei i każdy w końcu okazywał się słabeuszem, porażką. Uczę i uczę, i nikt nic nie pojmuje. Ty także wiele obiecujesz, jak tyłu moich studentów, ale i w tobie mogą tkwić załączki klęski. Moim obowiązkiem jest odszukać je i jeśli mi się uda, zniszczyć cię. Wierz mi Ender, jeśli ktoś może cię pokonać, to ja.

– Więc nie jestem pierwszy?

– Nie, oczywiście, że nie. Za to jesteś ostatni. Jeśli ty się nie nauczysz, nie wystarczy czasu, by znaleźć jeszcze kogoś. Dlatego liczę na ciebie, ponieważ jesteś jedynym, na którego można jeszcze liczyć.

– A inni? Moi dowódcy eskadr?

– Który z nich mógłby cię zastąpić?

– Alai.

– Bądź uczciwy.

Na to Ender nie znalazł odpowiedzi.

– Nie jestem szczęśliwym człowiekiem, Ender. Ludzkość nie wymaga, byśmy byli szczęśliwi. Wymaga tylko geniuszu. Najpierw przetrwanie, potem, jeśli się uda, szczęście. Dlatego, Ender, mam nadzieję, że w czasie szkolenia nie będziesz mnie zanudzał skargami, że ci ciężko. Szukaj rozrywek podczas przerw w pracy, ale praca jest najważniejsza, nauka jest najważniejsza, a zwycięstwo jest wszystkim, gdyż bez niego nie pozostanie nam nic. Jeśli potrafisz mi oddać zmarłą żonę, Ender, to masz prawo się skarżyć.

– Nie uchylam się od obowiązków.

– Ale będziesz próbował, Ender, na pewno spróbujesz. Albowiem zamierzam rozetrzeć cię na proszek, jeśli tylko zdołam. Zamierzam użyć przeciw tobie wszystkiego, co tylko potrafię wymyślić i nie będę miał litości, ponieważ kiedy spotkasz robali, oni zaskoczą cię tym, czego nie potrafiłem sobie wyobrazić, a na współczucie dla ludzkich istot nie można u nich liczyć.

– Nie zdołasz mnie zetrzeć, Mazer.

– Doprawdy?

– Jestem silniejszy od ciebie.

Mazer uśmiechnął się.

– Przekonamy się, Ender.

★

Mazer obudził go przed świtem. Zegar wskazywał 3.40 i Ender poczłapał chwiejnie za nauczycielem.

– Kto się wcześniej położy i wcześniej z łóżka wyskoczy, ten od tego głupiej i nie widzi na oczy – oświadczył Mazer.

Ender śnił, że robale robią mu wiwisekcję. Tyle że zamiast rozcinać ciało, wycinały mu wspomnienia i wyświetlały jak hologramy, usiłując cokolwiek z nich zrozumieć. To był bardzo dziwny sen i Ender nie mógł się z niego otrząsnąć, nawet idąc już korytarzem w stronę pomieszczenia symulatora. Robale torturowały go przez sen, a Mazer zajmie się nim na jawie. Nie mógł liczyć nawet na chwilę spokoju. Zmusił się, by spojrzeć przytomniej. Mazer najwyraźniej nie żartował mówiąc, że zamierza go złamać, a zmuszanie go do gry akurat wtedy, gdy był zmęczony i niewyspany, stanowiło sztuczkę dokładnie tak prymitywną i prostą, jakiej powinien oczekiwać.

Usiadł w symulatorze i stwierdził, że dowódcy eskadr są już podłączeni i czekają na niego. Na razie nie widział jeszcze przeciwnika, więc podzielił ich na dwie armie i zarządził treningowe starcie, prowadząc obie strony tak, by ocenić wyniki testów, jakie przechodził każdy z dowódców. Zaczęli dość ospale, ale szybko odzyskali zwykłą sprawność i wigor.

Nagle sześcienny ekran symulatora zgasł, światelka zniknęły i w jednej chwili wszystko się zmieniło. Przy samej krawędzi pola zobaczyli wyrysowane holograficznym światłem sylwetki trzech okrętów ziemskiej floty. Każdy z nich niósł dwanaście myśliwców. Nieprzyjaciół, najwyraźniej świadom obecności ludzi, utworzył sferę z pojedynczym statkiem w środku. Ender nie dał się oszukać; wiedział, że nie na tym statku znajduje się królowa. Robale miały dwa razy więcej

myśliwców, ale ustawiły je zdecydowanie za blisko. Doktor System zada wrogom większe straty, niż mogliby oczekiwać.

Ender wybrał jeden kosmolot, kazał mu zamigotać na ekranie, po czym odezwał się do mikrofonu:

– Alai, robota dla ciebie. Przydzielisz Petrze i Vladowi myśliwce według własnego uznania.

Potem wyznaczył dowódców dwóch pozostałych okrętów i ich grup myśliwskich. Po jednym myśliwcu z każdej jednostki zarezerwował dla Groszka.

– Przesuń się po ścianie, Groszek i zajdź ich od dołu. Chyba że ruszą za tobą – wtedy uciekaj w stronę odwodów. Jeśli nie ruszą, czekaj na miejscu, żebym mógł cię wykorzystać do szybkich akcji. Alai, uformuj zespół do ataku grupą zwartą na jeden punkt tej ich sfery. Nie strzelaj, dopóki ci nie powiem.

– To prosty układ, Ender.

– Prosty. Więc czemu się nie zabezpieczyć? Chcę to załatwić bez żadnych strat.

Ender ustawił odwody w dwóch grupach, osłaniających z bezpiecznej odległości myśliwce Alai. Groszek był już poza ekranem, lecz Ender od czasu do czasu przeskakiwał na jego punkt widzenia, by wiedzieć, gdzie się znajduje.

Zasadniczy ciężar subtelnej rozgrywki z przeciwnikiem spoczywał jednak na Alai. Chłopiec ustawił swoje jednostki w formację pocisku i sondował nieprzyjacielską sferę. Kiedy tylko się zbliżał, okręty robali odskakiwały, jakby chciały go ściągnąć do tego, który czekał w środku. Alai skręcał w bok; okręty robali nie dawały się zaskoczyć. Cofały się, gdy był blisko; powracały do szyku, gdy odlatywał.

Pozorowany atak, odskok, natarcie w innym punkcie, znów odskok i znów atak, aż w końcu Ender powiedział:

– Ruszaj, Alai.

Pocisk przesunął się do sfery.

– Przepuszczaj mnie – zauważył Alai. – A potem okrążaj i zjedzą żywcem.

– Po prostu ignoruj ten statek w środku.

– Co tylko sobie życzysz, szefie.

Oczywiście, sfera zaczęła się kurczyć. Ender podciągnął rezerwy; nieprzyjacielskie jednostki skoncentrowały się na brzegu sfery – tam, gdzie zbliżały się jego odwody.

– Atakuj tam, gdzie są najbardziej skupieni – polecił.

– To przeczy czterem tysiącom lat historii działań wojennych – odparł Alai, wyprowadzając swoje myśliwce. – Po winniśmy nacierać tam, gdzie mamy przewagę.

– W tej symulacji widocznie jeszcze nie wiedzą, co potrafi nasza broń. To może się udać tylko raz, więc niech przynajmniej będzie widowiskowe. Strzelaj, kiedy uznasz za stosowne.

Alai wykonał rozkaz. Symulator odpowiedział wspaniale: najpierw jeden czy dwa, potem dziesięć, wreszcie większa część okrętów przeciwnika eksplodowała oślepiającym blaskiem, gdy pole obejmowało kolejne jednostki ustawione w ciasnym szyku.

Statki po przeciwnej stronie sfery uniknęły reakcji łańcuchowej, ale ich przechwycenie i zniszczenie nie sprawiło kłopotów. Groszek zajął się maruderami, próbującymi uciekać w jego sektor przestrzeni. Bitwa była zakończona. Okazała się łatwiejsza niż ostatnie walki ćwiczebne.

Mazer wzruszył tylko ramionami, gdy Ender mu o tym powiedział.

– To jest symulacja prawdziwej inwazji. Musi być jedna bitwa, w której oni jeszcze nie wiedzą, do czego jesteśmy zdolni. Teraz zacznie się prawdziwa praca. Uważaj, żebyś po tym zwycięstwie nie poczuł się zbyt pewnie. Już niedługo będziesz się musiał porządnie nagłować.

Ender trenował po dziesięć godzin dziennie z dowódcami eskadr, choć nie ze wszystkimi naraz; po południu zostawiał im po kilka godzin na odpoczynek. Symulacje bitew pod nadzorem Mazera wypadły co dwa, trzy dni i zgodnie z jego obietnicą nie były już takie proste. Nieprzyjacieli szybko zrezygnował z początkowych prób okrążenia Endera i nigdy nie grupował swych sił dostatecznie blisko, by nastąpiła reakcja łańcuchowa. Za każdym razem występował jakiś nowy element, zawsze trudniejszy. Czasami Ender dysponował tylko jednym statkiem i ośmioma myśliwcami; raz przeciwnik manewrował w pasie asteroidów; zdarzały się stacjonarne pułapki – wielkie instalacje wybuchające, gdy tylko Ender zbyt blisko podprowadził swoje eskadry, często uszkadzając i niszcząc jego statki.

– Nie wolno ci ponosić strat – krzyczał na niego Mazer po jednej z bitew. – W prawdziwej wojnie nie będziesz miał luksusu nieskończonej rezerwy komputerowych myśliwców. Będziesz miał to, co ze sobą zabrałeś i nic więcej. Musisz walczyć bez zbędnych strat.

– To nie były zbędne straty – odparł Ender. – Nie mogę wygrywać, jeśli będę unikał ryzyka ze strachu przed utratą statku.

– Znakomicie, Ender – uśmiechnął się Mazer. – Zaczynasz się uczyć. Ale w prawdziwej wojnie znajdą się oficerowie, a co gorsza cywile, którzy będą na ciebie krzyczeli w tym stylu. Do rzeczy. Gdyby nieprzyjacieli trochę pomyślał, złapałby cię tutaj i wykończył eskadrę Toma.

Razem przeanalizowali starcie. Na najbliższym treningu Ender pokaże swoim dowódcom to, co jemu pokazał Mazer. Nauczą się, jak sobie radzić z tymi pułapkami.

Przedtem uważali, że są już gotowi, że gładko pracują w zespole. Teraz jednak, po serii naprawdę trudnych walk, zaczęli sobie ufać bardziej niż kiedykolwiek, a bitwy sprawiały im radość. Mówili Enderowi, że ci, którzy akurat nie grają, przychodzą do symulatora, żeby popatrzeć. Ender wyobrażał sobie, jakby to było mieć ich koło siebie, bijących brawo, śmiejących się czy otwierających usta z zachwytu. Czasem zdawało mu się, że by go to rozpraszało, innym razem znów pragnął tego z całego serca. Nigdy jeszcze nie czuł się taki samotny, nawet wtedy, gdy całe dnie spędzał opalając się na tratwie pośrodku jeziora. Mazer Rackham był jego towarzyszem i wykładowcą, ale nie przyjacielem.

Ender nie skarżył się. Mazer uprzedzał go, że nie będzie pobażania i że nikt nie będzie się przejmował jego osobistymi problemami. Na ogół zresztą nie przejmował się nimi nawet sam Ender. Myślał głównie o grze i starał się wyciągać wnioski ze stoczonych bitew. Analizował nie tylko przebieg konkretnego starcia, ale zastanawiał się, co zrobiłyby robale, gdyby były sprytniejsze i jak on, Ender, zareaguje, jeśli kiedyś to zrobią. Przeżywał minione i przyszłe starcia na jawie i we śnie, a swoich dowódców eskadr zmuszał do takiego wysiłku, że zaczynali się buntować.

– Jesteś dla nas za dobry – powiedział kiedyś Alai. – Czemu się nie złościsz, gdy nie jesteśmy genialni w każdej chwili każdego ćwiczenia? Jeśli dalej będziesz nas tak rozpieszczał, możemy pomyśleć, że nas lubisz.

Kilku innych zaśmiało się do mikrofonów. Ender dostrzegł, oczywiście, ironiczny ton pytania i odpowiedział długim milczeniem. Kiedy się wreszcie odezwał, całkowicie zignorował narzekania Alai.

– Jeszcze raz – polecił. – Tylko bez rozczulania się nad sobą.

Zrobili to jeszcze raz i zrobili dobrze.

W miarę jednak jak rosło ich zaufanie do Endera jako dowódcy, kończyła się pamiętana za Szkoły Bojowej przyjaźń. Sobie byli bliscy, sobie się zwierzali. Ender był dla nich nauczycielem i komendantem, równie obcym, jak dla niego Mazer. I równie wymagającym.

W bitwach sprawowali się lepiej, a Endera nic nie odrywało od pracy.

Przynajmniej na jawie. Odpywając wieczorem w sen myślał o symulatorze, nocą jednak inne wspomnienia wypełniały jego umysł. Często przypominał sobie rozkładające się wolno ciało Olbrzyna, lecz nie jako piksele obrazu na ekranie. Było realne, a wokół wciąż unosił się delikatny zapach śmierci. Wiele rzeczy w jego snach wyglądało inaczej. Niewielką wioskę, która wyrosła między żebrami Olbrzyna, zamieszkiwały teraz robale; salutowały mu ponuro jak gladiatorzy pozdrawiający Cezara, nim zginą dla jego rozrywki. W swoich snach przestał nienawidzić robali i choć wiedział, że ukrywają przed nim swoją królową, nie próbował jej szukać. Zawsze pospiesznie odchodził od ciała Olbrzyna, a kiedy docierał do placu zabaw, dzieci już czekały, wilcze i drwiące. Znał ich twarze. Czasem był to Peter, a czasem Bonzo lub Stilson i Bernard; jednak równie często te drapieżne stworzenia przybierały wygląd Alai i Shena, Dinka i Petry. A czasem jedno z nich było Valentine i we śnie ją także wypychał pod wodę i czekał, aż utonie. Szarpała się w jego uścisku i wrywała, lecz w końcu nieruchomiała. Wtedy wyciągał ją z jeziora i układał na trawie, gdzie leżała z nieruchomą twarzą. Krzyczał i płakał nad nią, powtarzał, że to tylko gra, gra, że tylko się bawił!

Wtedy Mazer Rackham budził go, potrząsając za ramię.

– Krzyczałeś przez sen – mówił.

– Przepraszam.

– Nieważne. Pora na kolejną bitwę.

Tempo stopniowo wzrastało. Rozgrywali teraz zwykle dwie bitwy dziennie i Ender ograniczył treningi do minimum. Kiedy inni odpoczywali, on studiował przebieg walk, próbując dostrzec własne słabości, odgadnąć, co się zdarzy następnym razem. Czasem był w pełni przygotowany na innowacje przeciwnika. A czasem nie.

– Uważam, że oszukujesz – powiedział kiedyś Mazerowi.

– Tak?

– Obserwujesz moje ćwiczenia. Widzisz, nad czym pracuję. Mam wrażenie, że znasz wszystko, co robię.

– Większa część tego, co oglądasz, to symulacje. Komputer został zaprogramowany tak, by reagować na twoje manewry dopiero wtedy, gdy chociaż raz użyjesz ich w walce.

– W takim razie komputer oszukuje.

– Potrzebujesz więcej snu, Ender.

Ale nie mógł spać. Coraz dłużej czekał każdej nocy na sen, a ten, kiedy już nadszedł, dawał coraz mniej odpoczynku. Zbyt często się budził. Nie był pewien, czy to dlatego, by więcej myśleć o grze, czy po to, by uciec od swych snów. Miał wrażenie, że ktoś kieruje jego marzeniami i zmusza, by wracał do swych najgorszych wspomnień, by przeżywał je na nowo w pozornej rzeczywistości. Noce stały się tak realne, że dni zdawały się snem. Zaczynał się martwić, że nie potrafi jasno rozumować, że podczas gry będzie zbyt zmęczony. Jak dotąd gra przywracała mu pełną świadomość. Zastanawiał się jednak, czy zauważy zmniejszenie potencjału swego umysłu.

A ten obniżał się. Tak przynajmniej zdawało się Enderowi. Zwyciężał, lecz za każdym razem tracił przynajmniej kilka myśliwców. Parę razy nieprzyjaciół udało go zmusić do odsłonięcia słabych punktów, których nie powinien odsłaniać;

czasem był tak zmęczony ciągłymi atakami, że zwycięstwo było efektem w równej mierze szczęścia, co strategii. Mazer analizował rozgrywkę z wyrazem pogardy na twarzy.

– Spójrz tylko – mówił. – Nie musiałeś tego robić.

A Ender wracał do ćwiczeń z dowódcami eskadr i próbował podtrzymać ich morale. Zdarzało się jednak, że wyczuwali jego rozczarowanie ich nieudolnością; tym, że nie byli doskonali.

– Czasem popełniamy błędy – szepnęła mu kiedyś Petra. To było błaganie o pomoc.

– A czasem nie – odpowiedział. Jeśli ktoś jej pomoże, to na pewno nie on. On może uczyć; niech gdzie indziej szuka przyjaciół.

Wtedy nadeszła bitwa, która skończyła się niemal katastrofą. Petra poprowadziła swoją grupę zbyt daleko. Znaleźli się na odsłoniętej pozycji, co odkryła, gdy nie było przy niej Endera. W ciągu kilku chwil straciła wszystkie swoje jednostki prócz dwóch. Wtedy wrócił Ender i polecił jej przesunąć się. Nie odpowiedziała. Nie poruszyła się. Jeszcze sekunda, i straciłaby oba pozostałe myśliwce.

Ender natychmiast zrozumiał, że zbyt wiele od niej wymagał. Była znakomita i wzywał ją do gry częściej i w trudniejszych sytuacjach niż wszystkich pozostałych. Nie miał jednak czasu, by się o nią martwić ani by odczuwać wyrzuty sumienia. Wezwał Zwariowanego Toma, by przejął kierowanie dwoma myśliwcami, po czym spróbował mimo wszystko zwyciężyć – Petra zajmowała kluczową pozycję i teraz cała strategia Endera traciła sens. Gdyby przeciwnik nie był za nadto gorliwy i zręcznie wykorzystał przewagę, Ender poniósłby klęskę. Shenowi jednak udało się pochwycić grupę wrogich statków w zbyt ciasnym szyku i zniszczyć je jedną reakcją łańcuchową. Zwariowany Tom wprowadził swoje dwie jednostki przez powstałą wyrwę i zadał spore straty, a choć myśliwce jego i Shena zostały w końcu zniszczone, Fly Moło zdołał dokończyć wymiatania i przypieczętował zwycięstwo.

Pod koniec starcia Ender słyszał, jak Petra płacze i próbuje dostać się do mikrofonu.

– Powiedźcie mu, że przepraszam, byłam taka zmęczona, nie mogłam myśleć, powiedźcie Enderowi, że przepraszam...

Nie było jej na kilku sesjach treningowych, a kiedy wróciła, nie była już tak szybka jak kiedyś ani tak śmiała. Straciła większość cech, czyniących z niej dobrego dowódcę. Ender nie mógł jej już wykorzystywać, chyba że w rutynowych, przeprowadzanych pod ścisłym nadzorem akcjach. Nie była głupia i widziała, co się dzieje. Rozumiała jednak, że nie ma wyboru, i powiedziała mu o tym.

Nie zmieniało to faktu, że się załamała, a z pewnością wcale nie była najsłabszym z dowódców eskadr. Zrozumiał to jako ostrzeżenie: nie może wymagać od nich więcej, niż będą w stanie wytrzymać. Teraz, zamiast wzywać ich, gdy tylko potrzebował konkretnych umiejętności, musiał jeszcze pamiętać, jak często walczyli. Musiał z nich rezygnować, a to oznaczało, że przystępował czasem do bitwy z ludźmi, którym odrobinę mniej ufał. Zmniejszając nacisk na tamtych, zwiększył go wobec siebie.

Pewnej nocy zbudził go ból. Na jego poduszce była krew, czuł smak krwi w ustach i mrowienie w palcach. Zrozumiał, że przez sen gryzł własną dłoń.

– Mazer! – zawołał.

Rackham przebudził się i natychmiast wezwał doktora.

– Nie obchodzi mnie, czym się żywisz, Ender – oznajmił, gdy lekarz opatrywał ranę. – Autokanibalizm nie pomoże ci uciec ze szkoły.

– Spałem – wyjaśnił Ender. – Nie chcę odchodzić ze Szkoły Dowodzenia.

– To dobrze.

– Ci inni... Ci, którym się nie udało...

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Przede mną. Twoi uczniowie, którzy nie ukończyli szkolenia. Co się z nimi stało?

– Nie ukończyli szkolenia. To wszystko. Nie karzemy tych, którym się nie udało. Po prostu... nie przechodzą dalej.

– Jak Bonzo.

– Bonzo?

– Odleciał do domu.

– Nie, nie jak Bonzo.

– Więc co? Co się z nimi dzieje? Jak już przegrają?

– Czemu cię to interesuje?

Ender nie odpowiedział.

– Żaden z nich nie zawiódł na tym etapie szkolenia. Popełniłeś błąd z Petrą, Ender. Ona dojdzie do siebie. Ale Petra to Petra, a ty to ty.

– Ona jest częścią tego, czym jestem. Tego, czym mnie uczyniła.

– Ty się nie załamiesz, Ender. Jeszcze nie teraz, na tak wczesnym etapie. Owszem, miałeś kilka trudnych sytuacji, ale zawsze wygrywałeś. Nie wiesz jeszcze, jakie są granice twoich możliwości, ale jeśli już je osiągnąłeś, to jesteś o wiele słabszy, niż sądziłem.

– Czy oni giną?

– Kto?

– Ci, którzy zawiedli.

– Nie, nie giną. Rany boskie, chłopcze, przecież to tylko gra.

– Myślę, że Bonzo zginął. Śniłem o tym zeszłej nocy. Zobaczyłem znowu, jak wyglądał, kiedy trafiłem go głową w twarz. Chyba wepchnąłem mu nos do mózgu. Krew płynęła mu z oczu. Myślę, że już wtedy nie żył.

– To tylko sen.

– Mazer, ja nie chcę o tym śnić. Boję się zasypiać. Ciągłe myślę o tym, czego nie chcę pamiętać. Całe moje życie wyświetla się na nowo, jakbym był magnetowidem i ktoś chciał oglądać najstraszniejsze fragmenty moich wspomnień.

– Nie możemy podać ci żadnych leków, jeśli na to właśnie liczyłeś. Przykro mi, że miewasz złe sny. Może zostawić na noc zapalone światło?

– Nie kpij ze mnie! – zawołał Ender. – Boję się, że tracę rozum.

Lekarz skończył bandażować rękę. Mazer powiedział, że może iść. Wyszedł.

– Naprawdę się tego boisz? – spytał Mazer.

Ender zastanowił się i nie był już pewien.

– W moich snach – powiedział – nigdy nie mam pewności, czy naprawdę jestem sobą.

– Te sny są zaworem bezpieczeństwa, Ender. Wywieram na ciebie pewien niewielki nacisk, po raz pierwszy w twoim życiu. Ciało szuka sposobów kompensacji. To wszystko. Pora, żebyś przestał się bać nocy.

– Dobrze – zgodził się Ender. Postanowił wtedy, że nigdy już nie powie Mazerowi o swoich snach.

Dni płynęły, wypełnione bitwami, aż wreszcie Ender wpadł w rutynę autodestrukcji. Zaczął odczuwać bóle żołądka. Przepisali mu dietę, ale wkrótce stracił apetyt na cokolwiek. „Jedz”, mówił mu Mazer i Ender mechanicznie wkładał jedzenie do ust. Gdy jednak nikt mu nie kazał, nie jadł.

Jeszcze dwóch dowódców eskadr załamało się tak, jak wcześniej Petra. Tym większy stał się nacisk na pozostałych. W każdej bitwie nieprzyjaciół miał teraz trzy, nawet czterokrotną przewagę; wycofywał się także natychmiast, gdy walka szła nie najlepiej i przegrupowywał, by trwała dłużej i dłużej. Czasami trzeba było kilku godzin, by zniszczyć ostatni wrogi statek. Ender zaczął zmieniać dowódców w czasie bitwy, ściągając świeżych i wypoczętych na miejsce tych, którzy tracili już refleksy.

– Wiesz co? – powiedział mu kiedyś Groszek, obejmując komendę nad czterema pozostałymi myśliwcami Kant Zupy.

– Ta gra nie jest już tak zabawna jak kiedyś.

Wreszcie pewnego dnia podczas ćwiczeń, gdy Ender trenował swoich dowódców eskadr, sala poczerwieniała nagle i ocknął się na podłodze, z twarzą zakrwawioną od uderzenia o przyrządy.

Zanieśli go do łóżka i przez trzy dni był ciężko chory. Pamiętał, że oglądał w majakach jakieś twarze, ale nie były prawdziwe – wiedział to już wtedy, kiedy mu się zdawało, że je widzi. Czasem myślał, że to Valentine, a czasem, że Peter; czasem jego przyjaciele ze Szkoły Bojowej, czasem wiwisekcjonujące go robale. Raz majaczenie zdawało się niezwykle realne – widział wtedy, jak pułkownik Graff pochyla się nad nim i mówi coś cicho i delikatnie jak ojciec. Ale kiedy się przebudził, zobaczył tylko swego wroga, Mazera Rackhama.

– Nie śpię – oznajmił Ender.

– Właśnie widzę – odparł Mazer. – Długo to trwało. Masz dzisiaj bitwę.

Ender wstał, stoczył bitwę i wygrał ją. Drugiej już nie było i pozwolili mu wcześniej iść do łóżka. Ręce mu drżały, gdy się rozbierał. Śniło mu się, że słyszy głosy.

– Nie byłeś dla niego zbyt delikatny.

– Nie takie miałem zadanie.

– Ile jeszcze wytrzyma? Załamuje się...

– Dostatecznie długo. Już prawie koniec.

– Tak szybko?

– Jeszcze tylko parę dni.

– Jak sobie poradzi, jeśli już teraz jest w takim stanie?

– Doskonale. Nawet dzisiaj walczył lepiej niż kiedykolwiek.

W tym śnie zdawało mu się, że to głosy pułkownika Graffa i Mazera Rackhama. Ale tak to już jest, że w snach zdarzają się najbardziej nieprawdopodobne rzeczy, ponieważ potem śnił, że jeden z głosów powiedział:

– Nie mogę patrzeć na to, co się z nim dzieje.

A drugi odparł:

– Wiem. Ja też go kocham.

A potem zmieniły się w głosy Valentine i Alai, którzy grzebali go w tym śnie, aż kopiec wyrósł w miejscu, gdzie złożyli jego ciało, a potem Ender wysechł i stał się domem dla robali jak Olbrzym.

Tylko sny. Jedynie w snach mógł znaleźć miłość i żal nad sobą.

Obudził się, stoczył kolejną bitwę i wygrał. Wrócił do łóżka, znów zasnął i znowu śnił, potem się zbudził, znów wygrał i zasnął i niemal nie zauważył, kiedy jawa staje się snem. Zresztą, nie dbał o to.

Następny dzień był jego ostatnim dniem w Szkole Dowodzenia, choć jeszcze o tym nie wiedział. Kiedy się zbudził, Mazera Rackhama nie było w pokoju. Wziął prysznic i czekał, aż Mazer wróci i odblokuje zamek. Nie wrócił. Ender sprawdził drzwi. Były otwarte.

Czy to przypadek, że Mazer Rackham pozwolił mu tego ranka na wolność? Nikt nie mówił, że musi jeść, musi ćwiczyć, musi spać. Wolność. Problem w tym, że nie wiedział, co robić. Przez chwilę myślał, czy nie odwiedzić swoich dowódców eskadr i nie porozmawiać z nimi twarzą w twarz, ale nie wiedział, gdzie ich szukać. Mogli być o dwadzieścia kilometrów stąd. Dlatego po krótkiej włóczędze tunelami poszedł do mesy i zjadł śniadanie razem z kilkoma marines. Opowiadali świńskie dowcipy, których Ender nie rozumiał. Potem ruszył na trening do sali symulatora. Był wolny, ale nie potrafił sobie wymyślić innego zajęcia.

Mazer czekał na niego. Ender wszedł wolno; powłóczył trochę nogami, czuł się zmęczony i otepiały.

W sali byli inni ludzie. Ender zastanawiał się, co tu robią, ale nie zadał sobie trudu, by zapytać. To nie miało sensu. I tak nikt by mu nie odpowiedział. Podeszedł do symulatora i usiadł, gotów do działania.

– Enderze Wiggin – odezwał się Mazer. – Odwróć się, proszę. Dzisiejsza gra wymaga pewnych wyjaśnień.

Ender obejrzał się. Spojrzał na mężczyzn stojących pod ścianą. Większości z nich nigdy dotąd nie widział. Niektórzy mieli nawet cywilne ubrania. Dostrzegł Andersona i zastanowił się, co on tu robi i kto w jego zastępstwie zajmuje się Szkołą Bojową. Zauważył Graffa i przypomniał sobie otoczone drzewami jezioro w pobliżu Greensboro. Zapragnął wrócić do domu. Zaczął bezgłośnie prosić Graffa, by wziął go do domu. We śnie mówił przecież, że kocha Endera. Niech teraz zabierze go do domu.

Lecz Graff skinął mu tylko głową. To było powitanie, nie obietnica. A Anderson zachowywał się tak, jakby go wcale nie znał.

– Słuchaj uważnie, Ender. Dzisiaj odbędzie się twój końcowy egzamin w Szkole Dowodzenia. Ci ludzie przyszli tutaj, by ocenić, czego się nauczyłeś. Jeśli ci przeszkadzają, wyjdą i będą obserwować wszystko na innym symulatorze.

– Mogą zostać.

Końcowy egzamin. Może po dzisiejszym dniu będzie mógł odpocząć.

– Aby był to prawdziwy test twoich możliwości, a nie tylko powtórka tego, co ćwiczyłeś już wielokrotnie, abyś musiał pokonać trudności, jakich jeszcze nie spotkałeś, wprowadzono do dzisiejszej bitwy dodatkowy element. Będzie się rozgrywać wokół planety. Wpłynie to na strategię przeciwnika i zmusi cię do improwizacji. Zależy mi, byś się skoncentrował na dzisiejszej grze.

Ender przywołał Mazera gestem ręki.

– Czy jestem pierwszym studentem, który doszedł tak daleko? – zapytał cicho, gdy ten podeszedł bliżej.

– Jeśli zwyciężysz dzisiaj, Ender, będziesz pierwszym, któremu się to udało. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

– Ale ja mam ochotę posłuchać.

– Możesz być rozdrażniony. Jutro. Dziś jednak byłbym ci wdzięczny, gdybyś skupił swoją uwagę na egzaminie. Nie marnujmy wszystkiego, co do tej pory dokonałeś. A więc: jak sobie poradzisz z planetą?

– Muszę za nią kogoś wprowadzić, bo powstanie martwe pole.

– Zgadza się.

– Grawitacja wpłynie na zużycie paliwa, łatwiej lecieć w dół, niż w górę.

– Tak.

– Czy Mały Doktor będzie działał przeciwko planecie? Twarz Mazera stwardniała nagle.

– Ender, robale nigdy nie atakowały ludności cywilnej.

Podczas obu inwazji. Sam zdecydujesz, czy rozsądnie będzie użyć strategii skłaniającej do działań odwetowych.

– Czy ta planeta to jedyny nowy element?

– A czy przypominasz sobie, kiedy ostatnio zaprogramowałem ci bitwę z jednym tylko nowym elementem? Zapewniam cię, Ender, że dzisiaj nie będę dla ciebie łagodny. Odpowiadam przed flotą za to, by drugorzędny student nie otrzymał dyplomu. Zrobię, co będę mógł, by cię pokonać, Ender, i nie mam ochoty się z tobą pieścić. Pamiętaj tylko o tym, co wiesz o sobie i co wiesz o robalach, a będziesz miał szansę, by coś osiągnąć.

Mazer wyszedł z sali.

– Jesteście? – rzucił Ender do mikrofonu.

– Wszyscy – odpowiedział Groszek. – Chyba się trochę spóźniłeś na poranny trening?

Więc dowódcy eskadr nic nie wiedzieli. Przez moment Ender rozważał pomysł, by im wyjawic, jak ważna jest dla niego ta bitwa, uznał jednak, że dodatkowe zmartwienie w niczym im nie pomoże.

– Przepraszam – powiedział. – Zasnęłam.

Roześmiali się. Nie uwierzyli mu.

Przeprowadził kilka manewrów, by ich rozgrzać przed bitwą. Potrzebował więcej czasu niż zwykle, by doprowadzić swój umysł do normalnego stanu i skoncentrować się na dowodzeniu. Wkrótce jednak osiągnął odpowiednie tempo, reagował szybko, myślał sprawnie. A przynajmniej, powiedział sobie, myślał, że myśli sprawnie.

Pole symulatora oczyściło się. Ender czekał, aż pojawi się gra. Co się stanie, jeśli zda ten egzamin? Jeszcze jedna szkoła? Kolejny rok albo dwa wyczerpujących treningów, kolejny rok izolacji, kolejny rok ludzi popychających go tu i tam, kolejny rok bez żadnego wpływu na własne życie? Spróbował sobie przypomnieć, ile właściwie ma lat. Jedenaście. Ile lat temu skończył jedenaście? Ile dni? To musiało stać się tutaj, w Szkole Dowodzenia, ale nie pamiętał, kiedy. Może nawet tego nie zauważył. Nikt nie zauważył, może z wyjątkiem Valentine.

Czekając, aż pojawi się gra, zapragnął nagle, by mógł ją po prostu przegrać, przegrać tę bitwę tak fatalnie i kompletnie, że odsunęliby go od szkolenia i odesłali do domu jak Bonza. Wysłali go do Cartageny. Ender chciałby zobaczyć rozkaz wyjazdu mówiący: Greensboro. Sukces oznaczał, że wszystko będzie trwało nadal. Porażka – że będzie mógł wrócić do domu.

Nie, to nieprawda, powiedział sobie. Potrzebują go, a jeśli zawiedzie, może nie będzie już domu, do którego mógłby wrócić.

Nie wierzył w to jednak. Wiedział, świadomą częścią umysłu, że to prawda, lecz gdzie indziej, głębiej, wątpił, czy naprawdę jest im potrzebny. Nalegania Mazera były tylko kolejną sztuczką. Jeszcze jednym sposobem, żeby nie pozwolić mu odpocząć. Nie pozwolić na to, by przez długi, długi czas nie musiał nic robić.

Wtedy zapłonęły światelka szyku przeciwnika i znużenie Endera zmieniło się w rozpacz.

Wrogowie mieli przewagę tysięcy do jednego i ekran symulatora lśnił zielenią od ich okrętów, ustawionych w dziesiątki różnych formacji, zmieniających pozycje i kształty, poruszających się pozornie przypadkowo w polu wizji. Ender nie dostrzegał żadnej drogi przez ich szyki – otwarta jeszcze przed chwilą przestrzeń zamykała się nagle i pojawiała gdzie indziej, luźne formacje stawały się nieprzeniknione. Planeta tkwiła na samej krawędzi pola i Ender mógł się spodziewać, że za nią, poza zasięgiem obrazu symulatora, kryje się co najmniej tyle samo okrętów.

Jego flota składała się z dwudziestu okrętów, mających tylko po cztery myśliwce. Znał te czwórkowe kosmoloty; były staromodne i nieruchawe, a ich Mały Doktor miał zasięg o połowę mniejszy niż w nowych jednostkach. Osiemdziesiąt myśliwców przeciw pięciu, może dziesięciu tysiącom statków wroga.

Słyszał, jak dowódcy eskadr oddychają z trudem; ktoś zaklął cicho za jego plecami. Przyjemnie było wiedzieć, że któryś z dorosłych także zauważył, że to nie jest uczciwa gra. Chociaż to zupełnie bez znaczenia – było jasne, że uczciwość nie liczy się w tej walce. Nie pozostawiono mu nawet minimalnej szansy na zwycięstwo. Tyle przeszedł, a oni nigdy nie mieli zamiaru pozwolić, żeby wygrał.

Znowu zobaczył Bonza i niewielką, lecz groźną grupkę jego przyjaciół. Grozili mu, wyzywali; wtedy potrafił zawstydić Bonza i skłonić do walki sam na sam. Tutaj raczej się to nie uda. Nie zdoła też zaskoczyć wrogów swymi umiejętnościami jak kiedyś starszych chłopców w sali treningowej. Mazer znał jego możliwości na wylot.

Obserwatorzy z tyłu pokaszliwali i przesuwali się nerwowo. Zaczynali pojmować, że Ender zwyczajnie nie wie, co ma robić.

Pomyślał, że już go to nie interesuje. Mogą sobie zaliczyć tę grę. Jeśli nie dają mu żadnej szansy, to po co ma grać?

Zupełnie jak ostatnia bitwa w Szkole Bojowej, kiedy wystawili przeciw niemu dwie armie.

I dokładnie w chwili, gdy pomyślał o tej bitwie, Groszek najwyraźniej także ją sobie przypominał, gdyż w słuchawkach zabrzmiał jego głos:

– Pamiętaj, brama nieprzyjaciela jest w dole.

Molo, Zupa, Vlad, Śmieciarz i Zwariowany Tom parsknęli śmiechem. Oni także pamiętali.

Ender też się roześmiał. W końcu, to naprawdę było zabawne. Dorośli traktowali wszystko ze śmiertelną powagą, a dzieci grały z nimi i grały, wierząc we wszystko, aż wreszcie dorośli posuwali się za daleko, naciskali zbyt mocno, i dzieci nagle rozumiały ich grę. Niech Mazer zapomni o egzaminie. Endera nie obchodziło już, czy zda. Nie obchodziły go już żadne reguły. Jeśli Mazer może oszukiwać, to on też może. Nie pozwoli, żeby go pobił nieuczciwie – to on pobije Mazera pierwszy.

Swoją ostatnią bitwę w Szkole Bojowej wygrał ignorując nieprzyjaciół i własne straty; zaatakował bramę przeciwnika.

A brama przeciwnika jest w dole.

Jeśli naruszy zasady, nigdy nie pozwoli mu zostać dowódcą. Byłby zbyt niebezpieczny. Nie będzie już musiał grać w tę grę. A to oznacza zwycięstwo.

Szeptem wydał polecenia. Dowódcy przejęli swoje części floty i uformowali szeroki pocisk, cylinder wymierzony w najbliższą formację wroga. Nieprzyjaciół nie próbował go odepchnąć, wręcz przeciwnie – zapraszał niemal do środka, by okrążyć ze wszystkich stron i dopiero wtedy zniszczyć. Mazer uwzględnił przynajmniej to, że do tej pory nauczali się już ostrożności, pomyślał Ender. A to dawało mu trochę czasu.

Zaatakował w dół, na północ, na wschód i znowu na dół, na pozór bez żadnego planu, lecz cały czas zbliżając się do planety wroga. Wreszcie przeciwnik zbyt ciasno zacisnął pętlę i wtedy nagle formacja Endera rozpadła się. Flota rozplynęła się chaotycznie, osiemdziesiąt myśliwców latało bez żadnego planu i strzelało we wszystkie strony, kreśląc swe indywidualne, beznadziejnie złożone krzywe między jednostkami robali.



Krzysztof Gawronkiewicz

Po kilku minutach walki Ender znów szepnął do mikrofonu i tuzin ocalałych myśliwców raz jeszcze uformował szyk. Teraz jednak znajdowały się za plecami jednego z najpotężniejszych ugrupowań przeciwnika. Ponosząc potworne straty przebiły się i pokonały ponad połowę odległości do planety.

Ender pomyślał, że nieprzyjaciół już zrozumiał. Mazer na pewno dostrzegł co zamierza zrobić. A może Mazer nie wie, że się do tego posunie? No cóż, tym lepiej dla Endera.

Mała flotylla Endera zmieniała kursy, wysyłała na boki po dwa-trzy myśliwce, jakby do ataku, by zaraz ściągnąć je z powrotem. Nieprzyjaciół zbliżał się, przesuwając pojedyncze statki i formacje, dotąd rozrzucone wokół planety. Koncentrował siły przed ostatecznym uderzeniem. Najwięcej jednostek znalazło się za plecami Endera, by uniemożliwić mu ucieczkę w otwartą przestrzeń, zamknąć wewnątrz pierścienia. Znakomicie, myślał Ender. Bliżej. Niech podejść bliżej.

Wydał rozkaz i jego statki runęły jak kamienie ku powierzchni planety. Były to myśliwce, absolutnie niezdolne do wytrzymania termicznej fali przejścia przez atmosferę. Ender jednak nie planował dotarcia do atmosfery. Niemal w tej samej chwili, gdy rzuciły się w dół, zaczęły ogniskować swych Małych Doktorów na jednym tylko celu – samej planecie.

Jeden, dwa, cztery, siedem jego myśliwców eksplodowało. Teraz wszystko zależało od szczęścia – czy choć jeden dotrze tak daleko, by cel znalazł się w promieniu rażenia. To nie potrwa długo, gdy już zdołają się zogniskować na powierzchni planety. Tylko chwila z doktorem Systemem – więcej mu nie było trzeba. Ender pomyślał, że może komputer zwyczajnie nie potrafi pokazać, co się stanie z planetą po trafieniu przez

Małego Doktora. Co wtedy zrobi? Krzyknie pif paf, jesteś zabity?

Odsunął dłonie od przyrządów i pochylił się, by obserwować rozwój wydarzeń. Jego punkt widzenia znajdował się tuż nad planetą przeciwnika, na statku mknącym w głąb studni grawitacyjnej. Cel musiał już być w zasięgu. Musiał być w zasięgu, tylko komputer nie potrafił sobie poradzić.

Wtedy właśnie powierzchnia planety, zajmująca połowę pola symulatora, zaczęła się wydymać; eksplozja cisnęła odłamki w kierunku jego myśliwców. Ender usiłował sobie wyobrazić, co dzieje się we wnętrzu, gdy pole rośnie i rozszerza się, pękają wiązania molekularne, a pojedyncze atomy nie znajdują miejsca na ucieczkę.

W ciągu trzech sekund cała planeta rozpadła się, zmieniając w kulę jasnego pyłu, mknącego na zewnątrz. Myśliwce Endera zginęły jako pierwsze; ich monitory zgasły nagle i symulator pokazywał tylko pole walki z punktu widzenia okrętów oczekujących z dala od bitwy. Ender nie żałował, że nie może obserwować tego wszystkiego z bliska. Sfera eksplozji rosła szybciej, niż potrafiły uciekać statki wroga. I niosła z sobą Małego Doktora, teraz już wcale nie małego – pole niszczące wszystko na swej drodze, zmieniające okręty w jasne punkty światła i pędzące dalej.

Dopiero na samej krawędzi ekranu symulatora pole DM zaczęło słabnąć. Dwa czy trzy nieprzyjacielskie statki dryfowały bezwładnie, ocalały też okręty Endera. Ale tam, gdzie była potężna flota wrogów i chroniona przez nią planeta, nie pozostało nic. Kula pyłu rosła w miarę, jak grawitacja ściągała do środka większość odłamków. Była gorąca i wyraźnie wirowała. Była też o wiele mniejsza niż świat, z którego powstała. Spora część jego masy tworzyła teraz obłok, wciąż dryfujący odśrodkowo.

Ender zdjął słuchawki, w których rozbrzmiewały okrzyki radości jego dowódców eskadr i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że w pokoju panuje równie głośnie wrzawa. Mężczyźni w mundurach ściskali się, śmiali i krzyczeli; inni łkali; kilku uklękło lub położyło się na podłodze i Ender wiedział, że się modlą. Nie rozumiał tego. Nic się nie zgadzało. Powinni się gniewać.

Pułkownik Graff odłączył od pozostałych i podszedł do niego. Łzy spływały mu po policzkach, ale uśmiechał się. Pochylił się, wyciągnął ramiona i – ku zdumieniu Endera – objął go i przycisnął mocno.

– Dzięki ci, Ender, dzięki – szepnął. – Dzięki Bogu za to, że nam ciebie zesłał.

Inni także podeszli, ściskali mu rękę i gratulowali. Usiłował coś z tego zrozumieć. Może jednak zdał ten egzamin? Przecież to była jego wygrana, nie ich. W dodatku nieuczciwa, oszukana; dlaczego zachowywali się tak, jakby zwyciężył honorowo?

Tłum rozstąpił się, by przepuścić Mazera Rackhama. Ten podszedł wprost do Endera i wyciągnął rękę.

– Dokonałeś trudnego wyboru, chłopcze. Wszystko albo nic. Koniec z nimi albo koniec z nami. Ale Bóg świadkiem, że nie było innej drogi. Gratuluję. Pobiliś ich i wszystko się skończyło.

„Skończyło. Pobiliś ich”. Ender nie pojmował.

– Przecież to ciebie pobili.

Śmiech Mazera wypełnił całą salę.

– Ender, nie ze mną walczyłeś. Nie rozegrałeś ani jednej gry, odkąd zostałem twoim nieprzyjacielem.

Ender nie rozumiał żartu. Przecież rozegrał mnóstwo gier i wiele go one kosztowały. Zaczynał się irytować.

Mazer sięgnął ręką do jego ramienia, ale Ender strząsnął jego dłoń. Wtedy Mazer spoważniał.

– Ender – powiedział. – Przez ostatnie kilka miesięcy dowodziłeś naszą flotą. Prowadziłeś Trzecią Inwazję. To nie były gry; bitwy toczyły się naprawdę, a jedynym twoim wrogiem były robale. Wygrywałeś wszystkie starcia, a dzisiaj pokonałeś ich ostatecznie nad ich światem ojczystym, gdzie była królowa, wszystkie królowe ze wszystkich ich kolonii. Wszystkie tam były, a ty je wszystkie zniszczyłeś. Nigdy już nas nie zaatakują. Ty tego dokonałeś. Ty. Naprawdę. To nie gra.

Umysł Endera był zbyt zmęczony, by zaakceptować te fakty. Więc to nie świetlne punkty w przestrzeni, ale prawdziwe statki, z którymi walczył i prawdziwe statki, które niszczył. I prawdziwy świat, który rozpylił w nicość. Przeszedł między ludźmi, ignorując ich wyciągnięte ręce, ich słowa, ich radość. Kiedy dotarł do pokoju, rozebrał się, wsunął do łóżka i zasnął.

★

Ender przebudził się, kiedy potrząsnęli go za ramię. Dopiero po chwili zdołał ich rozpoznać: Graff i Rackham. Odwrócił się do nich plecami.

– Dajcie mi spać.

– Ender, musimy z tobą porozmawiać.

Ender odwrócił się do nich.

– Wyświetlali to wideo na Ziemi przez cały dzień i całą noc, od wczorajszej bitwy.

– Wczorajszej?

Musiał przespać całą dobę.

– Jesteś bohaterem, Ender. Wszyscy widzieli, czego dokonaliście, ty i pozostali. Nie sądzę, by znalazł się jakiś rząd, który nie przyznałby ci swego najwyższego odznaczenia.

– Zabiłem ich wszystkich, prawda? – spytał Ender.

– Kogo wszystkich? – nie zrozumiał Graff. – Robali? O to właśnie chodziło.

Mazer pochylił się nad nim.

– To było celem tej wojny.

– Wszystkie ich królowe. A więc zabiłem też wszystkie ich dzieci, wszystkich.

– Sami o tym zdecydowali, kiedy nas napadli. To nie twoja wina. Tak musiało się stać.

Ender chwycił mundur Mazera i zawisł na nim, ściągając męczyznę w dół tak, że znaleźli się twarzą w twarz.

– Nie chciałem ich wszystkich zabijać. Nikogo nie chciałem zabijać! Nie jestem mordercą! Wy dranie, to nie ja wam byłem potrzebny, tylko Peter. Ale zmusiliście mnie do tego, oszukaliście mnie!

– Oczywiście, że cię oszukaliśmy. Na tym właśnie polegał ten pomysł – oświadczył Graff. – Musieliśmy oszukiwać, inaczej nie byłbyś w stanie dokonać tego, czego dokonałeś. W tym tkwił cały problem. Musieliśmy znaleźć dowódcę, który potrafiłby wczuć się w robali, myśleć jak robale, rozumieć ich i przewidywać ich ruchy. Który potrafiłby zdobyć miłość swoich podwładnych i wspólnie z nimi pracować jak doskonała maszyna, równie doskonała jak robale. Ale ktoś taki nigdy nie byłby zabójcą, którego potrzebowaliśmy. Nie mógłby ruszać do bitwy zdecydowany zwyciężyć za wszelką cenę. Gdybyś wiedział, nie byłbyś do tego zdolny. A gdybyś był osobą, która mogłaby to zrobić nawet wiedząc, nie potrafiłbyś dostatecznie dobrze zrozumieć robali.

– I to musiało być dziecko, Ender – dodał Mazer. – Byłeś szybszy ode mnie. Lepszy ode mnie. Ja byłem już zbyt stary i zbyt ostrożny. Żaden porządny człowiek, który zna wojnę, nie włożyłby w walkę całego serca. Ale ty jej nie znałeś. Do-

pilnowaliśmy tego. Byłeś zuchwały, błyskotliwy i młody. Po to przyszedłeś na świat.

- Mieliśmy pilotów w naszych statkach.
- Tak.
- Kazałem im atakować i ginąć, i nawet o tym nie wiedziałem.
- Oni wiedzieli, Ender. I atakowali mimo to. Rozumieli, o co walczą.
- Nikt mnie nie pytał! Ani razu nie powiedzieliście mi prawdy!
- Miałeś posłużyć jako broń, Ender. Jak miotacz, jak Mały Doktor, działający bezbłędnie bez wiedzy o tym, w co został wymierzony. To my cię wymierziliśmy, Ender. Na nas spoczywa odpowiedzialność. Jeśli popełniliśmy błąd, to my jesteśmy winni.
- Powiecie mi to później – Ender zamknął oczy.
- Mazer Rackham potrząsnął nim mocno.
- Nie zasypiaj, Ender – zawołał. – To bardzo ważne.
- Skończyliście ze mną – odparł Ender. – Teraz dajcie mi spokój.
- Dlatego właśnie przyszliśmy – wyjaśnił Mazer. – Próbuujemy ci to wytłumaczyć. Oni wcale jeszcze z tobą nie skończyli. Powariowali tam, na dole. Chcą zacząć wojnę. Amerykanie twierdzą, że Układ Warszawski zamierza ich napaść, a Rosjanie zarzucają to samo Hegemonowi. Wojna z robalami skończyła się niecałe dwadzieścia cztery godziny temu, a oni znów walczą, jeszcze gorzej niż dawniej. I wszyscy myślą o tobie. Wszyscy chcą ciebie. Jesteś największym przywódcą wojskowym w historii. Pragną, byś poprowadził ich armie. Amerykanie. Hegemon. Wszyscy oprócz Układu Warszawskiego, ale ci woleliby, żebyś zginął.
- Nie mam nic przeciwko temu – stwierdził Ender.
- Musimy cię stąd zabrać. Na Erosie jest pełno rosyjskich marines, a Polemarcha jest Rosjaninem. Lada chwila może się polać krew.
- Ender znów odwrócił się do nich plecami. Tym razem mu nie przeszkadzali. Nie spał jednak. Słuchał.
- Tego się obawiałem, Rackham. Za mocno go przycisnąłeś. Mniej ważne placówki mogły poczekać. Mogłeś mu dać parę dni odpoczynku.
- Ty też zaczynasz, Graff? Próbujesz osądzić, jak mogłem to lepiej rozegrać? Nie wiesz, co by się stało, gdybym nie naciskał. Nikt nie wie. Zrobiłem to tak, jak uznałem za stosowne i udało mi się. To najważniejsze: udało się. Zapamiętaj sobie tę obronę, Graff. Tobie także może się kiedyś przydać.
- Przepraszam.
- Sam widzę, jak to się na nim odbiło. Pułkownik Liki uważa, że trwale urazy są wysoce prawdopodobne, ale ja w to nie wierzę. Jest zbyt silny. Zwycięstwo wiele dla niego znaczyło. I zwyciężył.
- Nie mów mi o sile. Ten dzieciak ma jedenaście lat. Daj mu odpocząć, Rackham. Sytuacja nie jest jeszcze krytyczna. Możemy postawić wartownika przed jego drzwiami.
- Albo postawić wartownika przed innymi drzwiami i udawać, że to jego.
- Wszystko jedno.
- Potem odeszli. Ender zasnął znowu.

Czas mijał, niemal nie dotykając Endera. Muskał go tylko przelotnie. Raz chłopiec przebudził się na kilka minut czując, jak coś uciska mu rękę, napiera na nią tępym, upartym bólem. Dotknął tego palcami; to była igła wbita w żyłę. Próbował ją wyciągnąć, ale była przyklepiona plastrem, a on nie miał siły. Innym razem zbudził się w ciemności, słysząc ciche pomruki i przekleństwa. W uszach dzwoniło mu jeszcze od nagłego hałasu, który przerwał sen. „Zapalcie światło”, po-

wiedział ktoś. Kiedy indziej zdawało mu się, że słyszy obok siebie czyjś cichy szloch.

Może trwało to tylko jeden dzień; może tydzień; sądząc po snach, mogły minąć miesiące. W snach kilkakrotnie przeżył całe swe życie. Znów przechodził przez Napój Olbrzyma i obok dzieci-wilków, przeżywał straszne śmierci i ciągle morderstwa; słyszał głos, szepczący do niego wśród drzew: Musiałeś je zabić, by dotrzeć na Koniec Świata. Próbował odpowiadać: Nie chciałem nikogo zabijać. Nikt mnie nie pytał, czy chcę zabijać. Ale las śmiał się z niego. A kiedy skakał z urwiska na Końcu Świata, lądował czasem nie na chmurze, ale w myśliwcu, niosącym go do punktu obserwacyjnego nad powierzchnią świata robali. Mógł wtedy oglądać, raz za razem, erupcję śmierci w chwili, gdy dr System uruchamiał reakcję we wnętrzu planety. Potem zbliżał się jeszcze, coraz bardziej, aż wreszcie widział, jak wybuchają pojedyncze robale, rozbyskują światłem i na jego oczach zmieniają w kupki pyłu. Widział też królową otoczoną młodymi; tyle że królowa była jego matką, a młode stawały się Valentine i wszystkimi dziećmi, które znał ze Szkoły Bojowej. Jedno z nich miało twarz Bonza i leżało tam krwawiąc z oczu i nosa. Nie masz honoru, mówiło. A sen kończył się zawsze zwierciadłem, powierzchnią stawu lub metalową burtą statku – czymś, co odbijało jego twarz. Z początku widział wtedy twarz Petera, zalaną krwią, ze zwisającym z ust ogonem węża. Dopiero po jakimś czasie zobaczył własną, starą i smutną, o oczach pełnych żalu po miliardach, miliardach zamordowanych. Były to jednak jego własne oczy i cieszył się, że je odzyskał.

Taki był świat, w którym przebywał Ender przez długie, długie lata w ciągu pięciu dni po zakończeniu Wojny Ligi.

Gdy znów się przebudził, leżał w ciemności. Z daleka dobiegały stłumione, głuche odgłosy wybuchów. Nasłuchiwał przez chwilę. Potem usłyszał ciche kroki.

Odwrócił się i błyskawicznie wyciągnął rękę, by złapać tego, kto się do niego skradał. Rzeczywiście, pochwycił czyjeś ubranie i szarpnął je w dół, w stronę kolan, gotów zabić, gdyby zaszła potrzeba.

– To ja, Ender! To ja!

Znał ten głos. Wypłynął z jego pamięci, jakby pochodził sprzed miliona lat.

– Alai.

– Salaam, dupku. Co ty wyprawiasz? Chciałeś mnie zabić?

– Tak. Myślałem, że to ty mnie chcesz zabić.

– Miałem zamiar cię obudzić. Dobrze przynajmniej, że zostało ci trochę instynktu samozachowawczego. Mazer mówi o tobie tak, jakbyś się stawał rośliną.

– Próbowalem. Co to za wybuchy?

– Tutaj trwa wojna. Dla bezpieczeństwa wyciemnili naszą sekcję.

Ender zsunął nogi, by usiąść, ale nie potrafił. Za mocno huczało mu w głowie. Skrzywił się z bólu.

– Nie siadaj, Ender. Wszystko jest w porządku. Wygląda na to, że jeszcze możemy wygrać. Nie wszyscy ludzie Układu Warszawskiego poparli Polemarchę. Wielu przeszło na naszą stronę, kiedy Strategos powiedział, że zachowujesz lojalność wobec MF.

– Spałem.

– Więc kłamał. Ale chyba nie knuleś zdrady przez sen? Paru Rosjan, którzy przyszli do nas, mówiło, że kiedy Polemarcha kazał im znaleźć cię i zabić, to niewiele brakowało, by jego zabili. Cokolwiek myślą o innych, Ender, ciebie kochają. Cały świat oglądał nasze bitwy. Nagrania szły dniem i nocą. Pełny zapis, razem z twoim głosem wydającym rozka-

zy. Pokazali wszystko, bez żadnych cięć. Dobra robota. Karierę w filmie masz jak w banku.

– Nie wydaje mi się – mruknął Ender.

– Żartowałem. Chłopie, możesz to sobie wyobrazić? Wygraliśmy wojnę. Tak strasznie nam zależało, żeby dorosnąć i wziąć w niej udział, a to byliśmy my, przez cały czas. Wiesz, o co mi chodzi, Ender. Jesteśmy dziećmi. A to właśnie my wygraliśmy – Alai roześmiał się. – No, przynajmniej ty. Nie wiedziałem, jak nas wyciągniesz z tego ostatniego układu. Ale udało ci się. Dobry byleś.

Ender zauważył, że Alai używa czasu przeszłego. Był do bry.

– A jaki jestem teraz, Alai?

– Nadal dobry.

– W czym?

– W... we wszystkim. Milion żołnierzy pójdzie za tobą na koniec Wszechświata.

– Nie chcę iść na koniec Wszechświata.

– Więc gdzie chcesz pójść? Oni podążą za tobą.

Chcę wrócić do domu, pomyślał Ender, ale nie wiem, gdzie to jest.

Huk wybuchów ucichł.

– Słuchaj – powiedział Alai.

Nasłuchiwali. Otworzyły się drzwi. Ktoś stanął w progu. Ktoś nieduży.

– Już po wszystkim – oznajmił. To był Groszek. Jakby dla potwierdzenia jego słów zapłonęły światła.

– Cześć, Groszek – powiedział Ender.

– Cześć, Ender.

Za nim weszła Petra i Dink, trzymający ją za rękę. Zbliżyli się do łóżka Endera.

– Patrzcie, nasz bohater się obudził – zawołał Dink.

– Kto wygrał? – spytał Ender.

– My wygraliśmy, Ender – odparł Groszek. – Byłeś przy tym.

– On jeszcze nie zwariował, Groszek, nie do tego stopnia. Chce wiedzieć, kto wygrał teraz – Petra ujęła dłoń Endera. – Na Ziemi uzgodniono zawieszenie broni. Od paru dni trwały negocjacje. Zgodzili się w końcu na przyjęcie Propozycji Locke'a.

– On nic nie wie o Propozycji Locke'a.

– Jest dość skomplikowana, ale oznacza przede wszystkim, że MF będzie istniała nadal, tylko z wyłączeniem Układu Warszawskiego. W związku z tym ich marines wracają do domu. Moim zdaniem Rosja zgodziła się, bo trwa tam rewolta ich słowiańskich helotów. Każdy ma jakieś problemy. Tutaj zginęło jakichś pięciuset ludzi, ale na Ziemi było gorzej.

– Hegemon ustąpił – dodał Dink. – Na dole panuje istne szaleństwo. Nikt się tym nie przejął.

– Dobrze się czujesz? – spytała Petra, muskając palcami jego czoło. – Przestraszyłeś nas. Powiedzieli, że oszalałeś, a my im na to, że chyba sami poszaleli.

– Jestem szalony – odparł Ender. – Ale poza tym chyba wszystko w porządku.

– A kiedy doszedłeś do tego wniosku? – zainteresował się Alai.

– Kiedy mi się zdawało, że chcesz mnie zabić i postanowiłem zabić cię pierwszy. Jestem chyba mordercą aż do szpiku kości, ale wolę być raczej żywy niż martwy.

Śmiejąc się przyznali mu rację. Potem Ender rozplakał się i objął mocno Petrę i Groszka, którzy stali najbliżej.

– Tęskniłem za wami – szepnął. – Tak strasznie chciałem was zobaczyć.

– I zobaczyłeś nas w strasznej formie – odparła Petra. Po całowała go w policzek.

– Zobaczyłem was wspaniałych. Tych, których najbardziej potrzebowałem, zużyłem najszybciej. Marnie to zaplanowałem.

– U nas już w porządku – oświadczył Dink. – Nie stało się nic takiego, czego nie wyleczyłoby pięć dni siedzenia pod miotłą w wyciemnionych pokojach, w samym środku wojny.

– Nie muszę już być waszym dowódcą, prawda? – spytał Ender. – Nie chciałbym więcej nikim dowodzić.

– Nie musisz nikim dowodzić – odparł Dink. – Ale zawsze będziesz naszym dowódcą.

Przez chwilę milczeli wszyscy.

– Co teraz będziemy robić? – odezwał się Alai. – Wojna z robalami skończona, tak samo jak wojna na Ziemi, a nawet tutaj. Co zrobimy?

– Jesteśmy dziećmi – stwierdziła Petra. – Pewnie każą nam iść do szkoły. Takie jest prawo. Musisz chodzić do szkoły, dopóki nie skończysz siedemnastu lat.

Wtedy wybuchnęli śmiechem. Śmiali się tak długo, że łzy płynęły im po policzkach.

Rozdział 15

Mówca Umarłych

Jezioro trwało nieruchomo w bezwietrznej pogodzie. Dwaj mężczyźni siedzieli na krzesłach ustawionych na pływającym pomoście. Niewielka, drewniana tratwa unosiła się na wodzie. Graff wsunął stopę w pętlę liny i przyciągał ją do siebie, potem pozwalał jej odpłynąć, by przyciągnąć znowu.

– Stracił pan na wadze.

• – Jeden stres jej dodaje, inny odejmuje. Jestem we władzy chemii.

– To musiało być trudne.

– Niespecjalnie – Graff wzruszył ramionami. – Wiedziałem, że mnie uniewinnią.

– Niektórzy z nas nie byli o tym przekonani. Zdawało się, że ludzie powariowali. Brutalne traktowanie dzieci, zaniedbanie obowiązków, prowadzące do zabójstwa... te filmy z Bonzem i Stilsonem były dość ponure. Trudno patrzeć, jak jedno dziecko robi coś takiego drugiemu.

– Moim zdaniem właśnie te filmy mnie uratowały. Oskarżenie mocno je pocięło, ale my pokazaliśmy całość. Było jasne, że to nie Ender sprowokował zajście. Potem sprawa szła o domysły. Powiedziałem, że zrobiłem to, co uznałem za konieczne dla ocalenia ludzkiej rasy i udało mi się. Przekonaliśmy sędziów, że oskarżenie musi udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że Ender wygrałby wojnę bez naszego szkolenia. Potem wszystko było już proste. Potrzeby wojny.

– W każdym razie, Graff, przyjęliśmy to z wielką ulgą. Owszem, klóciliśmy się i wiem, że oskarżenie wykorzystano przeciwko panu nagraniu naszych rozmów. Wtedy jednak wiedziałem już, że miał pan rację i chciałem zeznawać na pańską korzyść.

– Wiem, Anderson. Adwokat mi powiedział.

– I co pan teraz robi?

– Nie wiem. Na razie ciągle odpoczywam. Mam parę lat załegłego urlopu. Wystarczy, żeby dociągnąć do emerytury. Mam też odłożone w bankach mnóstwo pieniędzy z pensji, której nigdy nie wykorzystywałem. Mogłbym żyć z procentów. Może nic nie będę robił.

– Nieźle to brzmi. Ale ja bym nie wytrzymał. Proponowali mi katedry na trzech różnych uniwersytetach, ponieważ teoretycznie jestem wykładowcą. Nie wierzą, kiedy im tłumaczę, że w Szkole Bojowej interesowała mnie wyłącznie gra. Sądzę, że skorzystam z drugiej oferty.

– Komisarz rozgrywek?

– Teraz, kiedy wojna się skończyła, znowu można wrócić do gier. Zresztą, to i tak będą wakacje. Tylko dwadzieścia osiem drużyn w lidze. Chociaż, po tylu latach przyglądania się naszym dzieciakom, football przywodzi na myśl zderzające się ze sobą ślimaki.

Roześmieli się obaj. Graff odepchnął stopą tratwę.

– Co to za tratwa? Przecież nie mógłby pan na niej pływać.

Graff pokręcił głową.

– To Ender ją zbudował.

– No tak. Przecież pan go tutaj przywiózł.

– Nawet przyznali mu tę posiadłość na własność. Dopilnowałem, by został należycie wynagrodzony. Do końca życia nie zabraknie mu pieniędzy.

– Jeśli tylko pozwolą mu wrócić, żeby je wydać.

– Nigdy nie pozwolą.

– Mimo że Demostenes agituje za jego powrotem?

– Demostenes nie występuje już w sieciach.

Anderson uniósł brwi.

– A to dlaczego?

– Demostenes się wycofał. Na stałe.

– Pan coś wie, stary oszuście. Pan wie, kim jest Demostenes.

– Był.

– Więc niech pan powie.

– Nie.

– Przestał pan być zabawny, Graff.

– Nigdy nie byłem.

– Niech pan przynajmniej powie, dlaczego. Wielu z nas uważało, że pewnego dnia Demostenes zostanie Hegemonem.

– Nigdy nie było takiej możliwości. Nie, nawet ten jego tłum politycznych kretynów nie przekona Hegemona, by sprowadził Endera na Ziemię. Jest zbyt niebezpieczny.

– Ma dopiero jedenaście lat. Teraz dwanaście.

– Jest więc tym bardziej niebezpieczny, ponieważ tak łatwo nim kierować. Cały świat liczy się z imieniem Endera. To boskie dziecko, cudotwórca, trzymający w dłoniach życie i śmierć. Każdy drobny tyran pragnąłby postawić chłopaka na czele armii i patrzeć, jak wszyscy inni przyłączają się do niego albo trzęsą ze strachu. Gdyby Ender wrócił na Ziemię, chciałby zamieszkać tutaj, odpoczywać, ocalić, ile się da ze swego dzieciństwa. Ale nie pozwolą mu odpocząć.

– Rozumiem. I ktoś wytłumaczył to Demostenesowi?

– Demostenes wytłumaczył to komuś innemu. Komuś, kto potrafiłby wykorzystać Endera jak nikt inny, by rządzić światem i sprawić, że świat byłby z tego zadowolony.

– Kto?

– Locke.

– Locke przekonywał, że Ender powinien zostać na Erosie.

– Nie wszystko jest takie, jakim się wydaje.

– To dla mnie za skomplikowane, Graff. Daj mi grę. Proste, jasne reguły. Sędziów. Początek i koniec. Zwycięzców i przegranych, a potem wszyscy wracają do domu, do żon.

– Załatwi mi pan czasem bilety na mecz?

– Nie zostanie pan tutaj i nie wycofa się, prawda?

– Nie.

– Przechodzi pan do Hegemonii?

– Jestem nowym Ministrem Kolonizacji.

– Więc zdecydowali się na to?

– Czekamy tylko na raporty z kolonii robali. Wie pan, te planety czekają, już zagospodarowane, z miastami i przemysłem. Bardzo to wygodne. Cofniemy prawa ograniczające przyrost naturalny...

– Których i tak wszyscy nienawidzą...

– I każdy trzeci, czwarty i piąty wsiądzie na statek, by ruszyć ku światom znanym i nieznanym.

– I ludzie wyruszą?

– Ludzie zawsze wyruszają. Zawsze. Wierzą, że potrafią urządzić życie lepiej niż w domu.

– Do diabła, może naprawdę potrafią.

Z początku Ender wierzył, że zabiorą go na Ziemię, gdy tylko wszystko się uspokoi. Ale wszystko się uspokoiło, póki panował już od roku i stało się jasne, że nie mają zamiaru pozwolić mu na powrót, że jest o wiele bardziej użyteczny jako imię i legenda niż niewygodna osoba z krwi i kości.

W dodatku przed sądem wojskowym trwało postępowanie w sprawie przestępstw pułkownika Graffa. Admirał Chamrajnagar starał się nie dopuszczać Endera do sprawozdań, ale nie udało mu się. Enderowi także nadano stopień admirała i choć zwykle tego unikał, tym razem wykorzystał przysługujące mu przywileje. Dlatego mógł oglądać wideo z walk ze Stilsonem i Bonzem, widział fotografie zwłok, słuchał sporów prawników i psychologów, czy popełnił morderstwo, czy raczej zabił w obronie własnej. Miał na ten temat własną opinię, nikt go jednak nie pytał. Przez cały czas trwania procesu atakowano właściwie Endera. Prokurator był zbyt inteligentny, by oskarżać wprost, ale próbował przedstawić go jako chorego, perwersyjnego, przestępczego maniaka.

– Nie przejmuj się – poradził mu Mazer Rackham. – Politycy się ciebie boją, ale jeszcze nie potrafią ci zepsuć reputacji. To się nie uda, dopóki za trzydzieści lat nie wezmą się za ciebie historycy.

Ender nie dbał o reputację. Oglądał zapisy obojętnie, choć z lekkim rozbawieniem. Zabił w walce dziesięć miliardów robali, którzy byli równie inteligentni i wcale nie gorsi niż ludzie, którzy nawet nie próbowali atakować ludzi po raz trzeci, a nikt nawet nie pomyślał, by nazwać to przestępstwem.

Wszystkie te zbrodnie obciążały jego sumienie; śmierć Stilsona i Bonza nie bardziej, ale i nie mniej niż pozostałe.

Z tym ciężarem czekał długie, puste miesiące, by świat, który ocalił, uznał, że może wrócić do domu.

Przyjaciele opuszczali go z żalem. Jeden po drugim wracali do swych rodzin, do domów, gdzie witano ich jak bohaterów. Ender oglądał nagrania ich powrotów i był wzruszony słysząc, jak chwala Endera Wiggina, który nauczył ich wszystkiego i poprowadził do zwycięstwa. Gdy jednak apelowali, by sprowadzić go na Ziemię, cenzura wycinała te zdania i nikt nie słyszał ich prośb.

Przez długi czas na Erosie nie było nic do roboty, poza uprzątnięciem pozostałości po krwawej Wojnie Ligi i odbieraniem raportów od statków, kiedyś okrętów bojowych, badających kolonie robali.

Teraz jednak wrzała tu praca i zebrało się więcej ludzi niż kiedykolwiek w czasie wojny. Koloniści przybywali, by szykować się do podróży na opustoszałe planety. Ender pomagał, gdy tylko mu pozwalali; trudno im było pojąć, że dwunastoletni chłopiec może być równie utalentowany w sprawach pokoju, co wojny. Ale cierpliwie znosił ich skłonność do ignorowania go; nauczył się przekazywać swoje sugestie poprzez kilku dorosłych, którzy go słuchali i powtarzali jego pomysły jako własne. Nie zależało mu na uznaniu, ale na wykonaniu pracy.

Jednego tylko nie potrafił znieść: uwielbienia, jakie okazali mu koloniści. Zaczął unikać zamieszkiwanych przez



nich tuneli, ponieważ zawsze rozpoznawali go – świat zapamiętał dobrze jego twarz – a potem krzyczeli, klaskali, ściskali go i gratulowali, pokazywali dzieci nazwane jego imieniem i mówili, że jego młodość łamie im serca, że nie winią go za te morderstwa, bo przecież to nie jego wina, jest tylko dzieckiem...

Krył się przed nimi najlepiej jak potrafił.

Jednak był wśród kolonistów ktoś, przed kim nie mógł się schować.

Tego dnia przebywał poza Erosem. Poleciał promem na nowy SMG, gdzie uczył się wykonywania prac pokładowych na statkach. Chamrajnagar mówił, że praca fizyczna nie przystoi oficerowi, lecz Ender odpowiadał, że ponieważ nie ma już popytu na jego dotychczasowe umiejętności, pora, by poznał coś nowego.

Wezwali go przez komunikator skafandra; ktoś chciał się z nim zobaczyć, gdy tylko wróci. Enderowi nie przychodził na myśl nikt, kogo chciałby widzieć, więc nie spieszył się zbyt. Dokończył montaż osłony ansibla statku, potem przeciągnął się hakiem ponad burtą i wpłynął do służby.

Czekała na niego przed drzwiami szatni. Zirytował się, że pozwolili koloniście niepokoić go nawet tutaj, gdzie chciał być sam. Kiedy jednak przyjrzał się uważniej, dostrzegł, że znałby tę młodą kobietę, gdyby była małą dziewczynką.

– Valentine – powiedział.
– Cześć, Ender.
– Co ty tu robisz?
– Demostenes się wycofał. Teraz wyruszam z pierwszą kolonią.

– To podróż na pięćdziesiąt lat.
– Na pokładzie statku tylko dwa.
– Ale gdybyś kiedyś wróciła, każdy, kogo znałaś na Ziemi zdąży umrzeć...

– O to właśnie mi chodzi. Miałam jednak nadzieję, że polecisz ze mną ktoś z Erosa.

– Nie chcę lecieć na planetę, którą ukradliśmy robalom. Chcę tylko wrócić do domu.

– Nigdy nie wrócisz na Ziemię, Ender. Zadbaliśmy o to przed startem.

Patrzył na nią w milczeniu.

– Zaraz ci o tym opowiem. Gdybyś miał ochotę mnie znienawidzić, możesz zacząć natychmiast.

Poszli razem do małej kabiny Endera w SMG i tam wyjaśniła mu wszystko. Peter chciał jego powrotu, pod ochroną Rady Hegemonu.

– W obecnej sytuacji znalazłbyś się praktycznie pod kontrolą Petera, ponieważ połowa Rady robi to, czego on chce. Tych, którzy nie jedzą Locke'owi z ręki, trzyma w garści innymi sposobami.

– Czy wiesz, kim jest naprawdę?

– Tak. Nie jest powszechnie znany, ale ludzie na wysokich stanowiskach wiedzą. Ma zbyt duże wpływy, by przejmowali się jego wiekiem. Dokonał niewiarygodnych rzeczy.

– Zauważyłem, że układ pokojowy sprzed roku nazwano jego imieniem.

– To był punkt zwrotny jego kariery. Wysunął tę propozycję za pośrednictwem przyjaciół z sieci publicznych, a potem Demostenes także ją poparł. Na taki moment czekał – żeby dla jakiegoś dużego przedsięwzięcia wykorzystać wpływ Demostenesa na motłoch i Locke'a wśród inteligencji. Jego akcja powstrzymała naprawdę paskudną wojnę, która mogła potrwać całe dziesięciolecie.

– Postanowił zostać politykiem?

– Chyba tak. Ale w chwili szczerości powiedział mi cynicznie, że gdyby pozwolił Lidze rozpaść się zupełnie, musiałby zdobywać świat po kawałku. Dopóki trwa Hegemonia, może to zrobić za jednym zamachem.

Ender pokiwał głową.

– Tak, to podobne do Petera.

– Zabawne, prawda? Peter ocalił miliony istnień.

– A ja zabiłem miliardy.

– Nie to chciałam powiedzieć.

– Więc miał zamiar mnie wykorzystać?

– Zaplanował wszystko dokładnie. Zaraz po twoim powrocie chciał odkryć swoją tożsamość i powitać cię przed kamerami. Starszy brat Endera Wiggina, a przy tym wielki Locke, architekt pokoju. Obok ciebie wydałby się prawie dorosły. A jesteście teraz podobni do siebie bardziej niż kiedykolwiek. Potem bez większych problemów przejąłby władzę.

– Dlaczego go powstrzymałaś?

– Ender, nie byłbyś szczęśliwy, spędzając resztę życia w roli marionetki Petera.

– Dlaczego? Cały czas byłem czyjąś marionetką.

– Ja też. Pokazałam Peterowi wszystkie materiały, jakie udało mi się zebrać – dość, by przekonać ludzi, że jest psychopatycznym mordercą. Miałam kolorowe zdjęcia torturowanych wiewiórek i filmy z czujnika o tym, jak cię traktował. Sporo pracy kosztowało mnie skompletowanie tego wszystkiego, ale kiedy to zobaczył, bez sprzeciwu dał mi, co chciałam. A chciałam wolności dla ciebie i dla mnie.

– Moim zdaniem wolność nie polega na mieszkaniu w domu ludzi, których zabiłem.

– Ender, co się stało, to się nie odstanie. Ich planety są teraz puste, a nasza przepelniona. I możemy ze sobą zabrać to, czego ich światy nigdy nie znały: miasta pełne ludzi, którzy przeżywają swoje osobiste, indywidualne życie, którzy kochają się i nienawidzą. Na wszystkich światach robali można było opowiedzieć tylko jedną historię; kiedy my tam dotrzemy, będzie mnóstwo historii i każdego dnia będziemy wymyślać ich zakończenia. Ziemia należy do Petera, Ender. I jeśli nie polecisz ze mną, ściągnie cię tam i wykorzysta tak, że pożałujesz, że się urodziłeś. Masz teraz jedyną szansę, by się mu wymknąć.

Ender nie odpowiedział.

– Wiem, o czym myślisz, Ender. Że próbuję cię kontrolować tak samo, jak Peter, Graff i wszyscy inni.

– Owszem, przyszło mi to do głowy.

– Witaj wśród ludzi. Nikt nie steruje własnym życiem, Ender. Najlepsze, co można zrobić, to pozwolić sobą kierować tym, którzy są dobrzy, którzy cię kochają. Nie przyłączałam tu dlatego, że chcę zostać kolonistą. Przyłączałam, bo spędziłam całe życie w towarzystwie brata, którego nienawidzę. Teraz chcę poznać brata, którego kocham, zanim będzie za późno, zanim przestaniemy być dziećmi.

– Już jest na to za późno.

– Nie masz racji, Ender. Wydaje ci się, że jesteś dorosły, zmęczony i rozgoryczony tym wszystkim, ale w głębi serca jesteś dzieckiem. Tak samo, jak ja. Możemy zachować to w tajemnicy przed wszystkimi. Kiedy ty będziesz zarządzał kolonią, a ja będę pisać filozoficzne traktaty o polityce, nikt się nie domysli, że pod osłoną nocy przemykamy się do swoich pokoi, żeby grać w warcaby albo tłuc się poduszkami.

Ender roześmiał się, ale nie usłyszy jego uwagi pewne słowa, wypowiedziane tonem zbyt obojętnym, by mogły być przypadkowe.

– Zarządzał?

– Jestem Demostenesem, Ender. Odeszłam z hukiem. Było publiczne oświadczenie, że tak bardzo wierzę w ideę kolonizacji, że postanowiłam sama odlecieć pierwszym statkiem. Równocześnie Minister Kolonizacji, były pułkownik nazwiskiem Graff, poinformował, że pilotem tego statku będzie sam wielki Mazer Rackham, a zarządcą kolonii Ender Wiggin.

– Mogli mnie zapytać.
– Chciałam to zrobić sama.
– Ale informacja została już ogłoszona.
– Nie. Ogłoszą ją jutro, jeśli się zgodzisz. Mazer wyraził zgodę kilka godzin temu, na Erosie.
– I mówisz wszystkim, że jesteś Demostenesem? Czternaścieletnia dziewczynka?

– Poinformowano tylko, że Demostenes wyrusza z kolonistami. Przez następne pięćdziesiąt lat mogą studiować listę pasażerów i zastanawiać się, który z nich jest tym wielkim demagogiem Ery Locke'a.

Ender ze śmiechem pokręcił głową.

– To cię naprawdę bawi, Val.
– A dlaczego nie?
– No dobrze. Polecę. Może nawet jako zarządcą, jeśli ty i Mazer mi pomożecie. Moje zdolności są tutaj trochę za mało wykorzystywane.

Pisnęła z radości i rzuciła się mu na szyję, dokładnie tak, jak zwykła nastolatka, która dostała od młodszego brata wymarzony prezent.

– Val – powiedział z powagą Ender. – Chcę, żebyś zrozumiała jedno: nie lecę dla ciebie. Ani po to, żeby rządzić kolonią albo dlatego, że się tu nudzę. Lecę, ponieważ znam robale lepiej niż ktokolwiek z żywych i jeśli tam dotrę, może zrozumieć ich jeszcze lepiej. Odebrałem im przyszłość; mogę im to wynagrodzić jedynie próbując nauczyć się jak najwięcej z ich przeszłości.

★

Podróż trwała długo. Nim dobiegła końca, Val skończyła pierwszy tom swojej historii wojen z robalami i jako Demostenes przekazała go ansiblen na Ziemię. Ender zaś zdobył coś więcej, niż tylko pochlebstwa współpasażerów. Zdążyli go poznać i darzyli go szacunkiem i miłością.

Dobrze sobie radził w nowym świecie, rządząc raczej z pomocą perswazji niż dekrety. Jak pozostali, ciężko pracował. Najważniejszym jednak jego zadaniem bez wątpienia było badanie pozostałości po robalach. Szukał wśród budowli, maszyn i dawno nie uprawianych pól tego, co ludzie mogliby wykorzystać. Nie było żadnych ksiąg – robale nigdy ich nie potrzebowały. Wszystko przechowywały w pamięci, wszystko mówiły tylko myśląc. Ich wiedza umarła wraz z nimi.

A jednak... solidne dachy nad ich pomieszczeniami dla zwierząt i magazynami żywności powiedziały Enderowi, że zima na tej planecie będzie ciężka i śnieżna. Płoty z zaostrzonych pali pochylonych na zewnątrz świadczyły o obecności zwierząt zagrażających stadom i plonom. Z istnienia młyna wynioskował, że podłużne owoce o paskudnym smaku, rosnące w zapuszczonych sadach, suszono i mielono na mąkę. A szelki, w których kiedyś dorośli nosili młode na pola, przekonały go, że choć robale nie dbały o indywidualność, to jednak kochały swoje dzieci.

Lata mijały i życie ustabilizowało się. Koloniści mieszkali w drewnianych domach, a tunele robali wykorzystywali na

magazyny i warsztaty. Teraz rządziła tu rada, administratorów wybierano, więc Ender – choć nadal nazywano go zarządcą – był właściwie tylko sędzią. Zdarzały się przestępstwa i spory, obok uprzejmości i współpracy; byli ludzie, którzy się kochali, i tacy, którzy nienawidzili; to był świat człowieka. Nikt już nie czekał niecierpliwie na kolejną transmisję ansibla; sławne na Ziemi imiona tutaj znaczyły niewiele. Znali jedynie Petera Wiggina, Hegemonia Ziemi; otrzymywali tylko wiadomości o pokoju, o dobrobycie, o wielkich statkach opuszczających obrzeża Układu Słonecznego Ziemi, mijających tarczę kometarną i ruszających w podróż, by załudnić światy robali. Wkrótce miały powstać nowe kolonie na ich świecie, świecie Endera; wkrótce mieli pojawić się sąsiedzi. Byli już w połowie drogi, ale nikt się tym nie przejmował. Pomogą nowo przybyłym, kiedy się tu zjawią, ale teraz najważniejsze było, kto się z kim ożeni, kto zachorował, kiedy nadchodzi pora siewu i dlaczego właściwie mam mu płacić, jeśli cielak zdechł trzy tygodnie po tym, jak go kupiłem.

– Stali się ludźmi ziemi – stwierdziła Valentine. – Nikogo nie obchodzi, że właśnie dzisiaj Demostenes wysyła siódmy tom historii. Tutaj nikt go nie przeczyta.

Ender wcisnął klawisz i na ekranie pojawiła się kolejna strona.

– Niezwykle wnikliwe spostrzeżenie, Valentine. Ile jeszcze tomów zostało ci do końca?

– Tylko jeden. Historia Endera Wiggina.
– Jak to zrobisz? Zaczekasz z pisaniem, aż umrę?
– Nie. Będę pisać i przerwę, kiedy dojdę do dni dzisiejszych.

– Mam lepszy pomysł. Doprowadź całość do zwycięstwa w ostatniej bitwie. Skończ w tym miejscu. Nic, co dokonałem później, nie jest warte zapisywania.

– Może – mruknęła Valentine. – A może nie.

★

Ansibl przyniósł wiadomość, że statek nowej kolonii przybędzie już za rok. Prosił, by Ender znalazł im miejsce do osiedlenia, wystarczająco bliskie jego kolonii, by mogli ze sobą handlować, a dostatecznie dalekie, by obie kolonie miały oddzielne rządy. Ender wziął śmigłowiec i ruszył na poszukiwania. Zabrał ze sobą jedno z dzieci, jedenastoletniego chłopca imieniem Abra; miał ledwie trzy lata, kiedy powstawała kolonia i nie pamiętał już innego świata. Odlatywali z Enderem daleko, rozbijali biwak na noc, a rano wyruszali pieszo, by rozejrzeć się w terenie.

Trzeciego dnia Ender doznał nagłego uczucia, że poznaje miejsce, w którym się znaleźli. Rozejrzał się uważnie; w tej okolicy był po raz pierwszy, nigdy jej przedtem nie widział. Zawołał Abre.

– Tutaj, Ender – krzyknął Abra. Stał na szczycie niskiego pagórka o stromych zboczach. – Przyjdź tu!

Ender wspiął się na górę. Spod jego stóp odrywały się bryły miękkiej ziemi. Abra wskazywał palcem w dół.

– Patrz tylko. Trudno uwierzyć – oznajmił.

Pagórek był wydrążony. Głęboką depresję w samym środku częściowo wypełniał niewielki staw, otoczony wybrzuszonymi zboczami, opadającymi niebezpiecznie ku wodzie. Z jednej strony wzgórze przechodziło w dwa niskie grzbiety, tworzące dolinę w kształcie litery V, z drugiej wznosiło się ku białej skale, wyszczerzonej jak czaszka z drzewem wyrastającym z ust.

– Wygląda, jakby zginął tu olbrzym – stwierdził Abra. – A grunt się podniósł i przykrył trupa.

Teraz Ender wiedział, dlaczego wszystko wydało mu się znajome. Zwłoki Olbrzyma. Zbyt wiele razy grał tu jako dziecko, by nie zapamiętać okolicy. Ale to przecież niemożliwe. Komputer Szkoły Bojowej nie mógł znać tego miejsca.

Spojrzał przez lornetkę w kierunku, który pamiętał najlepiej, z nadzieją, ale i lękiem, że zobaczy to, co należało do zestawu.

Huštawki i zjeżdżalnie. Drabinki. Porośnięte zielenią, ale nie można było nie poznać ich kształtów.

– Ktoś musiał to wszystko zbudować – oświadczył Abra. – Popatrz, ta niby czaszka to wcale nie skała. To beton.

– Wiem – odparł Ender. – Zbudowali to dla mnie.

– Co?

– Znam to miejsce, Abra. Robale zbudowały je dla mnie.

– Wtedy, kiedy tu dotarliśmy robale nie żyły już od pięćdziesięciu lat.

– Masz rację, to niemożliwe. Ale wiem, co mówię. Nie powinienem cię ze sobą zabierać, Abra. To może być niebezpieczne. Jeśli znali mnie tak dobrze, żeby to wszystko zbudować, to mogli też zaplanować...

– Wyrównanie z tobą rachunków.

– Za to, że ich zabiłem.

– Więc nie chodź, Ender. Nie rób tego, czego się po tobie spodziewali.

– Jeśli chcą się zemścić, Abra, mnie to nie przeszkadza. Ale to nie jest pewne. Może starali się w ten sposób porozumieć. Zostawić mi wiadomość.

– Nie potrafili czytać ani pisać.

– Może właśnie się uczyli, kiedy zginęli.

– No to na pewno nie będę się tu pętał, kiedy ty gdzieś wyruszasz. Idę z tobą.

– Nie. Jesteś za młody, żeby się narażać...

– Daj spokój. Jesteś Ender Wiggin. Nie będziesz mnie uczył, czego nie mogą robić jedenastoletni chłopcy.

Razem przelecieli śmigłowcem nad placem zabaw, nad lasem, nad studnią na polanie. I dalej – tam, gdzie istotnie było urwisko i jaskinia, i wąska półka w miejscu, gdzie powinien się znajdować Koniec Świata. W dali, dokładnie tam, gdzie w grze fantasy, wznosiła się wieża zamku.

Zostawił Abra w maszynie.

– Nie idź za mną. I leć do domu, jeśli nie wrócę za godzinę.

– Wypchaj się, Ender. Pójdę z tobą.

– Sam się wypchaj, Abra, bo cię wyłożę do błota.

Abra zrozumiał, że mimo żartobliwego tonu Ender mówi poważnie, więc został.

Mury wieży były nierówne, pełne występow i zagłębień, ułatwiających wspinaczkę. Chcieli, żeby się dostał do środka.

Komnata była taka jak zawsze. Ender pamiętał wszystko dokładnie i rozejrzał się szukając węża, ale znalazł tylko dywan z głową węża w rogu. Imitacja, nie duplikat. Jak na rasę, która nie znała sztuki, poradzili sobie doskonale. Musieli ściągać te obrazy z umysłu Endera, znajdując go i poznając najczarniejsze sny poprzez lata świetlne pustki. Ale po co? Żeby sprowadzić go tutaj, to oczywiste. Żeby zostawić mu wiadomość. Ale gdzie ona jest i jak zdoła ją zrozumieć?

Zwierciadło czekało na ścianie. Było płytą zmętniałego metalu, na której wyryto przybliżony kształt ludzkiej sylwetki. Próbowali narysować odbicie, które powinien zobaczyć.

Patrząc w zwierciadło przypominał sobie, jak tłucze je i wyrzywa z muru, a węże wyskakują z kryjówek i kłapią wszędzie, gdzie mogą sięgnąć jadowitymi zębami.

Jak dobrze mnie poznali, pomyślał Ender. Tak dobrze, że wiedzieli, jak często myślał o śmierci, wiedzieli, że się jej nie boi. Wiedzieli, że nawet gdyby się przestraszył, to lęk przed śmiercią nie powstrzyma go przed zdjęciem tego zwierciadła.

Podszedł do płyty metalu, podniósł ją i pociągnął. Nic nie wyskoczyło z odsłoniętej wnęki. Leżała tam biała kula jedwabiu ze sterzącymi tu i ówdzie luźnymi nitkami. Jajo? Nie, raczej poczwarka królowej robali, zapłodniona już przez larwalne samce, gotowa wydać ze swego ciała sto tysięcy robali, w tym kilka królowych. Ender wyobraził sobie podobne do ślimaków samce, przywierające do ścian mrocznego tunelu, i dorosłe osobniki niosące niedojrzałą królową do sali zapłodnień; każdy z samców po kolei wchodził w larwalną królową, dygotał z ekstazy i konał, kurcząc się na podłodze tunelu. Potem nową królową niesiono do starej, wspaniałej istoty okrytej miękkimi, tęczowymi skrzydłami, które dawno już utraciły zdolność lotu, ale wciąż niosły powagę majestatu. Stara królowa pocałunkiem pogrążała młodą w sen delikatną trucizną swych warg, potem owijała ją nićmi ze swego brzucha i nakazywała, by stała się sobą, nowym miastem, światem, początkiem wielu królowych i wielu światów...

Ender zdziwił się skąd to wszystko wie. Jak może to wiedzieć niby wspomnienia własnego umysłu?

I jakby w odpowiedzi zobaczył pierwszą ze swoich bitew z flotą robali. Przedtem widział ją na symulatorze, teraz jednak patrzył z perspektywy królowej kopca, poprzez wiele oczu. Robale uformowały sferę okrętów, a potem z ciemności nadleciały straszliwe myśliwce i w błysku światła Małego Doktora rozpadła się ich flota. Czuł to, co czuła królowa, oglądając oczami robotnic śmierć, która nadchodziła zbyt szybko, by jej uniknąć, lecz nie dość szybko, by jej nie oczekiwać. We wspomnieniach nie było jednak lęku ani bólu. Królowa odczuwała smutek i rezygnację. Nie myślała słowami, gdy patrzyła na ludzi, którzy przybyli zabijać, ale w słowach usłyszał ją Ender. Nie wybaczyli nam, myślała. A więc musimy zginąć.

– Jak możesz ożyć? – spytał Ender.

Królowa w jedwabnym kokonie nie znała słów, by mu odpowiedzieć; kiedy jednak zamknął oczy i zaczął sobie przypominać, zamiast wspomnień napłynęły obrazy. Układanie kokonu w chłodnym, ciemnym miejscu, ale z wodą, by nie wysechł. Nie, to nie była zwykła woda, ale woda zmieszana z soki pewnego drzewa i utrzymywana w odpowiedniej temperaturze, by wewnątrz kokonu mogły zachodzić odpowiednie reakcje. Potem czas. Dni i tygodnie, potrzebne do przemiany poczwarki. A potem, kiedy kokon stał się szarobrązowy, Ender zobaczył siebie, jak rozcina go i pomaga małej, delikatnej królowej wyjść na świat. Widział, jak bierze ją za przednie odnóża i odprowadza od wody porodowej do gniazda, miękkiego, wysłanego piaskiem i suchymi liśćmi. *Wtedy będę żyła, nadbiegła myśl. Wtedy się przebudzę. Wtedy wydam dziesięć tysięcy swych dzieci.*

– Nie – rzekł Ender. – Nie mogę.

Ból.

– Twoje dzieci to potwory z naszych snów. Jeśli cię rozбудzę, zabijemy was znowu.

Dziesiątki obrazów błysnęły w jego myślach – obrazów ludzkich istot zabijanych przez robale. Wraz z nimi jednak napłynął żal tak silny, że nie mógł go znieść i zapłakał.

– Gdybyś zdołała sprawić, że czuliby to, co ja teraz czuję, może potrafiliby ci wybaczyć.

Tylko on, pojął nagle. Odnaleźli go przez ansibla, podążyli wzdłuż promienia i zamieszkali w jego mózgu. Wśród agonii jego snów pełnych cierpienia poznali go, choć poświęcał dni, by ich niszczyć. Znaleźli jego lęk przed nimi, a także to, że nie wie, że ich zabija. W ciągu kilku tygodni, jakie im pozostały, stworzyli dla niego to miejsce, ciało Olbrzyma, plac zabaw i półkę na Końcu Świata, by dotarł tutaj kierując się świadectwem własnych oczu. Jest jedynym, którego znają. Dlatego mogą z nim mówić. I przez niego.

Jesteśmy jak ty, pojawiła się w jego mózgu obca myśl. Nie chcieliśmy mordować, a kiedy to zrozumieliśmy, nie przyłapywaliśmy więcej. Póki was nie spotkaliśmy, uważaliśmy się za jedyne myślące istoty we Wszechświecie. Jak mogliśmy uwierzyć, że świadomość pojawi się u samotnych zwierząt, które nie potrafią śnić wzajemnie swoich snów? Skąd mieliśmy wiedzieć? Moglibyśmy żyć w pokoju. Uwierz nam, uwierz nam, uwierz nam.

Sięgnął do wnętrza i wyjął kokon, zdumiewająco lekki jak na całą nadzieję i przyszłość wspaniałej rasy, którą skrywał we wnętrzu.

– Zabiorę cię – oświadczył. – Będę podróżował od świata do świata, póki nie znajdę czasu i miejsca, gdzie będziesz mogła przebudzić się bezpiecznie. I opowiem twoją historię memu ludowi, a może kiedyś oni także ci przebaczą. Tak, jak ty mnie przebaczyłaś.

Zawinął kokon królowej w kurtkę i wyniósł ją z wieży.

– Co tam znalazłeś? – zapytał Abra.

– Odpowiedź – odparł Ender.

– Na co?

– Na moje pytanie.

Więcej nie powiedział o tej sprawie ani słowa. Szukali jeszcze pięć dni, aż wybrali dla nowej kolonii odpowiedni teren, daleko na południe i wschód od wieży.

Po wielu tygodniach przyszedł do Valentine i poprosił, by przeczytała coś, co napisał. Wywołała z komputera statku plik, który jej wskazał i zaczęła czytać.

Tekst był napisany tak, jakby był opowieścią królowej kopca, relacjonującej wszystko, czego chcieli dokonać i to, czego dokonali. Oto nasze błędy i nasza wielkość; nie mieliśmy zamiaru was krzywdzić i wybaczymy wam naszą śmierć. Czas od początków świadomości do wielkich wojen, jakie przetoczyły się przez ojczysty świat robali, Ender streścił krótko, jak gdyby była to pamięć o czasach starożytnych. Kiedy doszedł do historii wielkiej matki, królowej, która pierwsza postanowiła zatrzymać i uczyć nową królową, zamiast zabijać ją lub wypędzać, zwolnił tempo narracji mówiąc, ile razy musiała w końcu zniszczyć dziecię swego ciała, nową jaźń, która nie była nią samą, nim wreszcie urodziła tę, która rozumiała jej pragnienie harmonii. Były czymś nowym w swoim świecie: dwie królowe, które kochały się i pomagały sobie zamiast walczyć. Razem stały się silniejsze niż jakikolwiek inny kopiec. Rozwijały się; miały córki, które przyłączyły się do nich w pokoju. Tak zaczęła się mądrość.

Gdybyśmy tylko potrafili się porozumieć, mówiła królowa kopca słowami Endera. Ale skoro nie było to możliwe, prosimy tylko o jedno: byście nas pamiętały nie jako wrogów, ale jako siostry, zmienione w potwory przez tragiczny Los, Boga czy Ewolucję. Gdybyśmy mogły się pocałować, ten cud sprawiłby, że stałybyśmy się ludźmi w waszych oczach. Ale zabijałyśmy się. Mimo to witamy was teraz jak gości i przyjaciół. Wejdźcie w nasz dom, córki Ziemi; żyjcie w naszych tunelach, zbierajcie plony z naszych pól. Bądźcie naszymi dłoń-

mi, robiącymi to, czego same już zrobić nie możemy. Rozkwitajcie drzewa, dojrzewajcie pola, grzejcie je słońca i bądźcie żyzne, planety. To nasze przybrane córki przybyły do domu.

Książka Endera nie była długa, ale zawarł w niej całe dobro i zło, jakie знаła królowa kopca. A podpisał ją nie swoim nazwiskiem, ale tytułem:

MÓWCA UMARŁYCH

Na Ziemi wydano tę książkę bez rozgłosu i bez rozgłosu przechodziła z rąk do rąk, aż w końcu trudno było uwierzyć, że jest ktoś, kto jej nie przeczytał. Większość czytelników uznała ją za interesującą; część nie potrafiła o niej zapomnieć. Zaczęli żyć według jej przesłania, a kiedy umierał ktoś z ich bliskich, wierzący stawał obok grobu, by być Mówcą Umarłych. Mówił to, co powiedziałby zmarły, ale z absolutną szczerością, nie kryjąc wad i nie udając zalet. Ci, którzy przychodzili na takie ceremonie, uznawali je czasem za bolesne i burzące spokój ducha. Wielu jednak uważało swe życie za godne wspomnienia, mimo popełnianych błędów. Chcieli, by – kiedy odejdą – Mówca opowiedział prawdę o nich.

Na Ziemi stało się to jedną spośród wielu religii. Lecz dla tych, co przemierzali bezkresną otchłań przestrzeni, spędzali życie w tunelach królowej kopca i zbierali plony z jej pól, była to religia jedyna. Nie istniała kolonia, która nie miałaby swego Mówcy Umarłych.

Nikt nie wiedział i nie chciał wiedzieć, kto był pierwszym Mówcą. Ender nie zdradził się przed nikim.

Valentine miała dwadzieścia pięć lat, gdy skończyła ostatni tom swej historii wojen z robalami. Dołączyła do niego pełny tekst niewielkiej książeczki Endera, nie informując jednak, kto jest jej autorem.

Poprzez ansibl nadeszła odpowiedź od starego Hegemona, Petera Wiggina. Miał siedemdziesiąt siedem lat i słabe serce.

– Wiem, kto to napisał – oznajmił. – Jeśli mógł mówić o robalach, to z pewnością może też mówić o mnie.

Peter i Ender rozmawiali ze sobą bardzo długo. Peter opowiadał historię swych dni i lat, swych zbrodni i dobrych uczynków. A kiedy umarł, Ender napisał drugi tom, także podpisany przez Mówcę Umarłych. Obie książki razem nazwano Królową Kopca i Hegemonem. Stały się pismem świętym.

– Chodź – powiedział któregoś dnia do Valentine. – Odlemy stąd i żyjmy wiecznie.

– To niemożliwe, Ender – odparła. – Są cuda, których nie potrafi sprawić nawet relatywistyka.

– Musimy odejść. Jestem tu niemal szczęśliwy.

– Więc zostań.

– Zbyt długo żyłem w cierpieniu. Bez niego nie wiedziałbym, kim jestem.

I weszli na statek, by ruszyć od świata do świata. Gdziekolwiek się zatrzymali, on zawsze był Andrew Wigginem, wędrownym mówcą umarłych, a ona zawsze Valentine, podróżującym historykiem, spisującym opowieści żyjących, gdy on opowiadał historie zmarłych. I zawsze Ender niósł z sobą suchy, biały kokon, szukając świata, gdzie królowa kopca mogłaby się przebudzić i rozwijać w pokoju.

I szukał długo.

KONIEC

z polskiej fantastyki



Sławomir Rogowski

Jacek Sobota

Ręka Diabła

Michael Sontag spadał z wysokości dziesięciu tysięcy stóp i bezwiednie próbował obliczyć, kiedy wreszcie osiągnie ziemię. Miał pecha – spadochron nie otworzył się, rączka wyzwalacza pozostała mu w dłoni.

Do rączki przytroczona była karteczka z rysunkiem czarnej, rozczapierzonej dłoni. Firmowy znak terrorystycznych bojówek Ręki Diabła, na wpół mistycznej organizacji anarchistycznej, za którą krył się podobno międzynarodowy ruch Sataniistów. Tak czy inaczej, Michaelowi Sontagowi – nihilście w średnim wieku – było już wszystko jedno. Przyjął wyrok Opatrzności z filozoficznym spokojem.

Trzydzieści metrów pod stopami Sontaga opadał na ziemię jego przyjaciel – ekscentryczny milioner Ian von Paulus. Ten traktował zawsze skoki spadochronowe jak ruską ruletę. Jego spadochron również się nie rozpostarł.

Jedyną rzeczą, jakiej teraz żałował Michael, było pozostawienie ochronnych okularów na pokładzie starego bombowca unoszącego się sto pięćdziesiąt stóp nad jego głową. Samolot nazywał się „Rekin Przestworzy” – skoczkowie i piloci często zastanawiali się nad „toporowskim” poczuciem humoru autora tej nazwy. Niepowstrzymany pęd powietrza wyciskał z oczu Sontaga słone łzy i błyskawicznie je osuszał. A przy okazji zapierał dech w piersiach. Dopiero po chwili wypełnionej zmaganiem z wiatrem Michael przypomniał sobie o drugim z przyjaciół, wciąż pozostającym na pokładzie „Jastrzębia”. Był nim wybitny izraelski pisarz polskiego pochodzenia, Aaron Herzel. Michael usiłował przekrzyczeć wiatr i ostrzec Herzla. Daremnie.

Tymczasem Herzel, który miał właśnie opuścić pokład samolotu, w ostatniej chwili spostrzegł dziwne zachowanie przyjaciół.

– Dlaczego nie wyzwalają czasz? – mruknął pod nosem. Po chwili zrozumiał dlaczego.

Dwieście stóp niżej Michael Sontag pomyślał, że uczestniczy w monstrualnie realistycznym śnie.

Ubranie było sztywne od soli z morskiej wody. Sontag rozejrzał się z niesmakiem. Wszędzie bezmiar wód Atlantyku zlewający się w bezkresną całość z oślepiającym błękitem po-

godnego nieba. Zaklął bezgłośnie acz szpetnie – mogli przeżyć bez wody i jedzenia najwyżej tydzień. Kawałek suchej skały pozostawiony w tym właśnie miejscu przez jakiegoś niepojętego boga nie dawał im szans na nic więcej. Ale trzy tysiące pasażerów transatlantyku „Rekin Oceanu” miało jeszcze mniej szczęścia – wszyscy gryźli morskie dno.

Jak migawki z katastroficznego filmu przebiegły Michaelowi przez pamięć wydarzenia z ostatnich godzin: panika wybuchła po tym, jak megafony ogłosiły żądanie ekstremistów Ręki Diabła. Chrapliwy głos unoszący się nad pokładami powtarzający dwukrotnie, że jeśli w ciągu dwunastu godzin nie zostaną spełnione postulaty terrorystów, statek będzie zatopiony w akcie samobójczym. Nawet nie zdążyli owych postulatów odczytać, bo nieoczekiwanie „Rekinem Oceanu” targnęła ogłuszająca eksplozja. Wszyscy rozbiegli się po pokładzie. Odważni skakali do wody, tchórze i cynicy tłoczyli się przy szalupach ratunkowych. Jedynie nielicznym udało się wydostać z dolnych pokładów, błyskawicznie zalewanych wodą. Michael Sontag – podróżnik i dziennikarz na zasłużonym urlopie – został dwukrotnie znokautowany i raz stratowany, nim dopchał się do żurawia przepelnionej szalupy. Właśnie opuszczano ją na wodę. W pewnym momencie przeciążone sznury puściły i szalupa runęła do oceanu z wysokości trzeciego piętra.

Sontag zderzył się z pierwszym oficerem, którym był młody, przystojny, błękitnooki George Johnson.

– Czy są tu inne łodzie? – krzyknął Sontag.

W tym momencie zobaczył, że pierwszy oficer zatracił gdzieś czysty błękit swojego spojrzenia. Oczy Johnsona zdawały się niezgłębionymi czeluściami ciągnącymi ku sobie jak przepaście bez dna ciągną samobójców. W dodatku oficer uśmiechał się lekko, z nieodpartą ironią i...

– Ależ się wpakowaliśmy – mruknął pod nosem Ian von Paulus z pruskich von Paulusów, wyrывая tym samym Michaela Sontaga z płytkiego zamyślenia. Von Paulus wyglądał śmiesznie, by nie rzec, groteskowo. Jego smoking przypominał zużytą do granic możliwości i przyzwyczajoną prezerwatywę. Porównanie rozśmieszyło Sontaga, więc zaśmiał się zaraźliwym śmiechem, nikogo jednak tym razem nie zarażając.

Wciąż jeszcze śmiał się, kiedy przyszło mu na myśl, że jest to nerwowe odreagowanie stresów ostatnich godzin.

– I z czegoż pan się tak idiotycznie cieszy?! – warknął trzeci i zarazem ostatni z przymusowych rozbitków, zabiedzony Żyd Aaron Herzel. – Jesteśmy zdani wyłącznie na własne towarzystwo na tym skalnym wypustku oceanu sto na pięćdziesiąt metrów! Nie widzę w tej sytuacji nic zabawnego!

W tym samym momencie Michaela nawiedziło dziwaczne skojarzenie, że wysepka, na której się znajdują, jest gigantycznym fallusem wyrosłym z dna morskiego, co wywołało u niego kolejny, dokuczliwy napad śmiechu.

– A tak swoją drogą, miałem dziwaczny sen – von Paulus pieścił każde słowo z dziwaczną estymą, dbał o dobitność i akcentowanie odpowiednich sylab. Sontag ze zdziwieniem skonstatował, że zdążył już znienawidzić von Paulusa za jego wrodzony arystokratyzm. I to również go rozbawiło, bo zachowywał się jak dorobkiewicz i parweniusz z dziedzicznie warunkowaną nienawiścią do klas wyższych.

– Byłem skoczkiem spadochronowym – kontynuował von Paulus. – Mój spadochron nie otworzył się i spadałem na ziemię z rosnącą szybkością.

– Ja skoczyłem tuż po tobie! – przerwał Sontag.

– A ja w ostatniej chwili powstrzymałem się, bo zobaczyłem, że wasze spadochrony są zamknięte! – krzyknął Herzel.

– Samolot nazywał się „Rekin Przetworzy”!!!

– A pilot... Jorge Cabanias!!!

– Nawigatorem był niejaki Simons...

Chwilę przerzucali się szczegółami. Wreszcie zgodnie wybuchnęli śmiechem. Sontag tarzał się po plaży, Herzel stał się purpurowy, zaś von Paulus uśmiechał się półgębkiem, oszczędnie i z wrodzoną ironią.

Kiedy trochę ochłonęli, pierwszy odezwał się Aaron Herzel:

– A jednak trochę to dziwne, że wszyscy trzej mieliśmy podobne sny...

– Rzeczywiście – podchwycił z gracją von Paulus – to dziwne, że JA i pan mieliśmy podobne sny...

Herzel zerwał się na równe nogi, jego ascetyczne oblicze raz jeszcze spurpurowiało, tym razem z wściekłości.

– Pan jesteś antysemitą! – warknął.

– Nic podobnego – spokojnie, lecz stanowczo zaprotestował von Paulus.

– Wie pan... ja urodziłem się w Polsce, w kraju, w którym na każdego Żyda przypada przynajmniej stu antysemitów – mówił szybko, na wydechu, z pasją. – Oni sami tego nie wiedzą, ale są antysemitami. Dopiero określona sytuacja wyzwala zakodowaną w ich genach nienawiść rasową. Wtedy niszczą, tratuja, piszą na murach idiotyczne hasła.

– Pan cierpisz na maniacką psychozę.

– Nie! Zapewniam pana, że nie! Kiedyś, dawno temu, jeszcze jako obywatel Polski, kochałem się z jedną gojką. Kiedy zobaczyła mój obrzezany penis, krzyknęła jakby to był szczer czy pajak. Wskoczyła na stół, wywracając lampkę nocną i wrzeszczała wniebogłosy!

– Przepraszam, że pytam, ale czy nie ma pan przypadkiem czegoś wspólnego z tym słynnym Herzlem?

– Nie. I zapewniam pana, że nie jestem syjonistą!

Sontag słuchał sporu z lekkim rozbawieniem. Znał przyczynę nieporozumienia, ale nie chciał się wtrącać. Uwaga von Paulusa, która sprowokowała kłótnię, wcale nie odnosiła się do narodowości Herzla, lecz do jego statusu społecznego. Całkiem po prostu, bufon i arystokrata, von Paulus dziwił się, jak ktoś podróżujący trzecią klasą może mieć te same sny co i on.

Spór przycichł wraz z zapadnięciem zmroku.

– Chyba się prześpię – mruknął von Paulus.

– Wesółych snów! – rzucił Sontag.

Fale przyływu leniwie obmywały piasek plaży.

Biegli pustymi ulicami miasta, pukając do zamkniętych głucho drzwi, waląc w żelazne okiennice, przeklinając podstawy, na których opierał się ten świat.

Z czarnego nieba sypały się ogromne, białe płatki śniegu. Za

ich plecami dwieście, może trzysta metrów z tyłu, zbierał się tłum. Były to bojówki nacjonalistycznej organizacji Ręka Diabła. Ulica rozwidlała się w dwóch kierunkach, von Paulus opowiadał nosowym głosem za kierunkiem prawym (pozostając przez to w zgodzie ze swoim światopoglądem), Sontag chciał biec w lewo i w końcu tam właśnie skręcili. Byli uczestnikami Międzynarodowego Kongresu Intelktualistów w Warszawie. Wszyscy trzej stanowili wybitne indywidualności w swoich dziedzinach: Herzel – zeszłoroczny laureat Pokojowej Nagrody Nobla za wspomaganie Żydów w diaspory; von Paulus – autorytet w dziedzinie fizyki atomowej; no i Sontag – pisarz angielski o lewicowych odchyleniach. Obrady Kongresu przeciągnęły się tego dnia ponad miarę.

– Luuuudzieeee!!! Na pomooc!!! – krzyczał Herzel dobijając się do drzwi niewielkiej kamieniczki na Starym Mieście.

– Tam! – krzyknął von Paulus bez zwykłego opanowania i wskazał przed siebie wiotkim i długim palcem wskazującym. Wszyscy poszli za jego spojrzeniem. Budka telefoniczna! Podbiegli. Sontag zerwał z rąk grube wełniane rękawice i wykręcił numer policji. Rozespany męski głos powiedział coś po polsku.

– Do you speak English? – spytał Sontag i nie czekając na odpowiedź ryknął do słuchawki: – Heeeeelp!!!

Herzel wyrwał mu słuchawkę i powiedział po polsku:

– Halo? Potrzebujemy pomocy! Jesteśmy ścigani przez oszalały tłum! Ręka Diabła!!!

– Na jakiej ulicy panowie się znajdują? – spytał głos z leniwą rezygnacją.

– Ulica! – krzyknął Herzel do pozostałych intelektualistów.

– Co: ulica? – spytał von Paulus przytupując nogą.

– No, uliicaaaa!!!

Von Paulus i Sontag rozbiegli się, szukając tabliczki z nazwą ulicy, lecz wszystkie pokryte były grubą warstwą śniegu.

– Diabła tam! – warknął Sontag.

– Opodał Starego Miasta! – wrzasnął Herzel w słuchawkę.

– Proszę nie krzyczeć. Nazwiska panów – głos nabral stano- wczności.

– Oni już tu są!!! – pisnął Sontag. I rzeczywiście tłum z transparentami wychylił się zza załomu ulicy. Znow zaczęli biec.

– Policjanci przyjadą po nas? – spytał von Paulus.

– A chcesz na nich tu zaczekać? – odparł Herzel.

– Herzel! Herzel!!! – krzyczał Sontag z trudem łapiąc powietrze. – Jak będzie po polsku: „Nie jestem Żydem”?

Herzel nie odpowiedział.

– I pomyśleć, że jesteśmy w Europie Środkowej! – westchnął von Paulus.

– W kategoriach geograficznych owszem! – warknął Sontag.

Wskoczyli w boczną uliczkę. Zrazu pomyśleli, że niepojętym sposobem przenieśli się w inną strefę klimatyczną. Było jasno jak w dzień, ciepło i nigdzie nie widać było śniegu, a jedynie głębokie kałuże wody. Dopiero po chwili zorientowali się, że zmiana dokonała się za sprawą batalionu ludzi w granatowych mundurach wyposażonych w miotacze ognia.

– Pomocy!!! – ryknął Herzel po polsku. Od umundurowanych oderwała się samotna postać z oficerskimi pagonami.

– Kapitan Szatanowski ze Straży Miejskiej. O co chodzi?

– Ścigają nas! Proszę o pomoc!!!

– Niestety, to niemożliwe! Mamy w stolicy zimę stulecia. Jak panowie widzą, musimy zwalczać jej niepożądane skutki.

– Co powiedziawszy, kapitan Szatanowski dziarsko skierował

JACEK SOBOTA

Urodzony w Olsztynie, absolwent liceum im. A. Mickiewicza w tym mieście, studiuje na II roku nauk społecznych olsztyńskiej WSP. Podobnie jak było w „Splocie” („NF” nr 4/90) i w tym opowiadaniu zajmuje się Sobota tajemniczą grą przypadku, absurdu i przeznaczenia.

(mp)



wylot miotacza w niebo i uruchomił go. Z nieba miast śniegu, począł padać deszcz.

– Do diabła!!! – ryknął Herzel i złapał kapitana za ramię. Ich spojrzenia splotły się. Czarne czeluście oczu Szatanowskiego paraliżowały swoją głębią, wciągały w szaloną grę. Wargi kapitana rozszerzył wąty, ironiczny uśmieszek.

– Już tu są!!! – ryknął Sontag wyrывая Herzla z hipnotycznego transu.

– Precz z Żydłakami!!!

– Polska dla Polaków!!!

– Uciekajmy! – wrzasnął von Paulus i rzucił się do ucieczki.

– Tam są! Uciekają! Brać ich!!!

– Nie sądzicie, że tłum jest jak monstrualne, bezmyślne zwierzę?! – spytał von Paulus.

– Oby spotkał go los dinozaurów! – krzyknął Sontag.

Okazało się, że uliczka jest ślepa. Prosty w swej wymowie fakt wstrząsnął nimi do głębi.

– Ja nie jestem Żydem!!! – wrzasnął Sontag w stronę zbliżającego się tłumy.

– Ja też nie!!! – zawtórował mu von Paulus.

Niestety, Herzel nie mógł o sobie powiedzieć tego samego. I nie powiedział. Czekali.

-Deliryczny sen – westchnął von Paulus przeciągając się.

– Proszę poczekać, niech zgadnę – przerwał mu Sontag. – Śniło się panu, że jest pan w Warszawie na Międzynarodowym

Kongresie Intelktualistów, razem ze mną i Herzlem. Ściągał nas żądny krwi tłum i...

– Wszystko się zgadza! – przerwał Herzel.

Milczenie. Właśnie zaczynało wschodzić słońce.

– Taaak. Trochę to wszystko dziwne. To, że mamy wszyscy te same sny i ich dziwny realizm... Może ta wyspa jest bramą między światami równoległymi albo w niepojęty sposób katalizuje nasze sny... – Sontag urwał, by już po chwili podjąć: – Zastanówmy się spokojnie. Wszyscy mamy takie same sny. Nie może to więc być przypadkiem. W gruncie rzeczy, nawet nie wiem, kiedy zasnąłem. Byłem podniecony i oczy piekły mnie od słonej wody... A poza tym nie cierpię spadochroniarstwa, cierpię na lęk przestrzeni.

– A ja owszem – rozmarzył się Herzel.

– Nie czuć twardej ziemi pod stopami, sięgać wzrokiem poza wszelkie granice, grać na nosie śmierci...

– Taaa... – westchnął Sontag. – I być niezależnym finansowo. Przecież we śnie jesteś pan wybitnym pisarzem.

– No i został pan na pokładzie samolotu, podczas gdy my walczymy bez nadziei ze śmiercią... To mógłby być pański sen – powiedział von Paulus z zadumą.

– A Warszawa?! Ktoś przecież śnił Warszawę!!! – wrzasnął Herzel. Wyglądał w tym momencie jak goniony zając. Odezwało się w nim genetyczne dziedzictwo jego rasy szczutej od tysięcy.

– Właśnie – mruknął oszczędnie von Paulus.

– Właśnie, właśnie... Pański odwieczny kompleks arystokraty wobec nowoczesnej, zdobywającej coraz to nowe obszary świata inteligencji... To był pański sen – Sontag zawiesił głos.

– Przypuśćmy, że rzeczywiście był to mój koszmar – von Paulus nie tracił spokoju. – Ale proszę mi powiedzieć, Sontag, jaka była pańska ulubiona lektura młodzieńcza?

– „Robinson Crusoe”. A dlaczego... – Zrozumiał i zamilkł.

Milczenie. Słońce grzało i ironicznie świeciło, ocean szumiał sztydlerczo. Pierwszy zauważył butelkę Herzel. Zerwał się i wbiegł do oceanu. Powrócił z butelką po polskiej wódce. W środku, miast wódki, była niewielka zwinięta w rulonik kartka. Widniał na niej rysunek czarnej, rozczapierzonej dłoni.

– Ręka Diabła!!! – krzyknął Sontag. – Zawsze i wszędzie Ręka Diabła!!! Ręka Diabła dla każdego!!!

– Niesmaczny żart – mruknął z niesmakiem von Paulus.

„To gra” – myślał Sontag bezskutecznie rozglądając się za jakimś cieniem. „Gra bez reguł i widocznego sensu, a może raczej zabawa... Tak! Przypomina to zabawę niemowlęcia wyrzucającego nieustannie grzechotkę na ziemię. To my jesteśmy ową grzechotką... Chociaż nie, za wiele w tym wszystkim rozmyślniej, istic diabelskiej złośliwości. Sny są odbiciem naszych marzeń, zdeformowanych, groteskowych i przez to ukazujących swą śmieszność. Jak w krzywym zwierciadle”.

Doszli wspólnie do wniosku – co poprzedziła burzliwa, preradzająca się w kłótnie dyskusja – że nie mogą poddawać się snom. Jedynie Sontag zareplikował, że jeżeli wyspa jest jego snem, to i tak nic się nie stanie, jeśli zaśnie. Stało na tym, że von Paulus i Herzel będą się nawzajem pilnować, a Sontag będzie kontrolował ich obu.

Sontag błyskawicznie wykorzystał swoją uprzywilejowaną pozycję i zasnął. Obudził się dokładnie w tym samym momencie, tak samo śpiący. Dopiero wtedy zrozumiał, że nie może przecież zasnąć w swoim własnym śnie i zaśmiał się niepowstrzymanym, szalonym śmiechem człowieka dotkniętego czymś w rodzaju obłądu. Tymczasem von Paulus i Herzel co jakiś czas nacierali się wzajem słoną wodą, policzkowali, szczyпали w najczulsze miejsca, śpiewali sprośne piosenki straszliwie przy tym fałszując. Obaj czynili to nie bez mściwej satysfakcji; Herzel – dotknięty w swym patriotyzmie, von Paulus – zapamiętały w kastowym separatyzmie.

I kiedy tak Sontag śmiał się swoim histerycznym, wznoszącym, to znów opadającym śmiechem, Herzel nieoczekiwanie zerwał się i pobiegł w głąb wysepki.

– Gońmy go!!! – von Paulus zatracił gdzieś swą majestatyczną niewzruszoność. – Jeżeli zaśnie... Przecież on jest bezpieczny w swoim śnie!!! – I pobiegł za Herzlem. Tymczasem Sontag nieustannie zasypiał budząc się zarazem.

Ironicznie i sennie szumiał ocean.

Kiedy von Paulus zauważył leżącego opodal Herzla, było już o wiele, wiele za późno.

Kiedy do ziemi zostało jakieś trzysta stóp, Michael Sontag zakończył obliczenia i zrozumiał, że strawił ostatnie minuty życia na czynności tyleż idiotycznej, co daremnej. I posmutniał jeszcze bardziej, o ile w ogóle było to jeszcze możliwe. Spojrzał z nienawiścią w górę, na krążący po niebie samolot.

– Udało ci się! – warknął, ale jego słowa porwał pęd powietrza.

Jakieś trzydzieści metrów pod stopami Sontaga von Paulus bezskutecznie usiłował zasnąć.

Tymczasem na pokładzie „Rekina Przestworzy” Aaron Herzel odetchnął z widoczną ulgą i otarł zimny pot z wysokiego czoła.

– Udało się – szepnął.

W tym samym momencie drzwi do kabiny pilotów otworzyły się i stanęli w nich pilot i nawigator ze spadochronami na plecach. Silniki „Rekina Przestworzy” zakaszlały i zamilkły.

Pierwszy opuścił pokład samolotu nawigator Simons.

– Co tu się dzieje?! – warknął Herzel łapiąc za ramię pilota Cabaniasa, pocziwca w średnim wieku. Ale pocziwiec przestał być pocziwcem, jego czarne, niezglębione oczy wciągały, pochłaniały, obiecywały... piekło? Pilot uśmiechnął się lekko, ze zjadliwą ironią i wyskoczył.

Herzel wyrzwał za nim. Na tle bezkresnego błękitu majestatycznie wykwitły dwie ogromne czarne spadochrony. Na obu widniały gigantyczne, rozczapierzone, czarne dłonie.

– Już wiem, kto przyłożył do tego wszystkiego rękę – wyszeptał. Jego szept nie zdążył przebrzmieć, kiedy ponad dzieśięć tysięcy stóp niżej von Paulus gwałtownie zderzył się z głazem narzutowym.

Herzlowi pozostały dwie, może trzy minuty czasu na przebudzenie.

Olsztyn, styczeń 1991

Jacek Sobota

**Czy już miałeś okazję przeżyć
fascynujące przygody
w grach wydawanych i rozprowadzanych
przez firmę „SFERA”?
Jeśli nie, to nie zwlekaj,
zamów je listownie lub telefonicznie!**

Gry wysyłamy za zaliczeniem pocztowym. Wszelkie bliższe informacje można uzyskać przesyłając zaadresowaną do siebie kopertę z naklejonym znaczkiem na adres: BPiRF „SFERA”, 02-513 Warszawa, ul. Małalińskiego 21/37, tel. /fax 49-71-21.



Wysokie, letnie słońce schowało się za welonem chmur, płynących od wschodu. Na równinie, urozmaiconej kępami krzewów i wstęgą lasu na horyzoncie, panowała cisza. Suche trawy nadal trwały w bezruchu, nie szeleściły liście drzew. Tylko żar żelzał nieco.

Rzenie koni zburzyło martwość krajobrazu. Po drodze, przebiegającej przez trawiasty płaskowyż, jechało wolno kilku ludzi. Kolysali się sennie w takt końskich kroków. Wszyscy, a było ich sześciu, rozglądali się uważnie nie bacząc na pot, spływający z czoł.

Pierwsza piątka nosiła na sobie lekkie karacenowe zbroje, stanowiące jednak świetne zabezpieczenie przed uderzeniami mieczy i toporów. Jako broń mieli długie, proste miecze i topory osadzone na stalowych rękojeściach. Przy każdym z siodeł wisiał też ostry nadziak i pięknie rzeźbiona, stale naciągająca kusza. Tylko jeździec w białej opończy, podążający z tyłu, nie miał żadnej broni.

Nagle jadący na przodzie zatrzymał konia. Rozejrzał się, zaklął głośno i zwrócił do nadjeżdżających kompanów zmęczoną twarzą.

– Co się stało? – zapytał wysoki rycerz, zbliżywszy się do niego.

– Chyba zgubiliśmy drogę. Jesteś pewien, Revorze, że dobrze jedziemy?

– Nie mam pojęcia.

Do przodu wysunął się rośli mężczyzna o spalonej słońcem twarzy. Przez chwilę stał, zapatrzony w widnokrąg, w końcu westchnął ciężko.

– Jesteś durniem, Revorze. Nie poznaję tej okolicy. To nie ta droga.

– No tak! – zakrzyknął pierwszy z rycerzy. – I co teraz? Będziemy musieli zawrócić. Nie mogłeś powiedzieć tego wcześniej? Tyle mil jazdy w takim upale.

– W dodatku zanoszą się na burzę – uzupełnił Revor. – Erlofie, to Arstat chciał, abyśmy skręcili. Twierdził, że w okolicy musi być inna droga.

– Nie czas na spory. Jedziemy dalej, czy wracamy?

– A co powie nasza piękność? – zapytał Arstat. – Zawsze powtarzam, że kobiety przynoszą nieszczęście.

Ostatni jeździec przybliżył się, odrzucił białą, chroniącą przed słońcem kaptur i ciemne włosy rozsypały się na jego ramionach.



Jaroslav Musial

Nadesłane na konkurs „FANTASTYKA'90”

Jacek Komuda

CZARNA CYTADELA

– Przestańcie – powiedziała dziewczyna. – Klóćcie się od początku podróży. Najpierw o podział łupów, a teraz o wybór właściwej drogi. Po cóż właściwie wyjeżdżaliśmy z Cannavae?

– No tak – westchnął Erlof. – A gdyby twierdza została zdobyta? Daliśmy wprowadzić dobrą nauczkę tym dzikusom z Birvannt, ale Alaryk zamierza ruszyć na wschód. Myślałaś, że pozwolę, abyś została na granicy? I to w tak słabo umocnionym grodzie? Wybij to sobie z głowy! Muszę odwieźć cię do twego ojca.

– A także łupy, które zgarnąłeś na tej wyprawie – Revor odkręcał ze swego naplecznika wysokie skrzydła z orlich piór osadzonych w metalu. – Ciężko mi nosić to żelastwo – dodał – upał coraz większy.

– Więc co robimy? – zapytał ktoś z tyłu.

Na wschodzie pociemniało. Zbliżała się niska, ciemna chmura.

– Niech decyzję podejmie nasz dowódca – zaproponował Revor. Erlof z wściekłością wyciągnął zza pasa buławę.

– Słuchajcie mnie, zgrajo łajdaków – rzucił. – Zbliża się burza, a my nie mamy schronienia. Ta droga prowadzi w stronę lasu. Pojedziemy tam – rozkazał i ruszył z miejsca, a pozostali podążyli za nim. Chwilę jechali szybko, potem zmęczone konie zwolniły. Las zbliżał się powoli; na horyzoncie błysnęło, po czym rozległ się osłabiony odległością grzmot – pierwsze ostrzeżenie. Upał i duchota jeszcze wzrosły, a oni uparcie podążali naprzód. Erlof zbliżył się do dziewczyny.

– Jesteś zmęczona?

Odwróciła doń zagniewaną twarz. Milczała.

– Uspokój się! – wykrzyknął. – Wiesz dobrze, że nie możesz zostać ze mną. Po co tu przyjeżdżałaś? Naraziłaś mnie na kpiny! Dowódca chorągwi narodowego autoramentu nie może wytrzymać miesiąca bez narzeczonej. Jak wyglądam w oczach Alaryka? Co on teraz o mnie pomyśli? – grom zawtórował jego słowom.

Gigantyczna błyskawica przecięła pół nieba. Dziewczyna pisnęła i przywarła do napierśnika mężczyzny. Burza wisiała w powietrzu. Ciężkie, czarne chmury zasnuły widnokrąg, nadal jednak nie czuło się najsłabszego poddmuchu wiatru.

– Hej! – zawołał nagle jadący na przedzie Arstat. – Coś widzę! Spójrzcie w kierunku lasu!

– To zamek – zaczął rycerz zwany Hellegrenem.

– Raczej ruiny – przerwał Arstat. – Ruiny starej fortecy.

Ponaglił zmęczone konie i po kilku chwilach pośród gęstwin zarysowało się wyniosłe wzgórze, zwieńczone szarą, wysmukłą budowlą. Podjechali jeszcze bliżej i dostrzegli zarysy zniszczonych murów, zabudowania straszące czernią pustych okien, a także wysoką, poszczerbioną wieżę. Martwa cisza i spokój panowały nad tym rumowiskiem. Tylko wysoko w górze niebo ciemniało od chmur nadciągającej nawałnicy.

– Ruiny twierdzy – przemówił Thorvald. – Mielicie rację.

Wjechali w las. Wzgórze wznosiło się w pewnej odległości i jadąc w jego kierunku widzieli tylko niewyraźny zarys między drzewami.

Ciemniało już, gdy wynurzyli się spod zielonego sklepienia. Stoki wzgórza porastał gęsty las, ponad murami twierdzy wznosiły się też korony drzew rosnących na wewnętrznym dziedzińcu. Zatrzymali się obok wąskiej, zarośniętej drożki.

– Nie wiedziałem, że w tej okolicy znajdują się takie budowle – odezwał się Erlof. – Dziwne, że nikt nie odbudował tej cytadeli. Potrzebujemy przecież tutaj takich fortec. Ciekawe, kto ją zbudował.

Nowy grzmot wstrząsnął powietrzem. Zrobiło się jeszcze ciemniej.

– Tutaj niebezpiecznie – rzekł Erlof. – A ten zamek jest tylko częściowo zburzony. Za mną! – rozkazał i ruszył pod górę.

Arstat zbliżył się do Hellegrena.

– Nie podoba mi się to miejsce – mruknął cicho. – Ta cytadela nie została z pewnością zbudowana przez Paleodyjczyków. Jedyne na tych kresach spotyka się podobne. Nie cieszą się dobrą sławą.

– To tylko legendy – powiedział Hellegren. – Ludzie w tych stronach są bardzo przesądni.

Gdy dotarli na szczyt wzniesienia czarne chmury całkowicie objęły niebo, a częste błyskawice rozjaśniały ich splątane kłęby. Przed grupką jeźdźców rozpościerała się stara, zniszczona brama. Wąskie strzelnice ziały pustką i zapomnieniem, przejście zaś nie było niczym przegrodzone. Przejechali pod łukowym sklepieniem

i zatrzymali się na popękanych płytach dziedzińca porośniętego drzewami. Erlof wskazał w głębi pomiędzy kolumnami czarny prostokąt wejścia. Odkryli sporą wnękę w ścianie sąsiedniego budynku, uwiązali w niej konie i zanim pierwsze krople deszczu spadły na ziemię, przekroczyli otwór wejściowy.

Byli w ciemnym pomieszczeniu, z widocznym zarysem pnących się w górę schodów. W ścianach widniały przejścia do sąsiednich komnat; ich ciemne i wilgotne wnętrza nie pociągały nikogo, toteż wspięli się na piętro. Dopiero teraz widać było jak wielka jest cytadela. Wyposażenie komnat strawił czas, mury zachowały się w lepszym stanie. Pod butami chrzęściły jednak kamyczki i gruz odpadły ze stropów, w podłodze otwierały się dziury i szczeliny, odsłaniając leżące niżej pokoje. Trzeba było nie lada uwagi, by nie zgubić się w tym kamiennym labiryncie.

W pustych salach słychać było poświstywanie wiatru, a potem także szmer wody, albowiem na dworze zaczęło padać. Przeszli przez korytarz o ścianach pokrytych splowiałymi malowidłami i znaleźli się w rozległym pomieszczeniu. W otworach po wybitych oknach widniały szarpane wiatrem fale deszczu. Erlof powiódł wzrokiem po ścianach i zauważył wmurowane kamienne tablice pokryte napisami w nieznanym języku. Zdecydował, iż zatrzyma się właśnie tutaj.

Hellegren i Revor odeszli po żywność pozostawioną w jukach wierzchowców, Erlof zaś zdjął i cisnął na ziemię pancerz opatrzonego, tak samo jak u towarzyszy, parą potężnych, złożonych skrzydeł. Po namyśle odkręcił je, zaś zbroję założył z powrotem, po czym usiadł na rzuconej niedbale skórze.

Błysnęło. Głuchy huk zatrzęsł murami. Dziewczyna drgnęła i przysiadła obok.

- Straszne miejsce – szepnęła. – W dodatku ta burza.
- Nie przesadzaj, Dyano.

Wstał i podszedł do okna. Ulewa zelżała nieco. Widać było mglisty zarys wieży, a obok mokrą ścianę popękanego muru. Dalej brama. Nagle zadudniły kroki powracających kompanów. Odwrócił się.

- Tu nie da się rozpaść ognia – powiedział Revor. – Przynieśliśmy to, co można zjeść i bez niego – podał Dyanie wołowy udziec, a na podłodze postawił bukłak z winem.

Arstat sięgnął do swego worka i wydobył ciemną, opłataną butelkę. Wlał do gardła dużą porcję, po czym mlasnął.

- Nie ma jak gorzalka – mruknął. – Ale najlepiej smakuje na polu bitwy – rozsiadł się na reszcie marmurowej kolumny. Ukrywał niepokój, starając się, by w jego ruchach nie było śladu niepewności i uważnie obserwował otoczenie.

Burza ucichła i chociaż dzień miał się już ku końcowi, pojaśniało. Na niebie ukazał się błękit, z drzew skapywały krople wody, bursztynowo-złote blaski rozjaśniały liście. Słoneczna tarcza pojawiła się na chwilę i zaraz schowała się za brzegiem spłaszczonej chmury, wypływającej zza horyzontu. Deszcz miał jeszcze padać.

Erlof otarł usta wierzchem dłoni. Wstał skończywszy posiłek i podszedł do Arstata zajętego napisami wyrytymi w kamieniu.

- Chyba zostaniemy tu na noc – powiedział. – Za parę godzin będzie ciemno. I tak nie dojechalibyśmy do Wysokich Wież przed wschodem słońca.

Stary wojownik spojrzał dowódcy prosto w oczy.

- Nie radzę – ostrzegł. – Nie podoba mi się to miejsce.
- Znow zaczynasz – rzucił Thorvald. – Dość mam twoich przesądów!

- Dobrze, dobrze – rzekł Arstat i rozgniewany odwrócił się ku napisom. Erlof także przyglądał się im w zadumie.

- Dziwny alfabet – mruknął. – To nie są nasze litery. Potrafisz to przetłumaczyć?

Stary rycerz pokręcił głową.

- Kiedyś widziałem już takie napisy – rzucił cicho – ale nie wiem gdzie. Tylko niektóre znaki są dla mnie zrozumiałe. Powtarza się

JACEK KOMUDA

Urodzony 23.06.1972 r. w Warszawie, uczeń IV klasy Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego. Wychowany na Lemle („Eden” był pierwszą powieścią jaką przeczytał), interesuje się fantastyką i SF socjologiczną. W planach studia polonistyczne. „Czarna Cytadela” jest debiutem Jacka.

(mp)

tu nazwa „Czarna Cytadela” i imię „Monevor”. Chyba je kiedyś słyszałem.

- Pewno w legendach twojej babki – wtrącił Revor. – Prawdę mówiąc, to i mnie nie odpowiada to miejsce. Skąd właściwie wzięła się cytadela na Wielkich Kresach? Kto ją zbudował?

- Może ten, którego imię wyryte jest na tablicach?

- Gdzie jest Hellegren? – zapytał nagle Thorvald.

Rozejrzeli się. Hellegrena nie było.

- Nie widziałas go? – Erlof zwrócił się do Dyany.

- Wyszedł – odparła. – Poszedł tam – wskazała wyjście prowadzące na północ.

- Na pewno do koni albo za potrzebą – uśmiechnął się Revor.

Odetchnęli, Erlof podszedł jednak do okna pełen niepokoju. Deszcz znowu zaczynał padać i mrok spowijał mury zamku. Plac był pusty.

- Nie ma go na dziedzińcu.

- Może ogląda cytadelę? – odezwał się Thorvald.

Arstat powstał.

- Hellegrenie! – zawołał. – Gdzie jesteś?!

Echo poniosło głos po wszystkich salach. Odbijał się od murów i sklepień.

- A niechże was! – zakrzyknął. – Mówilem, żeby tu nie wchodzić!

Erlof zajrzał do sąsiednich komnat. Na próżno. Zdenerwowany, położył dłoń na rękojeści miecza.

- Co robimy?

- Ty coś rób! – wybuchnął Arstat. – Rozkazuj! Jesteś przecież dowódcą.

- Musimy go poszukać – powiedział Erlof wyciągając broń. – Pójdiesz ze mną. Revor i Thorvald spenetrują salę po północnej stronie, my po południowej.

- A ja? – zapytała Dyana. – Nie sądzisz chyba, że tu zostanę?

- Pójdziemy we trójkę.

Drobny deszcz wciąż zaciął. Ze sklepień kapłała woda, wolno sączyła się ze ścian i tworzyła mętne kałuże na zawałonej gruzem podłodze. Erlof, Arstat i Dyana nie trafili dotąd na ślad zaginionego. Dopiero w jednej z komnat na parterze Arstat przystanął.

- Popatrzcie tam – powiedział.

Erlof dostrzegł szeroki, ciemny otwór, przesłonięty kilkoma kolumnami. Zbliżył się i spojrzał w głąb czeluści.

Korytarz lekko opadał w dół. W słabym świetle przedostającym się z sali dostrzegł płaskorzeźby na ścianach. Wyteżył wzrok; zdawało mu się, że w głębi stoją białe, dziwnie ukształtowane posągi, nie mógł wszakże stwierdzić, co przedstawiały. Wycofał się.

- Ten korytarz prowadzi do lochów albo do podziemi – rzucił. – Tam raczej się nie zapuścił. Wracamy.

Wyszli z komnaty i zmierzali w kierunku północnym, gdy nagle rozległ się przytłumiony odległością okrzyk. Znieruchomieli. Był to głos człowieka wydany w chwili strasznego przerażenia. Nie powtórzył się.

- To chyba głos Revora – wykrztusił Arstat.

Erlof zaklął i rzucił się w stronę głosu. Popędzili za nim. W biegu mężczyźni dobyli broni. Stał zadziwiona, oni zaś przemierzali w milczeniu ponurą budowlę.

Wpadli do długiego korytarza. Nagle z łukowego przejścia wyskoczyła postać w czarnym, rozwianym płaszczu. Erlof wznosił miecz i zaraz go opuścił. Naprzeciwko stał Revor i dyszał ciężko, krople potu lśniły na jego czole.

- Co się stało? – zapytał łagodnie Erlof. – Gdzie Thorvald?

- Thorvald nie wrócił!

- Jak to?

- To stało się tak nagle... Weszliśmy do dużej sali. Thorvald powiedział, bym spenetrował pokoje z prawej, a sam poszedł na lewo. Słyszałem najpierw jego kroki, potem zapanowała cisza. Wołałem, nie odpowiadał. Wróciłem do sali, lecz tam go nie było. Zajrzałem do wszystkich komnat w pobliżu. Nawet najmniejszego śladu! Musiał się oddalić, ale dokąd?... Tutaj coś mieszka! Coś strasznego! – umilkł, a jego twarz stężała w grymasie przerażenia.

Erlof potrząsnął nim mocno.

- Uspokój się – powiedział.

- Mówilem, że to przekłete miejsce – wtrącił ze złością Arstat. – Nie czas na dyskusje. Za mną!

Czując na karkach zimny pot, popędzili na lewo i wbiegli na piętro. Znajdowali się w sali, w której zamierzali spędzić noc. Stanęli bezradnie.



Jarosław Musiał

ciemna sylwetka przesłoniła przejście, Erlof z całej siły uderzył buławą.

Rozległ się trzask pękających kości. Bezwładne ciało osunęło się na posadzkę. Erlof dopiero w tym momencie uświadomił sobie, iż mógł powalić któregoś z zaginionych. Arstat pochylił się nad leżącym.

– To obcy – powiedział z ulgą. – Bałem się, że zabiłeś Thorvalda albo Hellegrena.

Revor zapalił latarnię, by mogli zobaczyć twarz zabitego. Nagle rozległ się przeraźliwy okrzyk, a wypuszczona z ręki latarnia zbiła się z hałasem. Dziewczyna osunęła się w ramiona Erlofa. Uniósł ją i poczuł, jak silne ramię Arstata wypycha go z komnaty.

– To nie był żaden z nich – szepnął Revor trzęsącym się ze strachu głosem. – Jego oczy... Nie, nie mogę już nic powiedzieć.

Erlofowi dźwigającemu Dyane zdawało się, iż serce wyskoczy mu z piersi. Kilkakrotnie był świadkiem niesamowitej odwagi przyjaciela na polach bitewnych i murach zdobywanych miast. Cóż za przerażający widok zatrwożył teraz tego nieulekłego rycerza?

Szli w milczeniu. Cisza spowijała zamek i chociaż starali się iść ostrożnie, ich kroki dudniły głucho w pustych pomieszczeniach. W wielkiej sali Arstat zatrzymał ich, a w jego dłoni błysnął miecz. Zrobił jeszcze krok i ukazał leżące na posadzce ciało mężczyzny w karacenowej zbroi.

Erlof poczuł, jak włosy stają mu dęba. Arstat błysnął latarnią i odskoczył z okrzykiem przerażenia. Na podłodze leżał trup, a jego rysy zastępyły w grymasie rozpacz. Na pancerzu widniało kilka nacięć – śladów uderzeń zadanych ze straszliwą siłą.

– To Thorvald – wydyszał Erlof.

Arstat bez słowa ruszył do wyjścia. Erlof i Revor rzucili jeszcze kilka spojrzeń na swego kompana wpatrującego się w sufit martwym wzrokiem. Zeszli na parter i nagle niesiona przez Erlofa dziewczyna jęknęła cicho. Ułożył ją na podłodze i lekko potrząsnął. Otworzyła oczy.

– Gdzie jesteśmy? – spytała słabym głosem.

– W Czarnej Cytadeli – mruknął Arstat.

– Ten zabity... – szepnęła – jego oczy.

– Dosyć! – uciął Erlof. – Możesz iść o własnych siłach?

Kiwnęła głową i powstała. Pośpieszyli w kierunku następnego pomieszczenia. Gdy przeszli łukowe przejście, Arstat znów się zatrzymał. Naprzeciw widniał otwór wejściowy, za którym szemrały krople deszczu. Arstat rozejrzał się podejrzliwie, nie spostrzegł jednak niczego podejrzanego.

– Szybko! – rzucił i popędził w tamtym kierunku. Mrok spowijał salę, przez którą biegli. Revor wysunął się nieco do przodu i gdy dopadał otworu, rozległ się trzask. Dostrzegli, jak płyta pod jego stopami opada w dół. Z okrzykiem przerażenia Revor runął w czeluść, kamień zaś, obróciwszy się dookoła własnej osi, wrócił na miejsce. Z wyjątkiem Revora nikt nie zdołał wydać z siebie głosu.

– Zapadnia! – krzyknął Erlof. Podbiegł do zdradliwej płyty i usiłował ją podnieść lub obrócić, jednakże ta nawet nie drgnęła.

– Czemuż nie uciekliśmy wcześniej?! – zawołał. – Cóż to za przekłete miejsce?!

– Czarna Cytadela – lakonicznie odparł Arstat. – Bądź lepiej cicho. Zmykajmy, póki czas. Może zdołamy uciec żywi.

Drobny deszcz uderzył w ich twarze, gdy wyszli na zewnątrz. Zarysy murów i wież tonęły w mroku. Zdawało się, że teraz cytadela jest znacznie większa od oglądanej w blasku dnia. Z budowli biła nieokreślona złośliwość i potężne, zda się wszechmocne zło. W dziwny sposób przyciągała wzrok Erlofa.

Bez trudu przebyli dziedziniec, lecz oto wyrósł przed nimi masyw zamkowej bramy. Przejście było szeroko otwarte, a za nim kołysały się kształty drzew.

Wpadli do ciemnej wnęki bramy. Dyana pierwsza skoczyła na drugą stronę. W tej chwili rozległ się wibrujący dźwięk, z którym opadła w dół schowana dotąd masywna krata. Erlof wrzasnął ostrzegawczo, Arstat nie zdołał jednak uskoczyć i grube jak męskie ramię pręty spadające w dół, przebiły jego zbroję, przygniatając go do ziemi. Erlof rzucił się usiłując podnieść żelazną konstrukcję. Krata była zbyt ciężka.

– Arstacie – szepnął w rozpacz i opadł na kolana. Krew płynęła z ciała rannego, mieszając się z deszczem. Jego wargi rozchyliły się, więc Erlof pochylił głowę.

– To Czarna Cytadela – wyszeptał umierający. – Słyszałem o tych ruinach. Uciekaj, a jeżeli nie zdołasz tego zrobić, zniszcz jego ciało. Zniszcz ciało Monevora.

Umilkł, głowa opadła mu na ziemię.

– Teraz tym przejściem – zakomenderował Erlof. Arstat wszakże, jakby lekceważąc rozkaz, zbliżył się ku tablicom i raz jeszcze przyjrzał się wrytym na nich napisom.

– Co robisz? – zapytał Erlof. Ochłonął już z pierwszego strachu.

– Czekał, postąpiliśmy jak głupcy! – powiedział nagle. – Skąd pewność, że nasi towarzysze zginęli? Może właśnie oczekują naszej pomocy... – urwał, dostrzegając dziwny wyraz twarzy odsuwającego się od ściany Arstata.

– Czarna Cytadela! – wrzasnął tamten. – Przypomniałem sobie! To przekłete miejsce. Uciekajmy stąd czym prędzej!

– A Hellegren i Thorvald?

– Jeżeli to Czarna Cytadela, są martwi, a nawet gorzej. Że też nie zorientowałem się wcześniej! Czarna Cytadela!

Nagle usłyszeli rżenie pozostawionych na dziedzińcu koni. Wierzchowce, którym udzieliła się ich trwoga głośnie szarpały się i wierzgały. Nieoczekiwanie rozległ się stukot podków, cichnący w oddali.

Erlof doskoczył do otworu okiennego. Nie wiedział – zdawało mu się, czy też dostrzegł naprawdę – ciemną sylwetkę, która szybko wtopiła się w mrok po drugiej stronie dziedzińca.

– Nasze konie! – wrzasnął Revor i jakby zbudzeni przezeń z głębokiego snu popędzili do przeciwnego przejścia. Wtedy Arstat uchwycił Erlofa za ramię.

– Coś jest przed nami – szepnął. – Lepiej zejźmy z drogi.

Cofnęli się do niewielkiego pokoju. Revor zgasił latarnię. Słychać było zbliżające się, dziwne, jakby niezdarne stąpanie. Gdy

Erlof stał w bezruchu, z którego wyrwał go dopiero głos Dyany.

– Co teraz zrobimy?

Cofnął się i dokładnie obejrzał mury, nie dostrzegł jednak schodów ani drabiny, prowadzącej na szczyt. Był w pułapce.

– Musisz uciekać – rozkazał. – Biegnij tą drogą w kierunku równiny. Proś o pomoc każdego napotkanego człowieka. Mów, że jestem w Czarnej Cytadeli. Pamiętaj, w Czarnej Cytadeli!!

– A co będzie z tobą?

– Idź. Przynajmniej ty się uratujesz.

Dziewczyna łkając pobiegła przed siebie.

Gdy jej postać zniknęła między drzewami, Erlof wydobył miecz i odwrócił się ku trwającej w mroku budowl.

– Teraz zmierzmy się – powiedział, nie czując już lęku i położył dłoń na chłodnym ostrzu.



Jarosław Musiał

Kropki ściekające z dachu rozpryskiwały się w kałużach, gdy przekraczał próg. Przed Erlofem otworzył się szeroki korytarz, zakończony niewyraźną plamą odległego przejścia, skąd płynęło słabe, żółte światło. Choć nie już, jak sądził, nie mogło go zdziwić, poczuł wstrząs na widok wielkiej sali. Jej sufit spowijał mrok, zalegał też pod kolumnami przy ścianach, wśród których stały tajemnicze posągi. Czyniły z tego pomieszczenia coś w rodzaju ponurej i odrażającej świątyni. Złotawy snop światła płynącego nie wiadomo skąd padał na środek sali. Stała w nim samotna, czarna sylwetka. Przewyciężając bezwład nóg, Erlof zaczął podchodzić bliżej. Dziwna jasność unosiła się wokół postaci okrytej ciemnym płaszczem. Kaptur okrywał jej głowę, nie widać było rysów twarzy. Erlof czekał.

– Zjawileś się wreszcie – powiedział metaliczny głos. Czy przemówiła postać, czy też głos dochodził z przestrzeni wokół nich, Erlof nie wiedział. Czuł, że opadają na niego niewidzialne więzy. Pomimo wysiłków nie był w stanie poruszyć ani ręką, ani nogą.

– Kim jesteś? – zapytał. Jedyne, na co mógł się jeszcze zdobyć.

– Jestem... cieniem człowieka, który żył dwa tysiące lat temu. Niegdyś byłem królem. Nazywałem się Monevor.

– To ty zabiłeś moich przyjaciół! Dlaczego?

Nieznamy roześmiał się cicho.

– Jesteś Paleodyjczykiem – powiedział. – Tak samo twoi kompani. Każdy Paleodyjczyk jest moim wrogiem.

– Dlaczego?

– Czy słyszałeś o królestwie Tavonu?

Erlof drgnął. Nazwa ta obita się o jego uszy.

– Zadrzałeś, co? – syknął tamten. – Tak, byłem niegdyś królem tego państwa. Przepiękna kraina! Pośród lasów, łąk i pól wznosiły się grody i miasta. Żyliśmy w spokoju i szczęściu. W dolinach rozbrzmiewały pieśni naszych kobiet, w lasach pełno było zwierzyzny, cały kraj płynął miodem i mlekiem. Do czasu, gdy przybyli tu wasi przodkowie z zachodu. Przybyli, a potem zmiotli nas z powierzchni ziemi. Wciąż jest we mnie pamięć o spalonych miastach, zrównanych z ziemią siołach, wymordowanych kobietach, dzieciach i starcach, o wojownikach palonych żywcem na stosach. Potężnym byliśmy narodem, ale ulegliśmy waszej przewadze. Zwycięzcy osiedlili się później na ruinach Tavonu i stworzyli nowe państwo – Paleodię, słynną ze swej jazdy. Zbudowaliście to państwo i nie wiedząc o tym, co zrobili z nami wasi przodkowie, podjęliście się obrony świata przed barbarzyńską potęgą Birvantt. Walczyście ze wschodem, a jesteście stokroć gorsi od mieszkających tam dzikusów. Ja byłem królem Tavonu. Z tego miejsca, z Czarnej Cytadeli, rządziłem moim państwem. To był ostatni punkt oporu, gdy zajęliście już kraj. Nie mogliście go złamać, a wtedy jeden z waszych czarnoksiężników rzucił na to miejsce klątwę. Ale ja byłem Nieśmiertelny. Ci, którzy się tu schronili, zginęli, ja jednak przeżyłem, choć moje ciało umarło.

– Wiedziałem, że Tavon był przesiąknięty czarami – mruknął Erlof.

– Zabiłem twoich przyjaciół – ciągnął tamten – zabijałem i innych, którzy tu trafili. Zniszczyliście Tavon, ja muszę go pomścić.

– Minęło dwa tysiące lat! – krzyknął Erlof. – Cóż my, dzisiejsi mieszkańcy Paleodii możemy dla ciebie zrobić? Zawinili nasi przodkowie, my nie mieliśmy na to wpływu.

– Wszystko byłoby proste, gdyby czas cokolwiek znaczył. Ale on jest niczym. Nie podlegam mu, więc nie umniejsza mojej nienawiści.

– Jesteśmy niewinni!

– Twoi przodkowie zniszczyli mój lud. Należysz do tej samej rasy.

Erlof zbierał rozproszone myśli.

– Ciekaw jestem, o jaką zemstę ci chodzi? – powiedział w końcu. – Wydaje mi się, że nie możesz stąd wyjść. Jakże zatem dokonasz odwetu? Możesz zabijać tych, którzy tu wejdą, ale nie zdołasz pokonać całego narodu. Jesteśmy zbyt potężni, by ulec cieniowi z przeszłości.

Monevor roześmiał się chrapliwie.

– To, że zabijam, albo przejmuję władzę nad takimi jak ty, to zemsta za moje cierpienia – możesz tak to nazwać. Pozostaje odwet za zniszczenie Tavonu. Nie ja go dokonam. Gdy byłem człowiekiem, posiadałem dar przewidywania przyszłości. Czas nie mógł zabić mojej nienawiści, ale czas porządkuje nasz świat. Istnieje jedno przeznaczenie i chociaż nie potrafię go odgadnąć, to przecież mogę stworzyć sobie jego wizję. Jesteście skazani na zagładę. Jako nieśmiertelny będę oglądał wasz upadek – oto moja zemsta. Nie muszę niczego robić. Z tej twierdzy ujrzę kres Paleodii. Pograżycie się w cierpieniu na wieki. Sami zresztą doprowadzicie kraj do zguby. Czas was zniszczy i po tym przeklętym państwie nie zostanie nawet wspomnienie.

– Po cóż mi to mówisz? Szukasz usprawiedliwienia? Dlaczego nie zabiłeś mnie od razu? – zapytał Erlof. – Dyana uciekła. Wszyscy dowiedzą się o tym miejscu. Nikogo już nie uśmiercisz.

– Ja nie zabijam ludzi – odparł Monevor. – Przynajmniej staram się tego nie robić. To znaczy uśmiercam wszystkich, ale nad ich ciałami przejmuję władzę. Spotkało to jednego z twoich ludzi. Niestety, pozostali byli zbyt silni, a co za tym idzie, zbyt niebezpieczni. Ktoś zdaje się leżeć w jednej z sal na parterze, ktoś spoczywa na dnie głębokiego dołu, a ciało innego gnije przy bramie. Interesowała mnie twoja reakcja, gdy twoi towarzysze umierali w męczarniach bądź znikali bez śladu. Jesteś inny od tych, z którymi dotąd się spotykałem. Nie wiem, dlaczego zapragnąłem powiedzieć ci wszystko. Może po to, abyś umierał ze świadomością winy?

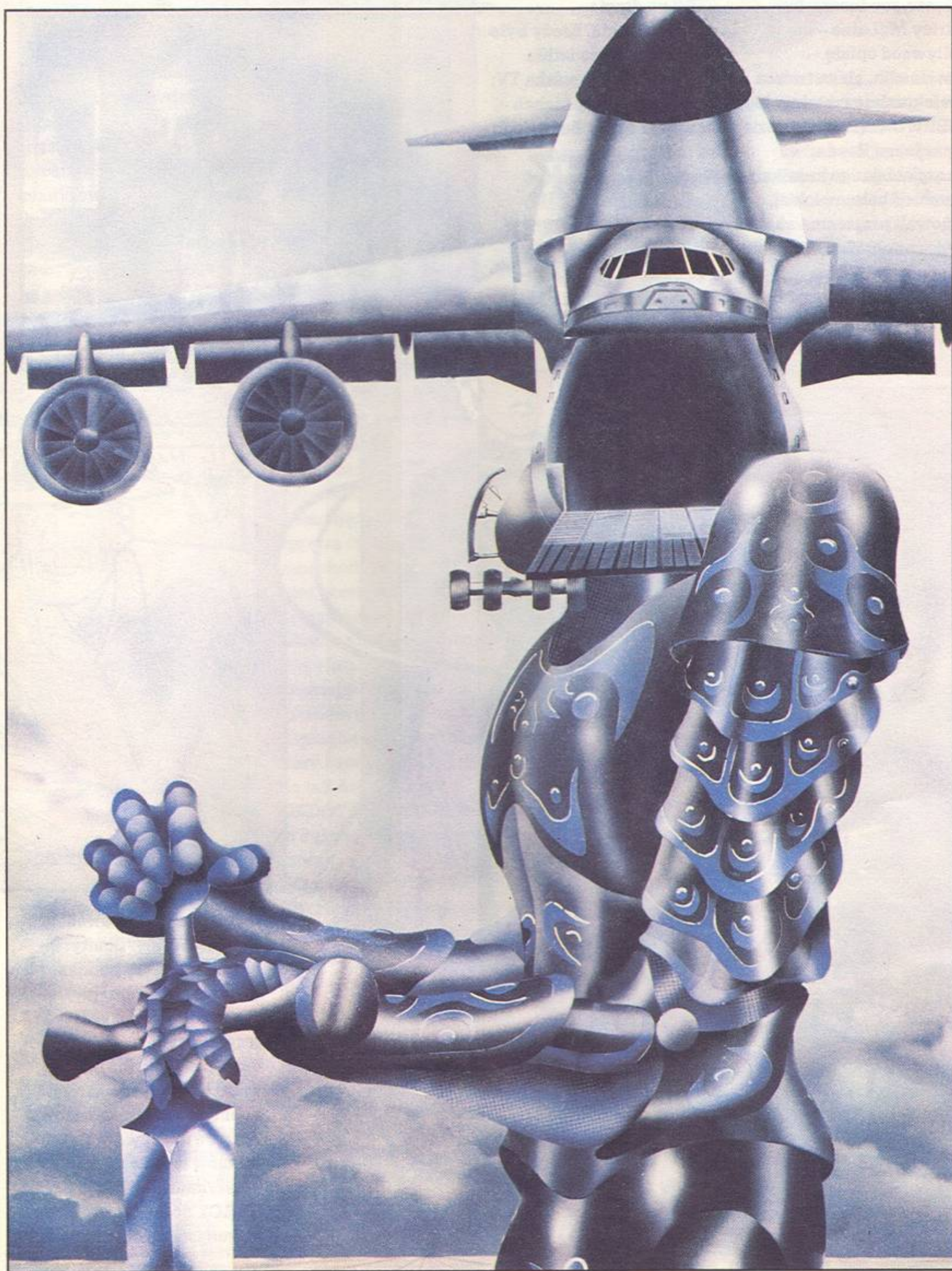
– A jednak jesteś bardzo słaby – zauważył Erlof. – Potrafisz mordować, lecz nie dopuszczasz do siebie myśli, jak bardzo się mylisz. Nie potrafisz odejść z tego miejsca. Możesz tylko czekać. Wymyśliłeś bajeczkę o upadku Paleodii tylko po to, aby odnaleźć cel swojego istnienia.

– Być może – odparł Monevor i zdjął kaptur.



na
str.
57

Piotr Łopalewski



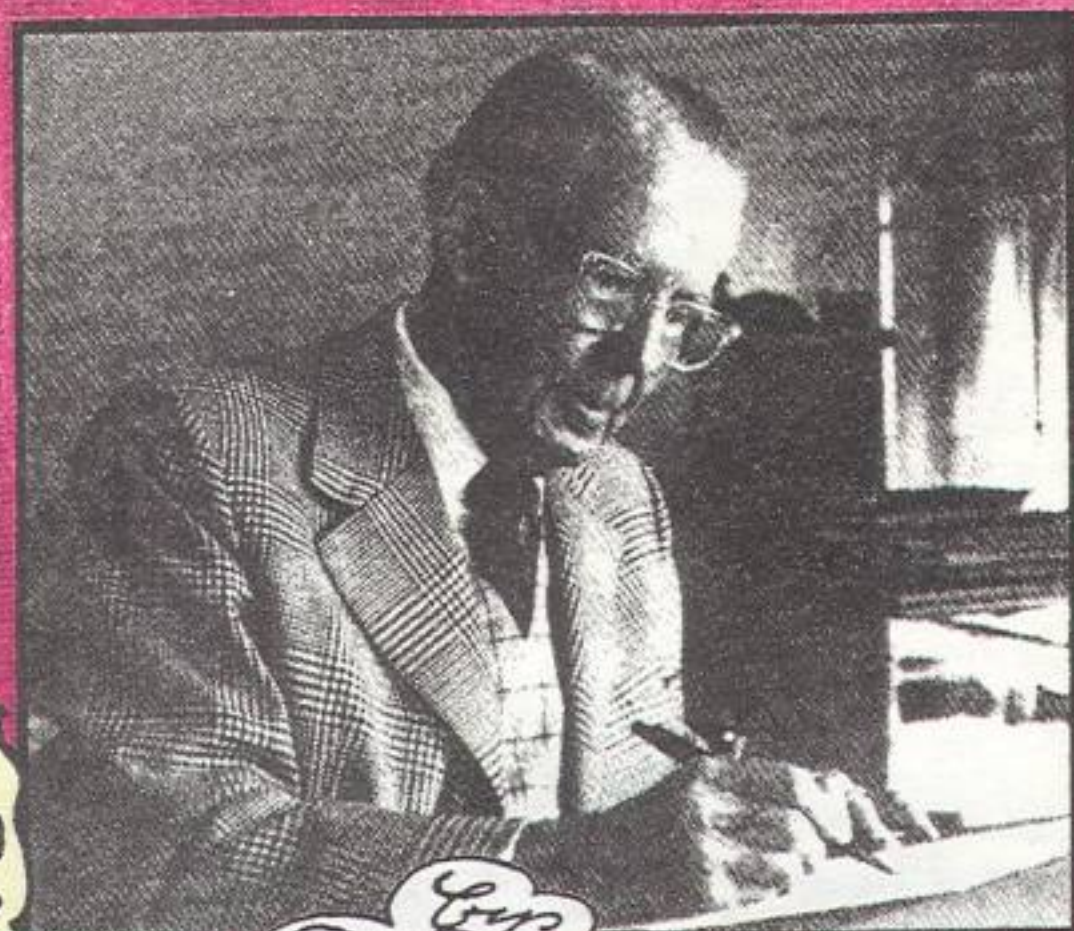
film

DUSZA NA WIERZCHU!

Warren Beatty – aktor, reżyser, producent, brat Shirley McLaine – ma w Hollywood opinię bawidamka, ale to twórca intelektualnie rzetelny. Jego CZERWONI (1980), historia życia Johna Reeda, amerykańskiego kronikarza rewolucji bolszewickiej, ujmowali przytomną analizą wydarzeń 1917-1920. Beatty pokazał „dni, które wstrząsnęły światem” bez obrazoburczego zapachu, lecz też i bez tych złudzeń, które kazały intelektualistom

Zachodu przykleknąć przed ZSRR na długie dziesięciolecia. Kiedy było już można, wyświetliła CZERWONYCH polska TV; obecnie mamy w kinach następne dzieło Beatty'ego –

DICK TRACY



CHESTER GOULD



film i fantastyka

Jest to z wielu powodów film niezwykle. Beatty ekranizuje stary komiks gangsterski (policyjny) Chestera Goulda. W latach trzydziestych, czterdziestych (aż do 1977 roku) komiksy z bohaterskim agentem FBI o kwadratowej szczęce ukazywały się w kilkuset tytułach prasy amerykańskiej. DICK TRACY doczekał się także kilkunastu wersji filmowych.



Żadna nie była tak skończona, tak estetycznie jednorodna jak ta, która wyszła spod ręki Beatty'ego. Reżyser nie „ożywia” komiksu, nie stara się „streścić” na ekranie „ułomnej”, bo nieruchomej, komiksowej historii. Przeciwnie, zmusza ekran, by naśladował komiksowy kadr, podporządkowuje

Ilustracje: Twórca postaci i komiksu Dick Tracy – Chester GOULD; kadry oryginalnego komiksu narysowanego na podstawie filmu; postacie filmowe.



reguły filmowej opowieści estetyce komiksu, celebrytuje ruch, efekty akustyczne, budowę planu; podporządkowuje scenografię, grę i nawet charakterystykę aktorów nie tym prawom, które obowiązują na celuloidzie, lecz przede wszystkim na papierze. Dla nas, latami zakochanych w komiksie na odległość i dopiero od niedawna poznających niektóre, najczęściej średnio

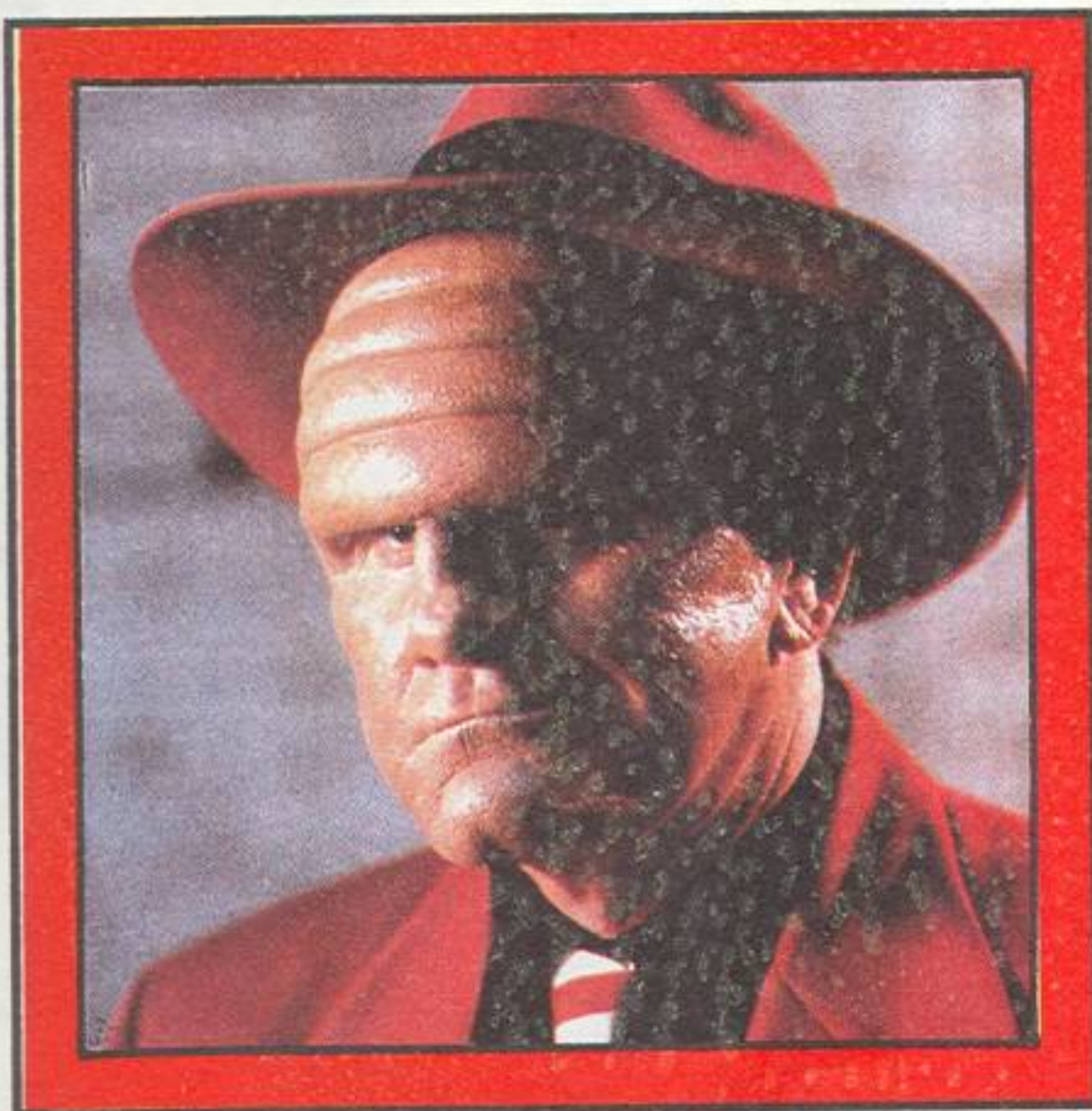
udane ekranizacje komiksów – BARBARELLA, kilka SUPERMANÓW, nawet BATMAN – to wszystko musi działać na zasadzie szoku.

W przypadku filmowego DICKA TRACY'EGO i kino, i komiks amerykański spotykają się na terenie, którego eksploatacja przyniosła im największe sukcesy. Kino gangsterskie, proza i scenariusze Chandlera, Hammeta – startowały w tym samym czasie, w którym Chester Gould oddawał pierwszy strip z Dickiem Tracym do „Chicago Tribune New York Syndicate”. To wtedy kształtował się żywotny do dziś mityczny kształt gangsterskiej opowieści. Wielką rolę odgrywają w niej fatalna blondynka, porachunki gangsterów posługujących się z równą wprawą szybkimi samochodami co pistoletami maszynowymi, nocne akcje, nielegalne wyszynki, zakazane kabarety, gonitwy, akty okrutnej zemsty i dominująca nad tym infernem postać nieprzekupnego policjanta, który zaprowadza ład. Kto nie tak dawno obejrzał NIEDOTYKALNYCH Briana de Palmy, ten wie, o co mi chodzi.

Opowiada DICK TRACY historię znaną i prostą (nie za prostą), za to robi to w sposób wyrafinowany. W komiksie bohaterowie „myślą na głos” i mają charakterystyczne twarze; w DICKU TRACYM tę cechę osiągnięto zuchwałą charakterystyką, która sprawia, że nawet tacy gwiazdorzy jak Al Pacino lub Dustin Hoffman właściwie są nie do poznania. Za to emocje władające gangsterami, których grają, są (podobnie jak w komiksie) czytelne aż

nadto – jest to dusza na wierzchu. Podobnie w innych scenach, gdzie mamy występłą piosenkarkę kabaretową kuszącą Dicka, bezdomnego chłopca, którego detektyw adoptuje, towarzyszącą Dickowi kobietę. Ich nastroje, zamiary, plany, ich uczucia –

zastawkę... Ale nie, mamy najazd, kamera przenika przez pozornie sztuczny świat i oto jesteśmy przed rzeczywistą knajpą, spod której rusza limuzyna z bohaterami. Beatty bawi się komiksem i chwilami drażni się z widzem – dam się wam złapać, kiedy chcę i tylko po



wygrane, celebrowane, niemal tak zatrzymane jak w komiksie – nie zostawiają widzom miejsca na wątpliwości. To wszystko, o dziwo, nie pomniejsza filmu, lecz dodaje mu nową estetyczną wartość.

Całość rozgrywa się w świecie, który jest zarazem sztuczny i realistyczny, fantastyczny (mityczny) i racjonalny. Długa panorama pejzażu miasta nocą, no tak, reżyser podkreśla komiksowy rodowód ukazując wymalowaną

to, żeby was przyłapać. Tu też, jak w komiksie, jak w fantastyce – wszyscy widzą, że to fikcja i gra na papierze. Ale ta gra, kiedy prowadzona przez mistrza, może wywoływać prawdziwe wzruszenia i wtedy na papier spadają prawdziwe łzy.

Maciej Parowski

DICK TRACY. Reżyseria: Warren Beatty. Scenariusz na podstawie komiksów Ch. Goulda: J. Cash i J. Epps. Zdjęcia: Vittorio Storaro i Bill Neil. Występują: Warren Beatty, Al Pacino, Madonna, Glenn Headly, Dustin Hoffman, James Caan. USA, 1990.



Piotr Łopalewski

Erlof krzyknął z przerażenia. W miejscu głowy tamtego była duża fosforyzująca czaszka. W jej oczodołach czaiła się moc, która pomogła temu martwemu stworowi przetrwać wieki, dając mu przez cały ten czas pozory życia. Siła nienawiści?

Erlof uwolnił się z okowów, krępujących jego ciało. Błysk szaleństwa zapalił się w mózgu rycerza. Monevor nie zdążył drgnąć, gdy dziwna siła popchnęła Erlofa do działania. Napiął mięśnie i skoczył wprost na postać okrytą czarnym płaszczem. Powietrze zawyło, gdy ciało z całej siły. Żelazo zagłębiło się w ciele widma nie napotyając oporu jak gdyby postać utworzona była z dymu lub mgły. Erlof ukląkł, straciwszy równowagę.

– Nie możesz mnie zabić – powiedział Monevor. – Sądziłem, że będziesz rozsądniejszy. Jestem duchem człowieka, który zmarł dwa tysiące lat temu. Zachowałem nieśmiertelność właśnie w takiej postaci. A teraz żegnaj. Twoje przeznaczenie nadchodzi – postać widma zmalala, zbladła i rozwiała się. Erlof usłyszał jeszcze dziwne szelesty dochodzące ze wszystkich stron.

Coś kryło się w cieniu kolumn. Czując, jak serce zaczyna mu bić coraz szybciej, Erlof dostrzegł wyłaniającą się z mroku mglistą sylwetkę człowieka w półpancerzu i hełmie. Dalej pojawił się drugi, trzeci. Były ich dziesiątki, zewsząd dochodziły ukradkowe stąpnięcia. Podchodzili coraz bliżej, a z nimi blade lśnienie wzniesionych mieczy, toporów i włóczni. Znalazł się w zacieśniającym się pierścieniu. Włosy zjeżyły mu się, gdy ujrzał oblicza przeciwników. Miał do czynienia nie z ludźmi, lecz z martwymi ciałami, ożywionymi diaboliczną siłą. Błede twarze były groteskowymi maskami bez wyrazu, trupy szły równym, aczkolwiek nieco bezwładnym krokiem. Najbardziej niepokojące były ich oczy – matowe i puste niczym u śniętych ryb. Zdawali się nie żyć od dawna, a jednak rozkład nie tknął obrzękłych, sinych twarzy i bladej skóry.

Okrążyli go i zatrzymali się. Wiedział, że jeśli nie uczyni czegoś zdecydowanego – zginie.

Rzucili się na niego; nie wydając żadnego dźwięku, nie byli przecież żywymi ludźmi, lecz tworami, utrzymywanymi na pograniczu życia i śmierci przez magię potężnego umysłu, który trwał przez wieki.

Świsnęło ostrze. Najbliższy przeciwnik zwałił się, przecięty w pół paleodyjskim mieczem. Cofnęli się, po czym znów zaatakowali – nieporadnie i opieszale, jak gdyby dla powodującej nimi siły największą trudnością było przezwyciężenie martwoty ciała. Uderzali na oślep, a ich topory i miecze dźwięczały, odbijając się od hełmu i zbroi Erlofa. Przestrzeń wokół niego malała, co chwila jednak powiększała się, gdy na posadzkę opadało kolejne ciało. Rycerz opatowany szaleńczą pasją walki zataczał mieczem szerokie kręgi i sam uchylał się przed uderzeniami. Pod jego ciosami pękały ostrza, hełmy i pancerze nacierających. Krew nie plamiła podłogi, padające ciała przechodziły przerażającą przemianę – kurczyły się, ciemniały i rozsypywały w proch. W jednej krótkiej chwili czas egzekwował swe prawa.

Stos przemieszanych kości, czaszek i pyłu wznosił się wokół niego, gdy pozostali przeciwnicy zamarli, po czym rozstąpili się. Z tłumy wynurzył się wojownik w karacenowej zbroi. Erlof rozpoznał Hellegrena. Okrzyk przerażenia zamarł na jego ustach. Towarzysz broni, który zniknął przed godziną, teraz kroczył sztywno trzymając wzniesiony w górę miecz.

– Hellegrenie! – wrzasnął Erlof. – Hellegrenie! Nie poznajesz mnie?! – urwał, gdy uprzytomnił sobie, że ten, do którego mówi, musi być martwy.

Hellegren zatrzymał się o krok. Od bladej postaci o wydętych sinych wargach i wytrzeszczonych oczach ciągnęło chłodem. Chwila i oto długi miecz runął w dół szerokim łukiem. Erlof zdołał odskoczyć. Ostrze skrzesało iskrę z kamiennej podłogi, lecz wówczas świsnęła stal, po czym kolejne bezgłowe ciało osunęło się na ziemię.

Pozostali znów podnieśli broń i posunęli się do przodu. Zanim jednak zdołali otoczyć samotnego wojownika, ten rzucił się w bok, przebił przez linię wrogów i gnając jak opętany, wpadł w przejście, prowadzące do ciemnego korytarza. Tu rozepchnął ostatnich, którzy chcieli go zatrzymać i uciekł.

Pierwszą myślą Erlofa było pragnienie wydostania się z Czarnej Cytadeli. Zaraz jednak musiał o tym zapomnieć, bowiem tuż za plecami słyszał tupot wielu stóp. Podążali za nim. Zresztą krata, pod którą spoczywało ciało Arstata, na pewno też była opuszczona. Należało znaleźć inne wyjście.

Przebył kluczując kilka komnat i korytarzy, aż wreszcie otoczyła go cisza. Ucichły odgłosy pościgu, może prześladowcy zgubili jego ślad? Wyczerpany, zwałił się na marmurową ławę w jednej z sal, zagubiony w kamiennym labiryncie, którego mroki rozpraszała je-

dynie słaba poświata, przedostająca się przez otwory po przegni-tych oknach. Po chwili odpoczynku zagłębił się w kolejny korytarz, którym doszedł do następnego wielkiego pomieszczenia.

Nagle usłyszał cichy szelest, dochodzący zza przejścia w przeci-wległej ścianie. Pod palcami poczuł rękojeść miecza, ręka chwyciła za nią bezwiednie. Światło księżyca uwolnionego z okowów chmur, załśniło w przeciwległym kącie sali. Rozległo się ciche czał-panie. Jeszcze chwila i z przejścia wysunęło się kilka ciemnych sylwetek. Cicho wycofał się z komnaty i przeszedł na drugą stronę korytarza.

Wrogowie najwyraźniej rozdzielili swoje siły. Nie sądził, aby byli na jego tropie, ruszył więc w kierunku zakrętu korytarza. Kim byli za życia? Niemożliwe, by ciała ożywione szatańską mocą Monevo-ra należały do Tawończyków. Najprawdopodobniej byli to tacy sami jak on, przypadkowi wędrowcy, którzy nieświadomi niebez-pieczństwa weszli do przeklętych ruin. Rozmyślając tak wszedł do ciemnego pomieszczenia. Przebite u góry dymniki i skośne ko-miny przepuszczały słaby poblask księżycowego światła. Wtem z mroku wyłoniła się biała sylwetka, ciało owinięte jasnym płasz-czem. Palce Erlofa dotknęły rękojeści sztyletu. Świsnęło ostrze ci-nięte silną ręką i postać zniknęła. Nie wiedział, czy trafił, lecz już w następnej chwili usłyszał tupot kilkadziesiątu stóp i chrzęst orę-ża.

Skoczył w otwór prowadzący do pokoju z lewej, a w przejściu od-wrócił się błyskawicznie i zaatakował. Ostrze miecza zgrzytnęło, ocierając się o kość, Erlof odwrócił się i popędził w ciemność. Prze-śladowcy deptali mu już po piętach, gdy nagle ziemia pod nim roz-stąpiła się. Poleciał w dół tak szybko, iż nie zdołał wydać z siebie żadnego dźwięku.

Nie spadał zbyt długo. Nim zdążył zastanowić się, co go czeka, lądował na wysokim stosie gruzu, piętrzącym się w ciemnej kom-nacie. Przekoziolkował i potłuczony zerwał się na nogi. Czekaając, aż uspokoi się bijące głośno serce starał się przebić wzrokiem ota-czające ciemności.

Niewątpliwie był to szczęśliwy przypadek. Uszedł swym prześla-dowcom, nie wiedział jednakże, gdzie się znajduje. W każdym ra-zie nie spadł zbyt głęboko. Mury, których dotykał idąc po omacku, były wilgotne, w powietrzu trwał chłód, charakterystyczny dla lo-chów.

Trochę trwało zanim dotarł do szerokich schodów prowadzą-cych w górę. Wspiął się i stanął na progu obszernej, pustej sali. Zniżający się księżyc siał padający skośnie blask, gwiazdy lekko przybladły, niewątpliwie noc miała się ku końcowi. Naprzeciw wi-dział czworokątny otwór, wypełniony gęstą, prawie namacalną ciemnością. Przecież znał to miejsce. Zamarł w bezruchu. Nagle, niczym olśnienie, spłynęło na niego wspomnienie słów wypowie-dzianych przez Arstata przed śmiercią.

– Zabij jego ciało – powtórzył szeptem. Patrzył w mroczną głę-bię otworu, rozdarty pomiędzy chęcią ucieczki z tego straszego miejsca a pragnieniem zejścia galerią tam, gdzie spoczywa... – Na-gle z obydwu przejść w ścianach wypadły czarne cienie otaczając go półkolem. Zanim uderzyli, podjął ostateczną decyzję, spojrzał za siebie i pobiegł tam, gdzie spoczywał martwy bądź tylko uśpiony pan tych ruin, przeklętych przez Boga i ludzi.

Korytarz nie nosił śladów zniszczenia, jakie szerzyło się w cytade-li. Spadek był łagodny, co kilkanaście kroków przestrzeń przeci-nały smugi białego światła. Nie płynęło ono z zewnątrz; jego źró-dłem były płyty wmurowane w ścianę w regularnych odstępach. Zrobione z fosforyzującej substancji dawały mocny, ostry blask, ale tylko w pobliżu muru. Ich światło nie do końca rozpraszało cie-mności.

Nikt go nie gonił. Być może jego wrogom nie wolno było tu wcho-dzić lub też w podziemiach czaiły się jeszcze gorsze okropieństwa. Strach na chwilę znowu sparaliżował jego ciało, przemógł się jed-nak i szedł dalej.

Pojawiły się nisze, wykute po obu stronach korytarza. W każdej z nich tkwił duży, kamienny posąg. Oglądał je ciekawie. Wszystkie były precyzyjnie wykonane, gładkie, nie mógł jednakże stwierdzić, co przedstawiały. Miały ludzkie proporcje, niektóre jednak z istot przedstawionych w kamieniu posiadały po troje oczu, zazwyczaj też kilka rąk. Z ich palców zaś zwisały się ciężkie, dziwnie ukształtowane macki.

Spoglądał właśnie na jedną z kamiennych postaci, bardziej niż inne podobną do człowieka, gdy rozległ się cichy trzask. Rozejrzał się, niczego jednak nie spostrzegł; z powrotem skierował swój wzrok na posąg i włosy stanęły mu dęba. Oczy rzeźby wyglądały

jak żywe! Poruszyły się lekko. Erlof odskoczył i z okrzykiem przeobrażenia pognął w dół.

Nisze z przerażającymi lokatorami skończyły się wreszcie. Korytarz opadał teraz stromo, a mógł obniżyć się jeszcze długo, toteż należało oszczędzać i tak już nadwątłone siły. Starając się nie myśleć o chwili grozy, jaką przeżył wcześniej, Erlof schodził coraz niżej i niżej.

W echo jego kroków wchodziły się ciężkie stąpnięcia dochodzące z tyłu. Spojrzał w górę korytarza. Ciemność, przetykana łatanami światła, kryła ciszę i pustkę. Daleko jak okiem sięgnąć nie było za Erlofem nikogo.

Przywidziało mi się – pomyślał. Przeszedł kilka kroków i znów wydało mu się, że ktoś za nim idzie. Raz jeszcze obejrzał się zaniepokojony, jednakże echo tajemniczych stąpnięć ucichło w oddali.

Ruszył naprzód, a wówczas do tajemniczego odgłosu dołączyły następne. Wreszcie, gdy stąpnięcia maszerujących za nim istot zlały się w jeden równomierny pogłos, zatrzymał się przerażony i wtedy dźwięk ucichł. W przebiegu świadomości skojarzył go z posągami. Przestrach wstrząsnął jego ciałem; nie bacząc już na nic puścił się pędem przed siebie.

Ciężkie wrota zamykały długą galerię. Ich powierzchnia, jak wszystko tutaj, pokryta była płaskorzeźbami. Dwie z nich wyobrażały smocze paszcze, z których zwisały się żelazne pierścienie. Uchwycił jeden z nich i pociągnął. Jedno ze skrzydeł odchyliło się z lekkim szumem. Erlof prześliznął się przez szparę. Był w grobowcu.

Na środku komnaty spoczywała kamienna skrzynia ozdobiona twarzami prymitywnych bożków i symbolami, które wziął za herby rycerskie. Nie wątpił, że jest to sarkofag zawierający ciało Monevora. Chciał doń podejść, lecz lęk zatrzymał go na miejscu. Nie sądził, by w grobowcu znajdowała się pułapka; było to raczej zagrożenie mocą, jakiej dotąd nie napotkał.

Stał w progu niezdolny do podjęcia decyzji. Za plecami miał ruchome posągi, przeciw którym jego miecz byłby zapewne bezsilny. Przed sobą nieokreślone, straszliwe zagrożenie. Usłyszał szmer, dochodzący z korytarza i czując, że nie wytrzyma dłużej w niepewności, postąpił naprzód. Był przy płaskim wieku sarkofagu, gdy stało się to, co przeczuł wcześniej.

Kopuła stropu kończyła się zawieszoną wysoko tarczą, pokrytą niezrozumiałymi symbolami. Zobaczył ją kątem oka, bowiem w chwili, gdy dopadł skrzyni, zerknął w górę. Właśnie w tym momencie z sufitu skoczył na niego czarny, rozmazany cień. Erlof zdołał dostrzec bezkształtny pęczek, otoczony wieńcem macek i odruchowo uskoczył zanim owa istota znalazła się na ziemi, chybiając celu. Ciało stworzenia przypominało grubego, ciemnobrązowego wór pokryty kłębem chaotycznie wijących się macek. Kilka z nich wysunęło się w kierunku Erlofa. Miecz błysnął, stwór sprężył się, jakby zwał w sobie i wówczas dyszący ciężko Erlof wbił ostrze w bąblaste ciało.

Wyrwał broń i chwilę patrzył na miotającą się po posadzce poczwagę. Jej ciało zamarło w końcu, zaś Erlof odwrócił głowę i podszedł ponownie do kamiennej skrzyni. Oglądał ją dokładnie, szukając sposobu, dzięki któremu mógłby zajrzeć do środka. Pochłonięty opukiwaniem ścian, nie zwracał już uwagi na rozciągnięty nie opodal kształt podobny do olbrzymiego pająka skrzyżowanego z ośmiornicą.

Zawile symbole pokrywały wierzch sarkofagu. Odnalazł w końcu szczelinę, obiegając dookoła całą skrzynię. Do uniesienia kamiennej pokrywy nie starczyłoby z pewnością dwóch mężczyzn, Erlof zdołał jednak podnieść i odrzucić na bok kamienny blok. Ujął później rękojeść miecza i spojrzał w głąb odsłoniętego grobu. Leżał tam pośrodku szkielet obleczony w resztki przegniłej materii. Erlof westchnął ciężko wspierając ręce na krawędzi sarkofagu. To dziwne, ale nie czuł nienawiści. Kimże był ten król sprzed wieków? Jak długo jego duch żył nienawiścią do świata, który przecież od tamtych lat tak bardzo się zmienił? Nie jesteśmy już owym dzikim ludem, który przedostał się tu przez góry Lomill, ciągnąc z zachodu – pomyślał rycerz. Jaka tajemnica dała nieśmiertelność tej duszy? Podniósł miecz do góry. Chciał go opuścić – nie mógł. Czyżby poczuwał się do winy? Do czynów, których nie popełnił? Czyżby to, co czynił tamten, było słuszne? Wiedział jedno – nie powinien bezcześcić zwłok. Ale może był to wpływ magii, a nie jego wewnętrzne, niezależne od niczego przekonanie?

Nagle zamrł z podniesionym mieczem. Na korytarzu grzmiały czyjeś kroki, a mury i podłoga odpowiadały im donośnym echem.



Musiał iść ku niemu coś bardzo ciężkiego. Nie sądził, by był to człowiek lub nawet jeden z odrażających trupów ożywionych czaroksięskim kunsztem Monevora. Donośny dźwięk zwiastował coś znacznie bardziej niebezpiecznego.

Zrobił kilka kroków w kierunku drzwi, tajemnicze stąpnięcia rozległy się jeszcze głośniejsze. Erlof konwulsyjnie ścisnął miecz, gdy w otwartych wrotach zarysowała się biała sylwetka. Tylko w zarysach przypominała człowieka. Chwilę stała w drzwiach, po czym ruszyła wprost na rycerza, a każdy jej krok dźwięczał głośnie, jak gdyby uczyniona była z kamienia.

Straszliwe przypuszczenie spowodowało, że włosy stanęły mu dęba. Zacisnął szczęki i widząc, że tamto jest już przy nim – uderzył.

Paleodyjski miecz przeciął ze świstem powietrze i skrzesałszy snop iskier, odbił się jak po uderzeniu w najtwardszą skałę. W tej samej chwili straszliwa siła odrzuciła Erlofa pod ścianę. Upadł, nie wypuścił jednak broni. Podniósł się obolały, a gigantyczna sylweta szła już na niego. Nie wątpił, że walczy z przeciwnikiem zbudowanym z kamienia. Nie wiedział wszakże, czy ma do czynienia ze statua, ożywioną magią, czy też z demonem w rodzaju tych, jakie przyzywali na swoje usługi birwantyjscy czarownicy. Posadzka dudniła pod nogami potwora.

Bezkształtne ręce wyciągnęły się w jego kierunku. Odskoczył i zaczął obchodzić sarkofag. Demon szedł za nim, Erlof cofał się coraz szybciej, nie znajdując w myślach żadnego wyjścia z tej fatalnej sytuacji.



Jarosław Musiał

Ostrze miecza znów uderzyło w wyciągniętą kamienną rękę. Tylko zadźwięczało i odbiło się z trzaskiem. Erlof znów odskoczył i dostrzegając ciężki kamień leżący na podłodze, uchwycił go i cisnął z rozpaczą. Ugodzony demon zatrzymał się na moment, a Erlof wykorzystał tę chwilę, aby zebrać siły. A więc nie miał wyjścia. Skoro tak... Gdy przeciwnik znów ruszył w jego kierunku, rycerz poczuł, że ogarnia go szaleństwo.

Zmęczenie, obrzydzenie i strach nękające młodego wojaka już od paru godzin, zaowocowały raptem wściekłością. Ze zwierzęcym rykiem, nie bacząc już na nic, błyskawicznie rzucił się na wroga. Odlupywane kawałki skały rozpryskiwały się wokół, gdy parł naprzód. Potwór cofnął się pod gradem uderzeń; ale jego łapa, zakończona czterema kamiennymi szponami, spadła na hełm rozszalałego rycerza. Blacha wygięła się i Erlof na chwilę stracił równowagę. Padając rozpaczliwie pchnął od dołu. Poszczerbiona klinga ześliznęła się po ciele bestii, gigantyczne ramiona rozwarły się, aby zmiażdżyć rycerza w uścisku, lecz Erlof ostatkiem sił skoczył w bok.

Demon obrócił się. Rycerz ciężko dysząc, oparty o sarkofag ujrzał raptem tuż przed sobą spowitą prochem rozsypującej się tkaniny czaszkę Monevora. Przed oczyma błysnęły mu rozwarte w trupim grymasie szczęki i zamknięte oczy zmarłego. Od widoku tych szczątków spadło na Erlofa takie znużenie, strach i zwątpienie, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył. Zrozumiał, że jeszcze chwila, a zginie i wówczas znów zadźwięczały mu w uszach słowa Arstata. Otrząsnął się z martwoty i ciało potężnie. Ostrze przeszło i strzaskało żółtki szkielet; pękła i rozpadła się czaszka pokryta zaszuszoną skórą, a miecz zagrzeżał o dno kamiennej trumny.

Wiedziony instynktem przetoczył się w kąt sali; broń wypadła mu z ręki. Wsparty na łokciach leżał wpatrzony w koszmara rozgrywający się na środku pomieszczenia. Niezwykła jasność wydobywała się z sarkofagu. Białe światło oślepiło tak straszliwie, że musiał mrużyć oczy. W kręgu niesamowitej poświaty zjawiała się postać w czarnych szatach, która po chwili rozwinęła się jak dym. Zapadły ciemności, a ściany i podłoga zadrżały gwałtownie; złowieszczy ryk wypełnił powietrze, z sufitu zaczęły sypać się odłamki muru, wypełniając salę pyłem, kurzem i hałasem. Posadzka dygotała coraz gwałtowniej, on zaś leżał oszłamiony nagłośnią wydarzeń.

Na ziemię zaczęły walić się posągi, grube płyty ze ścian i w końcu wielkie odłamy skalne. Tracił już świadomość, gdy nagle pod wpływem wstrząsów zapadła się jedna z kaset pokrytych płaskorzeźbami ukazując schody.

Nie wiedział kiedy i jak zerwał się i podniósł miecz. W chwilę potem pędził w górę po zakurzonych stopniach. Wszystko dokoła dygotało coraz gwałtowniej. Głuchy huk, dobiegający z dołu, nabral jeszcze większej siły, gdy Erlof dotarł do wielkiej, kamiennej płyty u szczytu schodów. Uchyliła się pod jego naporem, otwierając drogę do komnaty pełnej zwałów gruzu. Także tu, na powierzchni, wyczuwało się drżenie gruntu, toteż nie bacząc na nic Erlof puścił się pędem w kierunku jaśniejszego prostokąta drzwi. Przebiegł przez kilka pomieszczeń, aż w końcu niby we śnie wypadł na pomniejszy dziedziniec, wbiegł do ciemnego przejścia i pognął ku bramie.

Była najciemniejsza godzina przed świtem. Księżyc wiszący ponad lasem rysował w ciemności kształt fortecznego muru, nie rozjaśniając jednak placu porośniętego drzewami. We wrotach nie było kraty, nie widać też było ciała Arstata. Czując jak dusi go walące mocno serce, Erlof przemknął przez bramę, zbiegł na dół wąską ścieżką pomiędzy drzewami i, gdy był już w lesie, upadł. Za nim rozległ się głuchy grzmot jakby burzy przetaczającej się po niebie. Zabrzmiął gwałtownie, a potem zapanowała cisza.

W mroku otaczającym Erlofa zadrgał płomień. Coś pozbawiało go spokoju, wyciągało z koszmaru. By wciągnąć w nowy? Najpierw uczył czyjeś palce zaciśnięte na ramieniu, potem gwar głosów dookoła. Poczul, a potem zobaczył promienie słońca padające na twarz.

Otworzył oczy. Otaczali go skrzydlaci wojownicy w połacanych zbrojach.

– Przecież to rotmistrz Erlof – powiedział znajomy głos. Spojrzał w jego kierunku i dostrzegł obrysowaną słońcem postać rycerza.

– Onotheon – wyszeptał.

– Erlof! – krzyknął ktoś znowu.

Jeszcze sekunda i Erlof trzymał w ramionach ciało Dyany.

Onotheon chrząknął i zdziwiony powiódł wzrokiem po okolicy. – Twoja kobieta – mruknął widząc, że Erlof patrzy na niego wyczekująco – sprowadziła nas tutaj. Jechałem do Cleynor; znaleźliśmy ją zemdloną na drodze. Gdy przyszła do siebie, zaczęła błagać o pomoc. Pośpieszyliśmy na wskazane miejsce, lecz chociaż wielokrotnie przeszukiwaliśmy cały las, znaleźliśmy cię dopiero teraz. Co tu się właściwie stało?

– Czarna Cytadela – odparł Erlof. – Trafiliśmy do Czarnej Cytadeli. Revor, Arstat, Hellegren i Thorvald nie żyją. Jej udało się uciec, a ja zniszczyłem ciało Monevora, władcy Tavonu.

Onotheon z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Mówisz jak obłąkany. Nie widzę tu żadnej cytadeli – powiódł ręką po okolicy, a rycerz urażony jego niedowierzaniem, spojrzał na południe i zdębiał. Nie widział niczego oprócz falującego jednoznacznie lasu.

– Tam były ruiny zamku! – rzucił oniemiały. – Przecież chcieliśmy zatrzymać się tam na noc!

– Nie ma żadnych ruin – przerwał Onotheon. – Nigdy nie słyszałem, aby były w tej okolicy.

Erlof wstrząsnął głową.

– Niczego nie rozumiem – powiedział. – Tam stała Czarna Cytadela, siedziba króla, którego państwo podbili nasi przodkowie. W odwecie jego duch zabijał wszystkich, którzy tam trafili. Zniszczyłem go i, choć to dziwne, nie mam pewności, czy postąpiłem słusznie. – Urwał, a jego wzrok padł na powiewającą nad oddziałem chorągiew z godłem Paleodii. – To wszystko wydaje się snem – dodał cicho i ukrył twarz w dłoniach.



Ta nieobliczalna młodość (1)

Zastanawiałem się właśnie, czy dzisiaj w „Fantastyce” dałoby się zamieścić utwory, które prezentowaliśmy Czytelnikom w pierwszych numerach naszego pisma. Chodzi mi oczywiście o rodzimą twórczość, ponieważ zagraniczną znacznie łatwiej było dobrać i pasowałyby właściwie całkiem dobrze do wielu dzisiejszych numerów. Tacy na przykład George R.R. Martin, Lester del Rey lub John Varley – ich światowa kariera nie ulega wątpliwości ani nie podlega większym wahaniom popularności.

Gorzej jednakże byłoby już ze Strugackimi, a nie wiem, czy udałoby się nam wzbudzić czytelnicze zainteresowanie jakimiś ówczesnymi – jakże ten rok 1982 już od nas daleko – utworami bułgarskimi, czeskimi, czy rumuńskimi, a przecież takie się także u nas zdarzały i były dobierane często spośród rzadkiej w wymienionych krajach literatury kontestującej lub bliskiej celom kontestacyjnym. Polską dobieraliśmy zresztą też na tych samych zasadach. Nawiasem mówiąc, nie mogę wyjść z podziwu nad karierą Strugackich w USA czy w RFN (jeśli wydrukowanie paru tytułów jest w ogóle karierą), chyba zadziałał, jak to często zdarza się na Zachodzie, „potworny urok” sowieckiej potęgi, a zwłaszcza fakt, że wśród stalinowskiego czy postalinowskiego gniotu ktoś ośmielał się mniej lub bardziej nieśmiało przemycać treści przeciwne panującemu twardo i bezwzględnie systemowi. Niestety, inną widać miarę przykładu Zachód do mniejszych krajów; polska SF, ta kontestująca, zwłaszcza zajdlowska, nie zdobyła przecież światowych rynków.

Rynek zdobył natomiast Stanisław Lem, gdyż na Zachodzie jego uniwersalizm materialistyczny trafił w samo sedno. Romantyczna reakcja na twardą SF nadeszła dopiero wkrótce potężną falą okrutnej baśni – fantasy, a film conanowski ugruntował jej powodzenie, spychając twardą i dość bezbożną fantastykę (z Żelaznym włącznie) na drugi plan.

A polska fantastyka, polscy twórcy? Zaczął się nimi zajmować Maciej Parowski, nie mając ani specjalnie przychyłnej atmosfery załogi, ani dobrze rozpoznanych źródeł. Były więc ogromne trudności ze zdobywaniem sławnych nazwisk, zresztą on sam pragnął zapewne być sławny i ciągle jeszcze zajmował się własnym pisarstwem. Starzy się nie kwapili, ani on się do nich nie bardzo kwapił, zaś młodych istniało wówczas tylu co na lekarstwo, a może jeszcze mniej. W pierwszym numerze poszły na razie kontestujące rzeczy Drzewińskiego i Lipki – na owe czasy strzał w dziesiątkę, w drugim też kontestujący Ziemiański, w trzecim wystartował sam Parowski. W czwartym był niezwykle udany debiut Baranieckiego, jego „Karlo gozina 18.00”. Potem poszedł Ziemiański ponownie i debiutował Kochański.

Dalej Popiss i Wolski. Równocześnie, już w pierwszym numerze, ogłosiliśmy nieustający konkurs literacki, nie spodziewając się jego zaskakujących plonów i wielkiej przemiany, powiedziałbym nawet czarodziejskiej przemiany Parowskiego. Trudno by mi jednak było rozpatrywać obydwa zjawiska oddzielnie. Konkurs stał się kopalnią tekstów i talentów, ale talenty te nie zostałyby ujawnione pełniej lub w ogóle bez głębokiej ingerencji naszego Maćka. W pewnym momencie zrozumiałem, że ten człowiek, sam nie pozbawiony zdolności twórczych, ale jednocześnie wyposażony w ostry niuch krytyka literackiego, pełen więc kompleksów w stosunku do własnego pisarstwa, całe swe znawstwo i umiejętności przerzuca czy poświęca młodym, co zdolniejszym autorom. Doradza im, proponuje zmiany w ich opowiadaniach, zmienia je, czasem nawet wymyśla do nich zakończenia. W ten sposób własny talent, własne szanse rozmienna na drobne.

Gdyby mi kazano pomyśleć, przypomnieć sobie drugi taki przykład poświęcenia, oddania się w literaturze na usługi innym, dzielenia się z nimi niejako własnym chlebem, nikogo podobnego nie znalazłbym wymienić, nikogo takiego nie znałem, o nikim takim nie słyszałem. Czy zdawał sobie sprawę z tego, co właściwie robi, czy miał precyzyjną świadomość swojego posłannictwa – nigdy go o to nie pytałem. Wydaje mi się jednak, że takiej świadomości nie było, że nie uważał, iż pomagając innym przeszkadza samemu sobie. I wydaje mi się, że taki jest po dziś dzień.

Użyłem tu słowa posłannictwo, bo w przypadku działacza Macieja Parowskiego ono tu jest bardziej adekwatne niż jakieś tam poświęcenie. Nie była to droga bynajmniej różami usłana, niektórzy szczerze przez niego obdarowani mieli pretensje za to, co dla nich uczynił, uważając, że ich zanadto odmienił, zrobił innymi niż być chcieli, albo że przez niego poszli drogą, jakiej wybrać w ogóle nie mieli zamiaru. Mogę bez najmniejszej nawet przesady stwierdzić: lwią ich większość źle się wybrała z tymi do niego pretensjami. Jako że bez jego pomocy nie potrafiliby w ogóle znaleźć odpowiedniego wyrazu dla swych myśli i poglądów.

Myślę, że bez Maćka Parowskiego nie istniałaby w ogóle większość tych młodych autorów, którzy ugruntowali niezłą opinię polskiej młodej fantastyki na łamach – mówię to z dumą – pierwszego i ciągle jeszcze przodującego magazynu literackiego tego gatunku, nie tylko na wschodzie czy w środku Europy. Wyginęła większość fantastycznych magazynów europejskich, mimo luksusowych warunków wydawniczych, za to pod wpływem naszego pisma powstało kilka niezłych w naszej części kontynentu. Co najważniejsze, zaczęto także naśladować nasz sposób zdobywania młodszej pisarskiej generacji!

I na razie przerywam, ale to jest tylko pierwsza częśćka o losach naszego pisarstwa fantastycznego, które dalej się rozwija pod ręką mistrza Macieja!

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

Ziemiański Andrzej (ur. 1960)

Architekt, autor SF

Urodził się 17 lutego 1960 r. we Wrocławiu. W 1983 r. ukończył Wydział Architektury Politechniki Wrocławskiej. W latach 1984-1985 pracował w Instytucie Architektury i Urbanistyki PW, następnie w Instytucie Budownictwa Rolniczego Akademii Rolniczej we Wrocławiu.

Jako autor SF debiutował na łamach „Sigmy” w 1979 r. Jego opowiadania ukazywały się w „Młodym Techniku” („Ghost”, współautor Andrzej Drzewiński, nr 4/83) i „Fantastyce” („Zakład zamknięty”, nr 2/82). Swoje teksty zamieszczał również w antologiach: „Bunt robotów” (Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki i Fantastyki Naukowej, Gorzów Wlp. 1980), „Spotkanie w przestworzach” (KAW, Warszawa 1986, t.4.). W 1981 r. jego słuchowisko „Człowiek, który nie potrafi umrzeć” zostało wyróżnione w konkursie zorganizowanym przez teatr Polskiego Radia. W 1985 r. ukazał się autorski zbiór opowiadań „Daimonion” (Is-

Dwie rzeczy uderzyły go na wstępie: mała ilość ludzi na chodnikach i ogromny ruch pojazdów, kursujących prawie bezgłośnie.

– Pójdziemy dołem, czy górą? – zastanowiła się Teresa.

– Co to znaczy?

– Prawda, że ty nic nie wiesz. Ulice główne są – jakby to powiedzieć – dwupiętrowe w dół. Tutaj górą kursują samochody, autobusy, w ogóle tędy idzie główny ruch kołowy. Na chodnikach widzisz tylko tych, co mieszkają w pobliskich domach i muszą do nich dojść, albo którzy mają interes do jednego z licznych tu sklepów czy biur.

– A reszta przechodniów?

– Cały ruch pieszy odbywa się o piętro niżej. Tam są szerokie trotuary, bo tylko sam środek zajmują tory tramwajowe i autobusowe. To bardzo ważne na skrzyżowaniach. Dlatego tak rzadko zdarzają się wypadki przejechania. Tory też są oddalone od chodników i przejście jest dozwolone tylko przy przystankach.

– Cóż jest na drugim piętrze?

– O tam jest przede wszystkim metro. A obok niego rury kanałowe, wodociągowe, wszelkie inne przewody, poczta pneumatyczna i jeszcze jakieś urządzenia, których przeznaczenia nie umiem ci powiedzieć. Jak tam miło w lecie! Zawsze chłodno. A w zimie to znowu ciepło. (...)

Dochodzili właśnie do palacu Raczyńskich. Stał, jak za dawnych czasów, z pawilonami w pięknej bramie. Przy nim z tej strony, a przy Radzie Ministrów z drugiej urywała się ulica.

– Gdzie Bristol? Gdzie Europejski? – pytał zdumiony, olśniony nieoczekiwanym a wspaniałym widokiem. – Co to za plac?

– Plac Zwycięstwa, jak wiesz, dawny Saski.

Tam, gdzie ongiś stały dwa skrzydła Pałacu Saskiego, wznosiły się teraz dwa gmachy podobne stylem, ale znacznie wyższe. Połączone były galerią, przypominającą nieco dawniejszą, ale też wyższą i w gór-

słownik polskich autorów fantastyki

kry, Warszawa; zawartość: Reguły gry, Twarze, Port, Daimonion, Koloryt lokalny, Zakład zamknięty, Czekać na barbarzyńców, Blisko granicy), a w 1987 r. powieść „Wojny urojone” (Iskry, Warszawa).

Twórczość Andrzeja Ziemięckiego jest próbą poszukiwania własnej formuły literackiej, świadectwem wyeksploatowania dotychczasowych motywów prozatorskich (postawa ironiczna w opowiadaniu „Ghost”) bądź rodzajem umownej lokalizacji świata, w którym rozgrywają się typowo ludzkie dramaty i konflikty („Zakład zamknięty”).

Ziemięcki Andrzej

(1881-1963)

Filozof, dyplomata,
dziennikarz, redaktor

Urodził się 25 sierpnia 1881 r. w Węglewiczach, woj. warszawskie. Ukończył Wydział Filozoficzny UJ, gdzie w latach 1906-1909 był asystentem prof. Jana Łosia. Od roku 1914 do 1916 studiował w Akademii Zespolowej w Wiedniu. Od 1916 r. pracował w firmie rolniczo-handlo-

wej „Pług” w Krakowie, w 1918 r. przeszedł do Banku Handlowego w Warszawie, w 1919 r. wstąpił do MSZ, był wicekonsulem w Bukareszcie. W 1928 r. uzyskał stanowisko dyrektora administracyjnego Ligi Morskiej i Kolonialnej, potem zajął się publicystyką gospodarczą (dziennikarstwem paraliżującym od 1906 r.); pracował jako felietonista w „Gazecie Handlowej”. Od 1934 r. zatrudniony w redakcji tygodników „Odnova” i „Zwrot”. W czasie okupacji był kolporterem pism Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Pracy. W latach 1945-1946 – redaktor w Wydziale Terenowym PAP. Zmarł w Warszawie 29 stycznia 1963 r.

W 1947 r. nakładem „Prasy Demokratycznej” ukazała się jego książka „Schron na Placu Zamkowym. Powieść o Warszawie z 1980 roku” (pierwodruk: „Kurier Codzienny”, 1947). Była to pierwsza powieść o tematyce fantastyczno-naukowej wydana w Polsce po II wojnie światowej. Książka opowiada o losach historyka Walewskiego, który podczas bombardowania Warszawy w roku 1945 zapada w sen letargiczny i w podziemnym schronie opancerzonym specjalnym materiałem – asbelitem przeżywa 35 lat, aby obudzić się w nowoczesnej, odbu-

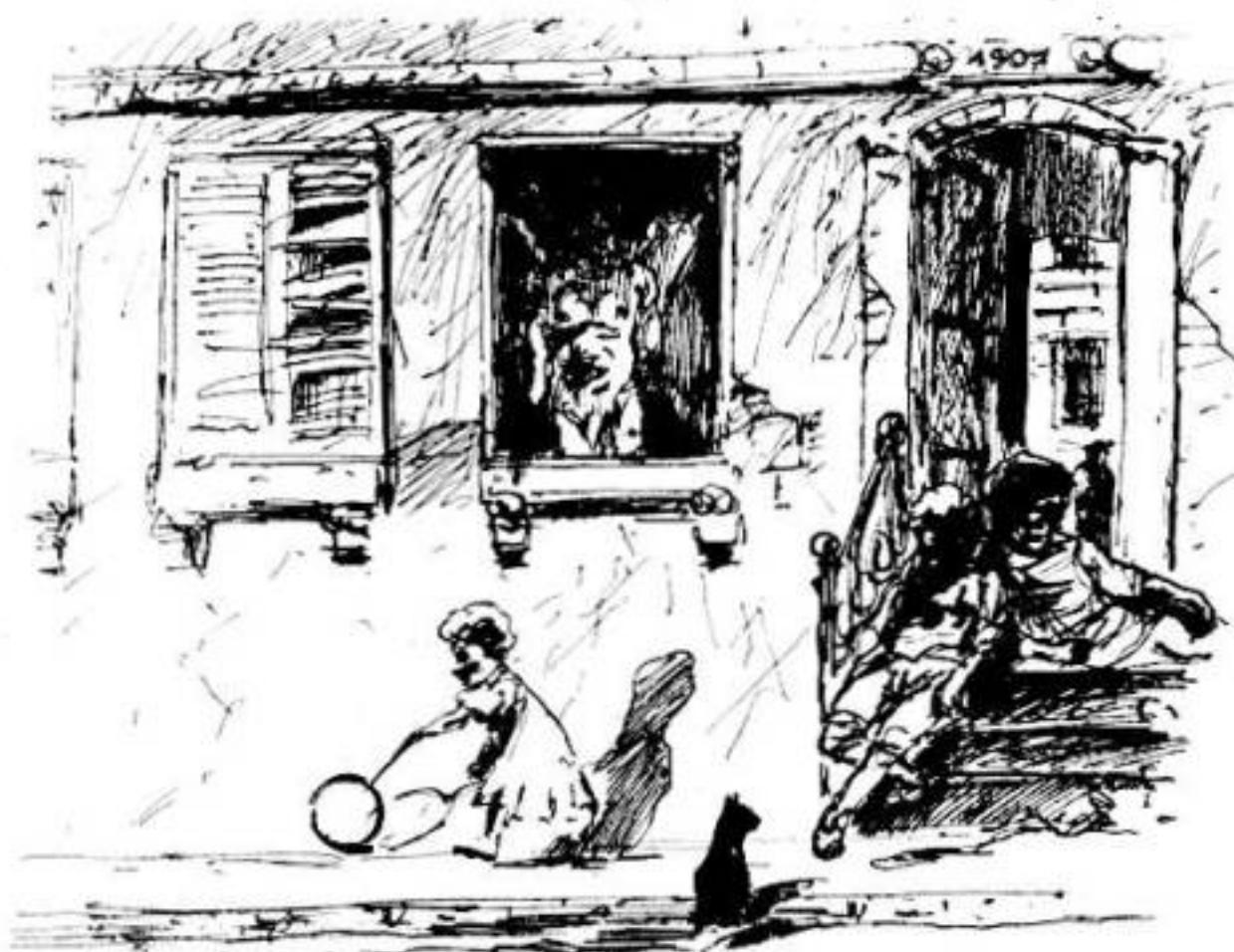
dowanej z gruzów i zniszczeń Warszawy. Walewski z trudem przystosowuje się do nowych warunków życiowych, określając swój status społeczny powołując się na sytuację starego człowieka z „trylogii księżycowej” Jerzego Żuławskiego. Cały utwór zawiera mnóstwo szczegółowych opisów stolicy, pejzaży wielkiego miasta – wysokich gmachów, przestronnych dzielnic mieszkaniowych, komunikacji powietrznej i lądowej, kanałów wodnych łączących Warszawę z Bałtykiem i morzami południowymi. Píše także Ziemięcki o podróżach na Marsa, o niezwykłych wynalazkach (zegarek-wideotelefon, automatyczny termometr, gazeta-telewizja). Powieść, zrealizowana wkrótce po wyzwoleniu, miała charakter dydaktyczny, służyła „pokrzepieniu serc” – jej cechą szczególną była nieco inna wizja przyszłego ustroju społecznego, aniżeli w utworach K. Wroczyńskiego i S. Lema, oparta na założeniach Rzeczypospolitej spółdzielczej zrodzonej w wyniku kolejnej wojny światowej.

Recenzje wybrane:

- M. Sadzewicz, „Stolica” 1970/10,
- Z. Klein, „Trybuna Ludu” 1970/255,
- „Dziennik Zachodni” 1947/290,
- „Książka” 1947/27,
- „Życie Częstochowy” 1947/75.

pożółkłe kartki

Jakub Szczęsny



Andrzej Ziemięcki

Schron na Placu Zamkowym

nym piętrze krytą. W jej środku, po staremu paliły się znicze nad grobem Nieznane- go Żołnierza.

Po prawej stronie piękna brama pałacu Brühlowskiego, który widniał w głębi tym lepiej uwydatniony, że pozbawiony owej trzypiętrowej przybudówki, w której mieściło się pierwotnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Po lewej stronie pendant, także brama i podobny pałac w głębi, już zupełnie wtulony w wielkie drzewa ogrodu Saskiego, którego zieleni łączyła się w tym miejscu z rzutem zieleni przed Zachętą, przeciętą tylko ulicą Królewską, wyglądającą tutaj jak aleja parkowa. (...)

Jerzy odwrócił się ku Wiśle. To był przeczucie do dawnej Warszawy. Z jednej strony stał pałac Potockich, zakończony kościołem Wizytek. Z drugiej utrzymana w stylu

kolumnada pałacu Kazimierzowskiego, a raczej jego oficyny, kończyła się grupą starych drzew. W środku zaś plac rozwiązywał się w szeroki wiadukt; rzucony linią prostą aż na przeciwny brzeg Wisły. Na prawo za kościołem w zgrabnym łuku odchodziły balustrady jakiegoś bocznego wiaduktu.

– Tam jest połączenie z Aleją na Skarpie – powiedziała Teresa, widząc, że Jerzy patrzy w tę stronę. – Śliczna jest, tam musimy też zająć.

– Najpiękniejszy plac w Europie... – szepnął prawie do siebie Jerzy. – Ja przynajmniej piękniejszego nie widziałem.

– Widzisz, tam przed grobem znowu stoi Książę Józef!

– Widziałem, od razu widziałem. Jeden z niewielu pięknych pomników w Warszawie.

– O, teraz jest ich dużo.
– To dobrze, bo pomniki to była czarna strona przedwojennej Warszawy.

– To musisz zobaczyć Zagłobę.

– Zagłobę?

– Tak, stoi na środku rynku Starego Miasta. Mówię ci, pyszny. Ma właśnie taką minę, jak na tym bondarskim weselu, kiedy mówi, że „chamy taki miód piją”.

– Oczywiście pójdziemy. Ale na to mamy czas. To blisko od nas, więc można wpaść każdej chwili. Na razie... A co ci ludzie tam robią?

– Czekają na windę. Zjeżdża wprost do kanału.

– Jakiego kanału? Co to nowego?

– Jak to, nie wiesz?

– Nie wiem.

– Prawda, że ty nic nie wiesz. Po całym Powiślu rozprowadzone są kanały spławne, a motorówki podjeżdżają pod same windy. Tych wind jest kilkadziesiąt, i osobowe i ciężarowe. Są takie, co zabierają największe samochody, napelnione towarami.

– A skądże idzie ten towar?

– Z całej Polski. Odkąd Wisłę uregulowano, to wszystkie dostawy dalsze, nie wymagające specjalnego pośpiechu, idą wodą. Dla nich wybudowano te kanały, a nad nimi składy i śpichrze.

– To pewnie przede wszystkim węgiel.

– Skądże węgiel! Węgla nie widzieliśmy już całe lata. Po co go wysyłać, kiedy on produkuje przy kopalni atomowej, a te są przecież łatwiejsze do transportu. Jeden samolot przywiezie w atomowcach energii tyle, co tysiące ton węgla, którego już są podobno tylko resztki.

Andrzej Ziemięcki, „Schron na Placu Zamkowym. Powieść o Warszawie z 1980 roku”, Wyd. Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa Demokratyczna”, Warszawa 1947, wybór ze stron 33-42.

Przygotował Andrzej Niewiadowski

Co musi zrobić nowe wydawnictwo, aby z impetem wkroczyć na rynek księgarski? Na pewno nie może odżegnać się od fantastyki. Próbując w 1982 roku przełamać monopol wydawniczych gigantów, ALFA jako pierwsza w Polsce odwołała się do gustów masowego czytelnika, bez fałszywego wstydu sięgnęła po literaturę popularną i rozrywkową.

Kryzys ogólny trwał, w księgarniach więcej było klientów niż atrakcyjnych propozycji. W rynkowej pustce interesujący tytuł o dużym nakładzie momentalnie stawał się wydarzeniem. Taki też los spotkał pierwszy tom nowej serii – Biblioteki Fantastyki. Dzięki stagnacji innych uznanych serii ALFA błyskawicznie wypracowała sobie niezłą renomę i dużą popularność.

Biblioteka Fantastyki



(Wydawnictwo ALFA)

Małgorzata Skórska

O cechach rozpoznawczych

W Bibliotece Fantastyki ukazało się do tej pory 21 tytułów. Seria posiada numerację, choć jest niejednolita gatunkowo – prezentuje science fiction, fantasy i weird fiction. Obok numeru tomu znajduje się zawsze oznaczenie gatunkowej przynależności (SF, F, WF). Każda z tych podserii posiada osobny znak graficzny.

Pod względem edytorskim poziom BF jest zdecydowanie zadowalający. W kolejnych tomach znajdują się spisy dotychczas wydanych pozycji i zapowiedzi nowych tytułów, co bardzo ułatwia czytelnikom orientację. BF wyróżnia się też wizualnie. Interesujące ilustracje na okładkach posiadają wyraźną dominantę kolorystyczną i – oprócz nielicznych niewypałów – podkreślają charakter serii. Na grzbietach książek Biblioteki Fantastyki znajduje się znak firmowy Wydawnictwa ALFA, tytuł oraz numer z literowym oznaczeniem gatunku. Na okładkach science fiction (znak graficzny – stylizowane litery SF wpisane w kwadrat) przeważa kolor czarny – czarny jest tył książki, jej grzbiet i czasem jeszcze część, gdzie widnieje tytuł na okładce. Na odwrocie znajdują się notki o autorach, najczęściej uzupełnione zdjęciem. Od SF nieco różnią się pozycje fantasy (znak graficzny – miecz wpisany w koło). Są przede wszystkim bardziej kolorowe, ilustracje obejmują całość okładki, ale ilość nie przeszła w jakość – utwory fantasy charakteryzują się tandetną szatą graficzną. Obrazki wyparty notki o autorach, za to książki te posiadają posłowania lub przedmowy o charakterze informacyjnym. O weird fiction trudno na razie coś konkretnego powiedzieć. Jako numer 19 ukazała się dopiero pierwsza pozycja; znak graficzny – czarny nietoperz.

O niepokojącej zmienności

Pomimo wielu plusów ALFA nie ustrzegła się paru grzechów głównych polskich wydawnictw. Trzynastą pierwszą pozycję ukazała się w formacie kieszonkowym (B6), następne niespodziewanie urosły

do formatu A5. Każdy kolekcjoner książek wie, jak takie niespodzianki drażnią i boją. W kwestii szaty graficznej ALFA wykazuje zmienność iście kobiecą. Można to zrozumieć na początku, gdy próbowano wypracować optymalny wariant okładki, ale ostatnia wersja wydawała się całkiem zadowalająca. Okazało się jednak, że trwają właśnie prace nad nową szatą graficzną serii, zmianie ulegną również znaki graficzne. Ponoć ma to związek z modernizacją Wydawnictwa i dążeniem, aby książki były nowocześniejsze wizualnie oraz bardziej atrakcyjne.

Trochę statystyki

Osiem pozycji BF to zbiory opowiadań, trzynastą – powieści. Tylko jedna z książek Biblioteki Fantastyki należy do literackich horrorów, cztery można uznać za literaturę magii i miecza, przytłaczająca wię-



kszość zalicza się do SF. Z zapowiedzi wynika, że proporcje te będą równoważne, szczególnie na korzyść fantasy.

W serii ALFY znalazły się trzy propozycje polskie, jedna włoska, jedna niemiecka, dwie rosyjskie, a czternaście książek pochodzi ze sfery anglojęzycznej.

Czas powstania utworów również nie wprowadza jasnego uporządkowania. „Eryk Promiennooki” powstał w latach dwudziestych, ale jest odtworzeniem staroislandzkich sag z pierwszego tysiąclecia naszej ery. Trzy tomy przygód Conana też nie należą do najświeższych, gdyż Wydawnictwo sięgnęło po pierwsze z utworów opiewających czyny tego legendarnego herosa. Science fiction, nie stro-

niąca od pozycji klasycznych, prezentuje się znacznie aktualniej.

W Bibliotece Fantastyki ukazał się jeden debiut – zbiór opowiadań Ziemkiewicza. Znowu „Człowiek z mgły” Borunia to wznowienie utworów publikowanych gdzie indziej. Natomiast „Dziesiąte podejście” McIntosha jest pierwszym zbiorem opowiadań tego autora. Dopiero ALFA pokusiła się o skompletowanie jego licznych utworów porzucanych po czasopiśmie.

O wydawniczych zamierzeniach

Jak widzą swoją serię jej redaktorzy? Marek Nowowiejski twierdzi, że Biblioteka Fantastyki ma prezentować szeroko rozumianą fantastykę, wszystko to, co ciekawego powstało w tej literaturze, ze szczególnym nastawieniem na utwory anglojęzyczne. ALFA chętnie zwiększyłaby liczbę polskich publikacji, ale nie bardzo jest w czym wybierać. Choć niektórzy uznają to za truizm, w polskiej fantastyce faktycznie trwa głęboki kryzys.

Utwory fantastyczne ALFY ukazują się nie tylko w BF. Seria z Tukanem oferuje najambitniejsze utwory fantastyczne, z kolei „Sensacje! Romans! Przygoda!” – te najbliższe literaturze przygodowej, okultystycznej, wagonowej. Założeniem głównym jest to, że BF publikuje utwory typowe, dające się bez problemu zakwalifikować, podczas gdy pozycje sytuujące się na pograniczach znajdują miejsce w innych seriach. Bibliotekę Fantastyki uzupełniają Dawne Fantazje Naukowe. Z tego powodu seria prezentuje utwory SF powstałe po roku 1939. W wypadku fantasy i weird fiction podział taki nie ma miejsca, BF pragnie oferować całą klasykę tych gatunków.

O wydawniczych niewypałach

Największym niewypałem Biblioteki Fantastyki są zapewne dotychczas opublikowane pozycje fantasy. Nie mam nic przeciwko sagom, ale akurat „Eryk Promiennooki” jest ich wyjątkowo nieudaną trawestacją. Nudna, infantylna narracja i brak jakichkolwiek niespodzianek to cechy charakterystyczne utworu Haggarda. Trudno też napisać coś dobrego na temat przygód Conana. Nieudolny, stylizowany na karykaturę staropolszczyzny przekład uniemożliwia niemal lekturę. Sam pomysł wydania opowieści o Conanie nie jest zły, pomimo braku wartości literackich polski czytelnik powinien mieć możliwość zapoznania się z tym mitem pop kultury, ale chyba jednak nie w takiej formie, jak zaproponowała ALFA. Oczywiście przygody Conana błyskawicznie znikły z księgarni i taki był zapewne główny cel Wydawnictwa, które nastawia się na literaturę popularną i zaspokajanie gustów masowego czytelnika.

Niski poziom utworów fantasy prezentowanych przez BF ma przyczyny prozaiczne. Na początku ALFIE nie szło jak po maśle, m.in. Wydawnictwo nie mogło dokonywać zakupów za dolary. Stąd chyba

serie wydawnicze

Dawne Fantazje Naukowe i sporo utworów, delikatnie mówiąc, zleżałych. Na starcie wizerunek serii bardziej zależał od możliwości finansowych niż redaktorskich planów. Marek Nowowiejski twierdzi, że wiele pomysłów dopiero teraz ma szanse na realizację, dopiero teraz seria może stać się wypadkową gustów jej redaktorów i czytelników. Odmiana da się odczuć szczególnie w wypadku fantastyki. W planach są: Tanith Lee – „Czarnoksiężnik z Volkyanu”, Greg Bear – „Koncert nieskończoności”, Poul Anderson – „Dzieci wodnika”, Fritz Leiber – „Miecze i ciemne siły”, Tanith Lee – „Demon śmierci”, część pierwsza „Opowieści z płaskiej ziemi”.

Pod znakiem czarnego nietoperza

Pojawienie się oznaczonej numerem 19



książki z gatunku weird fiction było zapewne dla wielu zaskoczeniem, bowiem horror do tej pory rzadko gościł w naszych księgarniach. ALFA chce uzupełnić te braki. Nie będzie to trudne – na polskiego czytelnika czeka cały kanon, wszystkie wybitne pozycje tej literatury.

Umieszczenie weird fiction obok SF i fantastyki jest zamierzeniem całkowicie planowym. ALFA próbuje rozszerzyć pojemność terminu fantastyka i horyzonty fanów tej literatury. Świadomość odbiorców w przeważającej mierze kształtuje polityka wydawnicza. W ZSRR jedyną tolerowaną i popieraną odmianą fantastyki była science fiction. W Polsce zjawisko to na pewno nie nabrało takiej drastyczności, ale wieloletnie preferencje wydawnicze wydają się jasne. Na świecie tymczasem na równych prawach współistnieją najrozmaitsze odmiany fantastyki. W księgarniach już rozpoczął się zalew horroru, fantastyki, literatury okultystycznej itp. Nam pozostaje liczyć na jak najwyższy poziom tych książek.

W tym kontekście zaskakuje pierwszy tytuł literackiego horroru BF. Mamy do odrobienia cały kanon weird fiction, a ALFA prezentuje książkę autora polskiego, choć nasi rodacy nigdy nie specjalizowali się w literaturze grozy (może oprócz mistrza Grabińskiego). Co ciekawsze,

„Preraźliwy chłód” Jerzego Siewierskiego jest napisany sprawnie, z dużą znajomością konwencji. Niestety, powieść ani przez moment nie potrafi czytelnika zaskoczyć, zdziwić, przestraszyć. Odrzut z eksportu?

W przyszłości ALFA zamierza zaprezentować „Dziwny, wysoki dom we mgle” Lovecrafta i wznowienie dzieł Grabińskiego.

Krótki przegląd SF

Utwory SF dominowały do tej pory w Bibliotece Fantastyki – na 21 tytułów jest ich aż 16. Wiele z nich prezentuje fantastykę pozbawioną raczej technicznych szczegółów, futurologicznych prognoz i naukowych rozważań. Więcej w nich treści humanistycznych, nastawienia na antropologię, etnografię, opisy obcych form życia

Krzysztof Boruń

Człowiek z mgły



i kultur. Tak np. „Sfery” Piersa Anthony’ego (pozycja 21 BF) wyczarowują przed czytelnikiem kosmos barwny i pełen rozmachu. Główny bohater, Flint z Najdalszej, przekazuje mieszkańcom różnych sfer tajemnicę transferu osobowości w obce ciało. Misja ta ma pomóc w ratowaniu galaktyki przed zagładą. Powieść dzieli się na kolejne odsłony, transfery, kolejne starcia Flinta. Ale galaktyczne konflikty stanowią tylko jedną warstwę „Sfer”, równorzędną płaszczyzną są opisy form życia i ich wyglądu, zwyczajów oraz sytuacji wynikających z braku porozumienia. Wszystkiemu patronuje przesłanie o tolerancję dla odmienności.

„Wojna skrzydlatych” Poula Andersona (nr 1 BF) i „Szpital kosmiczny” Jamesa White’a (nr 7) są wariacjami na te same tematy: różnorodności form istnienia i tolerancji koniecznej we wszelkich sytuacjach. Humanistyczną problematykę eksploują również „Pomnik” Lloyda Biggle’a (nr 4) i „Po drugiej stronie nieba” Edmunda Coopera (nr 8); pierwsza zajmuje się przede wszystkim ekologią, druga kosmiczną etnografią.

Fantastyka socjologiczna zajmuje w serii pozycje raczej peryferyjne, a utwory ją prezentujące trudno uznać za sztywne dla tego gatunku: opowiadania „Księżyc dwudziestu rąk” oraz mikropo-

wieść „Zaćmienie” Lino Aldaniego, popularnego twórcy włoskiej SF. Konstrukcja „Zaćmienia” nieodparcie przypomina pisarstwo Zajdla: statek kolonistów mknący przez przestworza okazuje się wyłącznie atrapą, fikcją pozwalającą utrzymać tysiące ludzi w bezwzględny posłuszeństwie. Porównanie polskiego social fiction z włoskim odpowiednikiem wypada zdecydowanie na naszą korzyść, choć w kontekście BF twierdzenie to wcale nie jest takie oczywiste. Druga pozycja tego gatunku w BF to „Władca szczurów” Rafała A. Ziemkiewicza (10), zbiór opowiadań z lat 1981-83. Brak suspensu, nieumiejętność dramatycznego zakończenia utworów wyraźnie wskazują na warsztatowe braki młodego wtedy autora.

Bardzo wcześnie w Bibliotece Fantastyki pojawiła się twórczość radziecka.



„Ślimak na zboczu” (numer 3 BF) należy do ciekawszych i ambitniejszych powieści Arkadija i Borysa Strugackich. Ta metaforyczna, wielowarstwowa książka może rozczarować zwolenników taniej rozrywki. Akcja toczy się dwutorowo na planecie porośniętej tajemniczym lasem. Bohaterowie Kandyd i Perec obrazują najogólniej pojętą kondycję człowieczą, nieustanne ludzkie zmaganie ze strukturami, które nas przerastają. ALFA jeszcze raz sięgnęła po twórczość Strugackich: w tomie 16 ukazały się dwie krótkie powieści – „Daleka Tęcza” i „Próba ucieczki”. Tym wczesnym utworom daleko jednak do wartości i głębi „Ślimaka na zboczu” – wiele w nich naiwności i taniej propagandy.

Pełne głębokiej refleksji utwory Strugackich przywodzą na myśl inny tytuł BF – „Łowcę śmierci” Iana Watsona (nr 9). Utwór ten należy do moich ulubionych książek – prezentuje fantastykę dojrzałą, wzbogaconą o filozoficzne dociekania i problemy, jest napisany sprawnie, z dużą świadomością literackiego tworzywa. Te poważniejsze pozycje nie wpływają jednak na całokształt wizerunku serii, której początki wyraźnie stoją pod znakiem fantastyki przygodowej, łatwej i przyjemnej. Jednak po opublikowaniu trzech tomów opowieści o Conanie charakter Biblioteki

krytycy o fantastyce

Jedna z moich ulubionych teorii polega na tym, że życie człowieka jest bardzo krótkie, znacznie krótsze, niżby to wynikało z kalendarza. Moje własne życie, jak oceniam, będzie trwało pięć do dziesięciu minut, może dwadzieścia, jak mi się poszczęści.

Barrington J. Bayley

Nauka, religia i idea science fiction, czyli gdzie byśmy byli, gdyby nie Hitler

Nielatwo jest ściśle określić, z czego się ten czas składa poza tym, że tworzą go rzadkie chwile „wewnętrznej powagi”. W takich momentach rzeczywistość nabiera znaczenia, które pamiętamy, ale którego nie odczuwamy w innym czasie. Są to decydujące chwile naszego życia. Wtedy utrwala się wpływy, ustalają kierunki, wtedy osiąga się poczucie pewności. Normalny tok naszego życia przypomina natomiast wielowiekowe trwanie wielkich religii. Zajmujemy się tym lub owym, ulegamy swoim skłonnościom, ale ogólnie wszystko ma nawykowy, rytualizowany charakter.

Proszę teraz uważać, bo zdradzę bardzo osobistą tajemnicę – opowiem o pierwszej minucie mojego pięciominutowego życia.

W istocie, jest to jedna z najpospolitszych opowieści w kulcie science fiction, bo sądząc z różnych autobiograficznych not większość ludzi, którzy to czytają, przeżyła coś podobnego. Zdarzyło mi się to w wieku lat sześciu i było poprzedzone tym, że ojciec niósł mnie do domu na ramionach w gwiazdzisty wieczór. Spojrzałem w niebo i spytałem rodziców, co to jest księżyc i gwiazdy. Jak przystało przedstawicielom angielskiej klasy pracującej nie potrafili mi odpowiedzieć i nie zdradzali żadnych oznak, że sami kiedykolwiek zadawali sobie to pytanie. Matka z właściwą matkom chytrą zasugerowała, że bym szybko nauczył się czytać, to będę mógł sam się dowiedzieć.

W rezultacie, o ile dobrze pamiętam, szybko nauczyłem się płynnie czytać. Matka mi w tym pomogła znajdując w popularnym wówczas ilustrowanym czasopiśmie „Picture Post” artykuł o księżycu. Pewnego wieczoru zostawiono mnie sam na sam z tym artykułem, podczas gdy rodzice poszli do kina.

Jak dziś pamiętam tę scenę: mały pokój w tymczasowym wojennym mieszkaniu i ja, klęczący na podłodze przed pisem rozłożonym na kanapie. Artykuł wyjaśniał, że Księżyc jest innym światem – jak Ziemia, tylko mniejszym i martwym, bez życia, bez ruchu, bez wody i bez powietrza. Artykuł był ilustrowany artystycznymi wizjami księżycza, tak jak go sobie wówczas wyobrażano, z urwistymi poszarpanymi skałami, atmosferą bezruchu, opuszczenia i tak dalej.

Byłem absolutnie oszokowany. To, co mną szczególnie, jak pamiętam, wstrząsnęło, to rozważanie świata nie tylko bez wody, ale i bez powietrza. Mogłem wyobrazić sobie nieskończone krajobrazy tego świata, skały, krater, wąwozy i równiny, wszystko w tej samej pozbawionej powietrza pustce, świat odrębny i różny od ziemskiego. Inny świat!

Wkrótce potem zacząłem oglądać w sobotnim kinie seriale o Flashu Gordonie i Bucku Rogersie. Te ich raketowe statki były nieprawdopodobnie podniecające, zwłaszcza kiedy przed lądowaniem na obcej planecie krążyły plując iskrami i wydając dźwięki pily tarczowej. Natychmiast przepytalem ojca w sprawie raketowych statków do podróży na inne światy, które, jak już wtedy wiedziałem, istnieją. Nie ma nic takiego, odpowiedział. To tylko fikcja; żadnych statków nie zbudowano.

Moje żalosne okrzyki „Ale dlaczego?” – w końcu go zdenerwowały. Nie mogłem tego zrozumieć. Wiedziałem, że podstawowe narzędzie do podróży w kosmos – silnik raketowy – już istnieje. Dopiero co skończyła się wojna, podczas której nieprzyjaciel kierował na nas tysiące V-2. Ojciec sam mi powiedział, że te pojazdy wznoszą się ponad atmosferę i spadają z prędkością trzech tysięcy mil na godzinę. (...) Najwyraźniej potrzebne były tylko jakieś udoskonalenia istniejącej maszynarii. Nie chciało mi się wierzyć, że chociaż podróże międzyplanetarne są w zasięgu ręki, nie robi się wszystkiego, żeby je zrealizować. Nie wiedziałem wtedy, że idee religijne często muszą działać w sposób pośredni.

Podczas swoich Kampffähre Hitler gdzieś powiedział, że jeżeli dojdzie do władzy, będzie popierał rozwój lotów kosmicznych. Była to jedna z tych obietnic, których dotrzymał niechętnie. (Ale samo zrozumienie idei podróży kosmicznej świadczy o nieprzeciętnej wyobraźni Hitlera na tle innych przywódców politycznych). Co mogło skłonić nazistów do przeznaczenia ogromnych środków na budowę pojazdu kosmicznego bez zastosowania wojskowego i o minimalnej skuteczności, kiedy znacznie skromniejsze nakłady na kierowane pociski ziemia-powietrze i powietrze-powietrze (nad którymi jedynie Niemcy prowadzili badania) mogły im przywrócić panowanie w powie-

Fantastyki ulega pewnej metamorfozie. Zmiana ta okazała się wysoce korzystna. Na przełomie roku 1988-89 Polskę zaczęła zalewać fala literatury komercyjnej. Na tym tle ambitniejszy repertuar BF, zapoczątkowany zbiorem opowiadań „Spotkanie z Meduzą” Arthura C. Clarke’a, wyróżniał się pozytywnie i czyni to chyba do tej pory.

Jako pozycja 15 pojawia się zbiór opowiadań „Dziesiąte podejście” J.T. McIntosha. Pod względem literackiej sprawności nie ustępują one utworom Clarke’a. Typowe pomysły (zagłada Ziemi, urlop na Marsie, antyutopijne wizje) nabierają rumieńców dzięki niebanalnym refleksjom i dowcipnym pointom. Zaraz potem ALFA prezentuje twórczość A.E. Van Vogta, amerykańskiego autora, mającego niebagatelny wpływ na rozwój SF. „Krypta bestii” przedstawia go jako mistrza fantastycznej grozy, twórcę budzących pierwotny lęk bestii i stworów. „Slan” (1946), jego pierwsza powieść, jest brawurową space operą o rasie nadludzi posiadających niezwykle możliwości.

W tym momencie, być może, aby zapobiec monotonii, jako pozycję 20 ALFA zaprezentowała książkę autora niemieckiego – opowiadania „Pielgrzymi czasu” Wolfganga Jeschkego. Tematyka tego zbioru oscyluje wokół czasu, jego meandrow i zagadek. Poziom opowiadań jest nierówny, ale dla dwóch doskonałych – „Bramy nocy” oraz „Król i lalkarz” – warto się z nim zapoznać.

Przyszłość SF w Bibliotece Fantastyki nie rysuje się różowo. W zapowiedziach niewiele tytułów z tego gatunku: John Brunner „Ruchome piaski” i Frederik Pohl „Poniżej horyzontu zdarzeń”.

Zamiast podsumowania

Niewielka ilość typowej science fiction w Bibliotece Fantastyki z jej koniecznymi akcesoriami – wynalazkami, technologiami, naukową ścisłością jest wyróżnikiem zbyt ogólnym, aby określić całą serię. Tendencja taka kształtuje obecnie światową fantastykę, nic więc dziwnego, że znalazła ona odbicie w BF.

Jakościowa ocena serii nastrocza trudności. Sporo w BF pozycji nieudanych i wydawniczych pomyłek, żeby wspomnieć tylko fantasy czy tom słabych opowiadań Borunia „Człowiek z mgły”, drukowanych wcześniej gdzie indziej. Obok nich pojawiają się utwory wartościowe i interesujące: BF zaprezentowała polski debiut powieściowy Watsona, przypominała znakomitą twórczość van Vogta. Pomyłki i trafione wybory wydają się w tej chwili równoważyć.

Można się zastanawiać, czy sprawdzi się niezwykle szeroka formuła Biblioteki Fantastyki. Czy łączenie gatunków mających ze sobą niewiele wspólnego da dobre efekty? Fantasy, SF, WF łączy przymiotnik fantastyczny, ale na tym w dużej mierze kończą się podobieństwa. Czy z czasem w serii tej nie powstanie wielki galimatias?

Małgorzata Skórska

krytycy o fantastyce

trzu, zwalniając jednocześnie na front wschodni olbrzymie siły zaangażowane w obronę przeciwności? Ta jaskrawie błędna polityka musi zdumiewać (choć z drugiej strony przedłużenie wojny wystawiłoby miasta niemieckie na bomby atomowe).

Szalenie u władzy; krwawi tyrani paranoicznie podejrzliwi w stosunku do sąsiadów; poządlivy prezydent usiłujący dla wzmocnienia prestiżu swojego kraju przyćmić tych tyranów – oto jacy ludzie wydawali polecenia budowy pojazdów kosmicznych i większość z nich pewnie wiedziała na temat Księżycy i planet nie więcej niż moi rodzice.

Ludzie ci nie byli oczywiście siłą motywującą te projekty; oni tylko, podobnie jak wydarzenia polityczne, których część stanowili, stwarzali sprzyjające okoliczności. Rozwój astronautyki jest doskonałym przykładem, jak idea może rozrastać się i wykorzystywać możliwości. (...)

Po tych wstępnych rozważaniach nie będzie zaskoczeniem, jeżeli powiem, że science fiction jest religią. „Religia” to nie najlepsze słowo ze względu na swoje skojarzenia, ale z braku lepszego, bardziej może socjologicznego, musi wystarczyć. Na poparcie swojej tezy przytoczę kilka obserwacji.

a. Autorzy i entuzjastyczni fanowie SF często mówią o „chwili olśnienia”, od której datuje się beznadziejne uzależnienie od literatury science fiction (zob. wypowiedź Briana Stableforda w *Foundation* 15. Stableford mówi o „zmianie perspektywy”, co jest dobrym określeniem jednego aspektu tego doświadczenia). Nawrócenie przez objawienie jest tym, co odróżnia „żywą religię” od religii funkcjonującej na zasadzie tradycji społecznej.

b. Można zauważyć, że świat dzieli się na tych, którzy „rozumieją” SF i na tych, którzy jej nie rozumieją. Zwykle ujawnia się to po kilku pierwszych minutach. Ktoś może nawet twierdzić z zapalem, że czyta SF, mruczając coś o Clarke’u i Asimovie, ale łatwo będzie poznać, że nie wie o czym mówi, że nie widzi światła i że czyta głównie Zane’a Greya lub coś podobnego. Może nawet użyć tego okropnego skrótu „sci-fi” ujawniając się jako skończony profan. Ze swoimi jednak następuje natychmiastowe porozumienie niezależnie od typu osobowości.

c. Miłośnik science fiction odczuwa wewnętrzną pewność, że zestaw koncepcji, przez które patrzy na świat i które z aprobatą znajduje w science fiction, jest w zasadzie prawdziwym obrazem świata. Ta pewność graniczy z religijnym przekonaniem i jest niezrozumiała dla tych, którzy jej nie podzielają.

Podział jak w punkcie „b” ma niewiele wspólnego z inteligencją, wrażliwością czy wyobraźnią. Większość ludzkości, a tym samym większość inteligentnych, wrażliwych i obdarzonych wyobraźnią ludzi, jest „ślepa na science fiction” w sensie, o jakim mówię, podczas gdy część najbardziej tępych i głupawych „ujrzała światło”.

Nazwanie science fiction religią może być przez niektórych uznane za ubliżające, ale nie leży to w moich intencjach, używam bowiem tego terminu w szerokim znaczeniu i widzę religie jako narzędzia historycznej ewolucji. Każda ideologia lub światopogląd wyznawany przez pewną liczbę ludzi jest w tym sensie religią. Wyobrażenie, że religia pochodzi od Boga lub zajmuje się Bogiem jest czysto zachodnim nieporozumieniem; na Wschodzie uważa się, że religia dotyczy człowieka i

przynajmniej jedna z ważniejszych religii – dżainizm (który zrodził się w tym samym czasie co buddyzm) – jest oficjalnie ateistyczna.

Widziałem na łamach „*Foundation*” spór o to, czy science fiction jest literaturą idei, czy nie. Otóż nie jest. Science fiction jest literaturą jednej wielkiej Idee, a wszystkie inne są od niej pochodne. Tą ideą jest Nadrzędna Idea naszego czasu. Trudno nazwać ją jednoznacznie, ale ci, którzy to czytają, potrafią ją poznawać i cenić: to idea objawiona, idea kosmosu objawionego przez naukę. Pociąga ona za sobą przede wszystkim rozszerzenie świadomości – na głębie przestrzeni kosmicznej i obszar czasu przyszłego, w którym technologia znajdzie spełnienie. Ile opowieści science fiction nie dzieje się w przyszłości?

Przez całe nasze stulecie ta Idea zyskiwała na sile. Jej wyobrażenia rozpowszechniały się, aż stały się wszechobecne. W tym procesie rolę zapewne najważniejszą

Jednak ostatnio zaczyna się dziać coś niepokojącego. Obrazy i myśli, które tak ceniliśmy, stały się własnością publiczną. Nasz świat już jest światem science fiction w porównaniu ze społeczeństwem, w którym gatunek ten rodził się na początku stulecia. Teraz nie ma już ludzi, którzy nie wiedzą, co to jest Księżyc...

Wyświetlano ostatnio film („*Koziorzec-1*” – przyp. red.), w którym pierwsza załogowa wyprawa na Marsa nie może wystartować i ze względów politycznych rzecz zostaje sfalszowana na użytek widzów telewizyjnej – zdjęcia astronautów rzekomo na Marsie robione są w studio. Film jest dobrym symbolem tego, co dzieje się, kiedy żywy kult związany wspólną tajemnicą zmienia się w religię panującą: Wielki Naukowy Kosmos w wersji zwulgaryzowanej. Każda prawdziwie religijna idea jest produktem twórczego umysłu i zachowuje zdolności inspirujące, dopóki pozostaje tajemnicą. Kiedy zaś staje otworem i trafia na wszystkie języki, za-



odegrała science-fiction. I stopniowo wyobrażenia zaczęły przekształcać się w rzeczywistość (biedni Rosjanie, odcięci przez wszystkie te lata od naszej prasy brukowej, musieli wzorować swoje statki na ilustracjach do Julesa Verne’a). Ludzie oddani Idee albo jakiejś jej części, jak ci, którzy pracowali najpierw w Peenemünde, a potem na Cap Canaveral pod patronatem Hitlera i Kennedy’ego, są wyznawcami religii naszego czasu. Reszta nie bardzo wie, co się dzieje. To ludzie poprzednich czasów, poprzednich religii.

I o to właśnie chodzi: my jesteśmy ludem wybranym. Wzniesliśmy oczy ku niebu i zobaczyliśmy cuda. Okiem duszy dostrzegliśmy w niezmiernie pustce światy bez końca. Mamy dar prorokowania: obejmujemy umysłem czasy, które przyjdą po nas. Jednocześnie my z science fiction jesteśmy członkami kongregacji, a nie kapłanami. Bardzo nieliczni z nas mają wiedzę naukową lub techniczną, ale kochamy ją, oddajemy jej cześć. I poza inspirującą treścią, jaką (jeszcze) czasami znajdujemy w swojej literaturze, ma ona zdecydowanie skutki terapeutyczne.

chodzi alchemiczna przemiana na odwrót i czyste złoto przemienia się w pospolity mosiądz. Bramy legły w gruzach, świętości zostały sprofanowane i nieokresane barbarzyńca z mieczem w ręce gapi się z otwartą gębą na coś, czego nie może zrozumieć.

Science fiction, odkąd stała się przedmiotem publicznej dysputy, zaczęła przeciekać w spoinach. Pojawili się heretycy i obrazoburcy, którzy wulgaryzują i trywializują nasze pismo święte mieszając je z innymi odmianami literatury, wprowadzając doń na przykład „prawdziwe, wiarygodne postacie ludzkie” (z tych, których unikam jak mogę w życiu i które są jeszcze dziełem raz nudniejsze na stronicach książek), są też prawdziwi zdrajcy, judasze, którzy żerują na popularnej modzie wypuszczając jakieś kliki ekologiczne antytechnologiczne bzdury (do diabła z tym zielskiem i drzewami, trzeba tu coś zbudować). Ale religia nasza ma też swoich fundamentalistów, którzy nie chcą i nie potrafią iść na kompromis i których wizja pozostaje czysta i wyraźna. I ja, oczywiście, jestem jednym z nich.

Przełożył Lech Jęczyński

Jakub Szczęsny

Jeśli jesteś zwolennikiem szybkich fabuł, rąbiących bez litości mieczy, bojowego krzyku Conana, migocących laserów i tajemnych zaklęć – nie tykaj tej książki, bo ona nie dla ciebie. Jeśli szukasz po prostu dobrej prozy z odrobiną metafizycznego odjazdu – sięgnij po książkę Thomasa Pynchona „49 idzie pod młotek”.

Thomas Pynchon – wzorcowy amerykański postmodernista – ma jedną podstawową zaletę: nie pisuje SF. Ma też drugą: nie jest na wpływy tejże katatonicznie impregnowanej, co zresztą wynika też z definicji postmodernizmu jako kierunku wielce eklektycznego, zapożyczającego skąd się da. Owo Pynchonowskie zapożyczenie od SF jest tak dalekie i delikatne, że lektura tej książki musi być prawdziwą przyjemnością.

Osobą, wokół której kręci się akcja, jest przeciętna Amerykanka, Edypa Maas, na co dzień żona trochę świrniętego prezentera radiowego, niejakiego Mucha. Rzecz dzieje się mniej więcej w połowie lat 60. ześrodkowanych, sama Ameryka wkracza w epokę hippisów, wyzwolonego seksu i narkotyków. Wszystkie te okoliczności nie przeszkadzają być Edypie w miarę normalną i w miarę kochającą żoną (bo żona to popularny tam zawód żeński), gdyby nie fakt nagłej śmierci jej dawnego przyjaciela, Pierce'a Inverarity'ego, potentata handlującego nieruchomościami. Nieoczekiwanie wyznaczył on Edypę wykonawcą testamentu, co wyrwało ją z błogostanu. Musi udać się do San Narciso, położonego w pobliżu Los Angeles.

Z pozoru wszystko toczy się normalnie – Edypa zafatwia formalności prawne, gdy wtem, jakby przypadkiem, natyka się na ślady dziwnej ni to organizacji, ni to poczty, o tajemniczej nazwie Trystero. Dowiaduje się o jej istnieniu z dość osobliwych oznak: a to z nadruku na kopercie, a to ze znaczka pocztowego (nietypowego), z rysunku w toalecie, wreszcie z dość kiczowatej sztuki teatralnej z okresu renesansu. Wszędzie występuje owo niezwykle Trystero, organizacja-system zajmująca się zwalczaniem oficjalnej poczty. Edypa, zafascynowana i zaniepokojona szeregami się wokół niej oznakami istnienia Trystero, rozpoczyna na własną rękę śledztwo. Wraz z nią zagłębiamy się w niesamowi-

tą historię tajnego, istniejącego od wieków stowarzyszenia pocztarzy-skrytobójców, zajętych zwalczaniem oficjalnego systemu pocztowego.

Wraz z Trystero otwiera się przed Edypą zupełnie inny świat, do tej pory jakby egzystujący obok jej własnego. Świat świrów, półlegalnych stowarzyszeń o niejasnych celach i zasadach działania, kontestatorów, grup i grupiek wspólnie histeryzujących bądź ćpających, a także filatelistów – ważnym śladem wiodącym ku Trystero są podrabiane przez nich znaczki pocztowe. Gdzieś w tej płątaniu wariactwa i fałszu tkwi samo Trystero, ukryte bezpiecznie za szeregiem mistyfika-

odmienne osoby – ta druga schodzi z czytelnicej sceny po pełnym zetknięciu z Tajemnicą, Innym Światem, Spiskiem wreszcie, który w miarę rozwoju sytuacji nabiera cech coraz bardziej metafizycznych. Zaczynamy wątpić, czy Edypa byłby w stanie tak doskonale manipulować jakimkolwiek człowiekiem czy grupą ludzi; czyż Trystero nie jest elementem sporządzonego dla niej tylko scenariusza-spisku? Nie dowiadujemy się tego – powieść to właściwie gąszcz hipotez, jakże jednak intrygujących.

Czymże jest ta fascynująca historia? Opowieścią o człowieku, który z dna zuniformizowanej, plastykowej i umasowionej Ameryki

Milczące Imperium epoki Trystero

cji. Cele organizacji są niejasne – czy chodzi tylko o monopol pocztowy? Pewne tropy wskazują na to, że mamy tu do czynienia ze zwolennikami Wielkiej Anarchii – poczta to tylko symbol, będąc nawet w Ameryce domeną państwa. Im bardziej Edypa zbliża się do prawdy (lub tak się jej wydaje), tym bardziej atmosfera wokół niej zagęszcza się; jej mąż zostaje rozkawałkowany psychicznie przez LSD, psychiatra wariuje, a kochanek zwiewa do Meksyku z małolatą. Poznanie, zetknięcie się z INNYM, kosztuje: w tym wypadku oznacza samotność. Edypa, samotna i brzemienna wiedzą, idzie na spotkanie przeznaczenia, czyli na licytację znaczków pocztowych, gdzie pod numerem 49 ma być wywołany znaczek wypuszczony przez Trystero. Są oznaki, że chce go kupić ktoś „od nich”...

Tak zostawiamy Edypę, wcale nie do końca przekonani, iż tym razem dowie się całej prawdy; nie ma już innego wyjścia, jedynie iść do przodu, aż do samego końca. Edypa z początku i końca powieści to dwie zupełnie

tęskni do Absolutu? Czyż to zatem nie Trystero jest Tym właśnie, prowadzącym do Niego śladem, Jego dotknięciem? Czyż takie ukazanie Trystero nie jest wskazaniem na możliwość Porządku, nieobecnego w normalnym, cywilizacyjnym Chaosie?

To tylko nieliczne pytania, jakie może sobie zadać czytelnik po lekturze tej powieści. O ile oczywiście ma na to ochotę.

Jeśli nie, to z pewnością zachwyci się niezwykle techniką „zagęszczonej narracji” – polega ona w skrócie na spiętrzeniu mnóstwa szczegółów, opisywanych w ostrym, psychologicznym kontekście. Powoduje to, że najbardziej nawet blade sceny odbieramy z niesłychanym przejściem bądź napięciem. Opisana w ten sposób ewolucja bohaterki nabiera tym samym niezwyklej intensywności; wizerunek psyche Edypy jest, moim zdaniem, najlepszym kobiecym portretem współczesnej literatury. Przy tym całość nie jest nudna – śledztwo przeprowadzane przez Edypę dorównuje konstrukcją najlepszym kreacjom Agathy Christie. Niezwykle jest też

Podejrzewam, że największym marzeniem każdego świadomego czytelnika fantastyki naukowej jest spotkanie Obcych. Choćby małych, zielonych ludzików, zwiadowców się niekiedy – jak uroczko pisał Lem na wyklejce „Fantastyki i futurologii” – *tłumom chłopów z pochodniami*. Albo spielbergowskich, kretyńsko uśmiechniętych maszkar, witających się indiańskim gestem podczas „bliskiego spotkania trzeciego stopnia”. Prawdopodobnie w każdym z nas, tracącym czas na czytanie SF, drzemia tęsknota za Wielkim Zdarzeniem, które wniosłoby powiew kosmicznej egzotyki w banalną, ziemską codzienność.

Rzadko kiedy jednak uświadamiamy sobie, że takie spotkanie mogłoby zakończyć się „Fiaskiem”, by znów powołać się na Lema. Kultura Innych, ukształtowana w odmiennych od ziemskich warunkach, okazałaby się najprawdopodobniej zupełnie dla ludzi niezrozumiała. Odmienność ewolucji i biologii, warunkowanych przez nią form kulturowych (wartości, wierzeń, obyczajów) uniemożliwiłaby zapewne wszelki kontakt. W otchłaniach Kosmosu czy na wiejskiej drodze, obojętne, moglibyśmy się minąć, nie zauważając nawet śladu swej rozumnej obecności.

Niektórzy fanteści zdają sobie z tego sprawę. Świadomość miniatury

chrząszczy z planety Regis czy gigantycznego oceanu Solaris (jakże natrętnie powraca ten Lem) pozostaje dla stykających się z nimi Ziemiaków niezrozumiałą, wręcz z trudem zauważalną. Bariery kulturowej, dzielącej ludzi od Obcych, choćby tych potencjalnych, wymyślonych, nie może przekroczyć nawet imaginacja pisarzy. Można oczywiście opisywać różnorakich Marsjan, dobrych lub złych, przyjaznych lub wrogich, jednak fantastyka naprawdę rozumna wie, że nawet lite-

tropomorfizmu, stylów myślenia pozostających w prostej zależności od człowieczego umysłu autora.

Fanteści zdają sobie sprawę z przyrodzonych im gatunkowych ograniczeń. Ale, obdarzeni podobną jak czytelnicy tęsknotą, uparczywie próbują tę barierę przekroczyć. Próbuje wykreować kulturę od ludzkiej odmienną, ale w jakiś sposób dla nas zrozumiałą, poddającą się – choć z trudnościami – naszemu rozumowi. Kolejną skazaną na niepowodzenie próbę

Cywilizacja słoni

racka kreacja kultury czy świadomości Obcych rozbija się o barierę ludzkiej wyobraźni, ograniczonej własnymi uwarunkowaniami, ukształtowanymi w toku ewolucji strukturami myślenia, chcąc nie chcąc wywierającymi wpływ na kreację nie-ludzkiej rzeczywistości. Dlatego właśnie światy Innych można sensownie opisywać tylko z zewnątrz, w warstwie wyglądu i obserwowalnych zachowań. Bo czyż na przykład istota pozbawiona słuchu rozumie postępowanie widzów w filharmonii? Każda próba wniknięcia w motywacje, procesy psychiczne, musi zakończyć się klęską, wpisaniem w kreowane istoty an-

podjął Robert Silverberg w powieści „W dół, do ziemi...”, opisującej losy Ziemiaków zafascynowanych zamieszkaną przez rozumne słonie planetą. Belzagor w dziwny sposób oddziałuje na psychikę kolonistów, wywołuje niezrozumiałe tęsknoty, intryguje obyczajowością sloniopodobnych tubylców. Bohater powieści, Edmund Gundersen, próbuje poznać i zrozumieć religijne obrzędy nildorów. Zbliża się do nich, przeżywa nawet, nie tylko rytualnie, tzw. ponowne narodziny. Autor prowadząc akcję buduje nastrój tajemniczości, stopniowo zdziera kolejne zasłony z religijnego i kulturowego systemu belza-

jego przedmiot – miast banalnego trupa mamy coś na kształt alternatywnej poczty (?) o niejasnych celach i aspiracjach.

Pynchon wydał mi się od razu podobny do Dicka – z tym, że ten drugi wsiąkł bez reszty w tandetną rekwizytornię SF, co mu niewątpliwie zaszkodziło. Pynchon przeciwnie – dostrzega Nieznane tuż obok, dosłownie za najbliższym rogiem. Nie widzi potrzeby podkreślania jego Dziwności przez przynależne SF przyszłościowe błyskotki. Dramat jednostki stykającej się z Nieznaniem rozgrywa się wewnątrz niej, skazując ją tym samym na samotność – Witkacy zwał to, zdaje się, Dziwnością Istnienia. Z tym, że zgodnie z jego przewidywaniami w czasach Edypy owej Dziwności nikt już miał nie doświadczać. Chyba się mylił; tęsknota za Absolutem to ludzkie uniwersalium, którego nie sposób wytepić ani totalizmem, ani głupotą maskultury. Zawsze w którymś momencie możemy się natknąć na znak od Trystero i przeżyć swoje przebudzenie.

Pynchon napisał naprawdę wspaniałą i fascynującą książkę. Marzy mi się (tak prywatnie i całkiem po cichu) mały chociaż mariaż science fiction z postmodernizmem, aby choć trochę przewietrzyć tę naszą rupieciarnię: wystarczyłoby przejść od postmodernistów zasadę, że nie ma kierunku, na który nie moglibyśmy się otworzyć. Ot, choćby troszeczkę, aby obraz naszej współczesnej SF przestał być aż tak przygnębiający. Z drugiej jednak strony, jak podał Wergiliusz, graviora manent – najgorsze dopiero przed nami.

Jacek Inglot

PS. Postmodernizm: kierunek artystyczny dominujący w amerykańskiej (i nie tylko) sztuce i literaturze ostatnich trzydziestu lat. Najwybitniejsi przedstawiciele w powieści to właśnie Pynchon, Barth, Vonnegut, Irving, Barthelme, Coover. Z niezbyt precyzyjnych założeń można wyróżnić eklektyzm, twórczy stosunek do tradycji i – podobnie jak SF – zwrócenie się ku czytelnikowi, przeciwnie niż rozmaite awangardy i rewolucje artystyczne. W Polsce właściwie nieobecny, najbliższym (moim zdaniem) był go Jerzy Krzyżanowski. *Obłędzie*.

Thomas Pynchon: *49 idzie pod młotek*. Tłum. (znakomite) Piotr Siemion. Pomorze, Bydgoszcz 1990.

gorskich stoni, intrygując czytelnika, wywołując w nim oczekiwanie na – niemożliwe! – Objawienie. Ale kulminacja może pozostawić jedynie rozczarowanie.

System wierzeń nildorów, choć pozbawiony osobowego Boga, w wielkiej mierze przypomina chrześcijaństwo z jego pojęciami grzechu, pokuty, odkupienia i zbawienia. Przemiana biologicznych form mieszkańców Belzagoru też posiada ziemskie odpowiedniki w postaci cyklu larwa-dorosły osobnik czy osobnik-forma przetrwalnikowa. Tak oto powracamy w zakłętą krąg ziemskich form życia. Pozostajemy, bo pozostać musimy, w obrębie ludzkich możliwości imaginacyjnych, nie mogących wykroczyć poza własne struktury myślenia, poza kompilację elementów znanych nam z ziemskiego doświadczenia. Silverberg nie pisze o cywilizacji nildorów. Opisuje jedynie cywilizację rozumnych stoni.

Literackie pragnienie niemożliwego. Pragnienie czytelnika zetknięcia się z odmiennością. Pragnienie pisarza wykreowania aludzkiego świata. Pragnienie niemożliwe do spełnienia, lecz jakże piękne i twórcze. Także dlatego, że budzi w czytających i piszących tęsknoty, bez których nasze życie byłoby warte jeszcze mniej.

Włodzimierz Jurasz

Robert Silverberg: *W dół, do ziemi...* Tłum. Irena Lipińska. Dom Wydawniczy „Rebis”, Poznań 1990.

Jak załatwić nieboszczyka

Jakieś cztery lata temu Wydawnictwo Literackie zamierzyło edycję dzieł wybranych Janusza Zajdla. Miała obejmować podstawowy kanon tego pisarza: powieści socjologiczne oraz tom najlepszych opowiadań. Pomysł wydawał się znakomity: z jednej strony taka miniseria upamiętniłaby autora, z drugiej pozwoliłaby zarobić wydawnictwu na dobrej fantastyce, a na dodatek sprawiłaby frajdę czytelnikom. Szlagierem miała być forma wydania: płótno, obwoluty, wyklejki, do każdego tytułu posłowie krytyczne – jednym słowem coś, co zwolennicy tej literatury będą sobie wyrwać z rąk.

Atoli, jak to w polskiej rzeczywistości bywa, z ambitnych planów niewiele zostało. Od pomysłu do realizacji upłynęło tyle czasu, że sytuacja na rynku zmieniła się diametralnie. Gdyby dotrzymano początkowych założeń, rzecz nie straciłaby na atrakcyjności. Gdyby... Otrzymaliśmy właśnie dwa pierwsze tomy Zajdla: „Wyjście z cienia” i „Całą prawdę o planecie Ksi”. Są wyklejki, są posłowie, nie brak zdjęć autora na frontspisie – nie stało tylko płótna ani kolorowych obwolot. Obie książki ukazały się w okładkach tak ponurych i pozbawionych wszelkiej inwencji plastycznej, że poważnie trzeba tu rozważyć posądzanie o sabotaż. Tymczasem wytłumaczenie jest proste: to, co czytelnik widzi i co nie ma najmniejszych szans rywalizować z zalewem naprawdę dobrych, kolorowych okładek, jest pierwotnym projektem tłoczeń na płótnie – a że płótno się ulotniło, więc prostolinijnie nadrukowano to na karton.

W WL rzecz przyjęto z zaskoczeniem, tak jakby nikt od dawna tej sprawy nie pilnował. A przecież ktoś musiał dać zgodę najpierw na wyeliminowanie twardych okładek (dla potanienia edycji), potem na zmianę formy graficznej, wreszcie na ograniczenie nakładu. Co miało być szlagierem, zamieniło się w humbug.

Tak to chytry i niesprawny dwa razy traci: wyglądających w ten sposób książek nie weźmie dziś do ręki pies z kulawą nogą. W takiej formie rzeczywistość nie uda się ich sprzedać więcej niż 20-30 tysięcy każdego tytułu, a i to odleżą swoje na ladach i stolikach. WL potwierdziło więc ostatecznie, że ma ciężką rękę do fantastyki. O przewracaniu się w grobie Janusza Zajdla taktownie nie wspomnę.

Kunktator

Janusz A. Zajdel: *Wyjście z cienia*. (Wstęp L. Jęczynek, posłowie M. Oramus) WL, nakład 30 tys. Janusz A. Zajdel: *Cała prawda o planecie Ksi*. (Posłowie M. Parowski). WL, nakład 20 tys. Dzieła Janusza A. Zajdla.

Zabić Golema

Naszemu wejściu w świat pędzącego kapitalizmu towarzyszy mnóstwo ubocznych acz ważkich objawów. Jednym z nich jest zapewne szersze przedstawienie czytelnikowi gatunków dotąd nieznanych lub mało znanych. Myślę tu o literaturze erotycznej i pornograficznej, fikcji politycznej à la Forsyth czy Ludlum (w Polsce usiłuje tworzyć w podobnym stylu Kraśko) oraz o horrorze. Co prawda „opowieści z dreszczykiem” i serie zajmujące się literaturą grozy powstawały u nas już od lat sześćdziesiątych, ale zauważmy, iż była to wyłącznie klasyka: Dostojewski, Puszkina, Tolstoj, Kipling, Mann, Le Fanu. Natomiast współczesny horror anglosaski to dla nas zupełna *terra incognita* i poza dochodzącymi od wtajemniczonych wieściami o wspaniałym mistrzu grozy Stephenie Kingu, nie wiedzieliśmy praktycznie nic.

Ostatnio zapelnieniem tej luki zajęło się wydawnictwo „Amber” prezentując m.in. cztery książki Grahama Mastertona („Manitou”, „Zemsta Manitou”, „Dżinn”, „Wykłęty”). Pomysł trafił w gust odbiorców, powieści te z miejsca stały się hitami, a pisarz zyskał w Polsce popularność

tak wielką, że w czasie odwiedzin naszego kraju był nią szczerze zdumiony. Napisać dobry horror to rzecz prawie tak trudna jak napisać dobry erotyk czy wypić kufel piwa w trzy sekundy. Masterton nie jest żadnym wielkim mistrzem czy cudotwórcą słowa. To po prostu sprawny rzemieślnik (daj Bóg więcej takich u nas zamiast natchnionych bardów), zręczny żongler nastroju, doświadczony wyga literacki.

Wszystkie cztery powieści, których tytuły wymieniałem, opierają się na wspólnym schemacie: jest spokojnie i miło → budzi się Coś → zaczyna panować atmosfera strachu → groza powiększa się, są ofiary → pojawia się Spec → zło zostaje ujarzmione. Widać wyraźną fascynację Mastertona kulturą Indian, gdyż w dwóch powieściach to właśnie indiańskie demony próbują zburzyć nasz świat, a nam samym zrobić tak dobrze, że komunistów wspominalibyśmy jak pocziwych wujków. Trzeba przyznać, że Masterton ładnie buduje nastrój (zwłaszcza w „Wykłym” – najlepszej moim zdaniem jego powieści, w której narastanie atmosfery grozy jest przeprowadzone wręcz perfekcyjnie), tworzy sympatycznych bohaterów z „krwi i kości” (bardzo miła postać jasnowidza-hochsztaplera w „Manitou” i „Zemście Manitou”), konstruuje wartkie, żywe dialogi.

Powieści te mają jednak jeden, ale za to spory mankament. Autor tak usilnie stara się nas przekonać o potęgę i mocy zła, że sposób jego ostatecznego zlikwidowania nie budzi niestety ulgi, a tylko uśmiech politowania. Wygląda jakby Masterton wpadł we własne sidła i tworząc Golema nie zaprogramował formuły zniszczenia. A skończyć powieść przecież jakoś trzeba było, bo wydawca się niecierpliwił i wypłata czekała w kasie.

Wibrator

Graham Masterton: *Manitou*. Tłum. Piotr W. Cholewa. *Zemsta Manitou*. Tłum. Piotr W. Cholewa. Cena 7 000 zł. *Dżinn*. Tłum. Mirosław Kościuk. Cena 7 000 zł. *Wykłęty*. Tłum. Danuta Górka. Cena 12 000 zł. Wszystkie w serii Horror.

Fantastyka zwariowana

Chyba tylko takie określenie oddaje charakter prozy Borisa Viana. Był prawdziwym omnibusem, chwycił się wszystkiego, robił rzeczy, których wystarczyłoby na kilka wcale nie nudnych życiorysów. Z wykształcenia matematyk i inżynier, z powołania obrazoburca i przesławca. Jako półprofesjonalista grał na trąbce w zespołach jazzowych, zajmował się publicystyką muzyczną, pisał teksty piosenek, był też dyrektorem artystycznym wielkiej firmy płytowej, w której stał się jednym z pierwszych popularyzatorów francuskiego rock and rolla. Boris Vian to też poeta-pieśniarz, autor dużej liczby powieści, opowiadań oraz... skandali obyczajowych i kulturalnych.

„Opowiadki do pociągu” stanowią wybór utworów Viana pisanych najczęściej do rozmaitych czasopism. Te krótkie formy prozatorskie w doskonały sposób obrazują styl tego autora: łączący surrealizm, groteskę, fantastykę, liryzm i okrucieństwo, zabawę i śmiertelną powagę, gorycz i humor. Vian nie boi się odrąbać swojemu bohaterowi nóg i kawałka pośladka, ale pozwala też zakochanemu, nieśmiało młodzieńcowi wylewać strumienie łez, gdy obiekt jego westchnień wybierze partnera zaradniejszego.

Pełne szyderstwa i drwiny utwory Viana przeżyły wielki renesans już po śmierci autora w pamiętnym roku 1968. Ich antyfilisterski charakter pasował do atmosfery młodzieżowej rewolty. W Polsce twórczość Viana poznajemy w zasadzie dopiero teraz – czy ma to związek z absurdem naszego dnia codziennego? Na pewno warto czytać Viana, bo w Polsce takie połączenie surrealizmu i groteski nie doczekało się wielu realizacji.

Sekator

Boris Vian: *Opowiadki do pociągu*. Tłum. Marek Puszciewicz. Przedświt 1990.

wśród fanów

Ludzie zajmują się fantastyką naukową z różnych powodów. Jean Pierre Moumon z Francji jest przykładem arystokraty, który fantastycznemu hobby podporządkował życie; dla Rolandas Maskoliunasa i jego kolegów z Litwy fantastyka oznacza po prostu poszerzenie zakresu wolności. Litwa, Francja i Polska – trzy kraje, trzy sposoby rozumienia i korzystania z fantastyki.

(MO)

Zwycięstwo nad snem.

Politic fiction

Zaczął się to dawno, dawno temu, bo w ostatnich latach panowania Leonida (według innych obliczeń mógłby to być rok 1979). Wtedy to na Uniwersytecie Wileńskim powstał pierwszy na Litwie klub miłośników fantastyki. Dopiero kilka lat później doczekał się imienia „Dorado” i objął swym zasięgiem całe miasto, a nawet pozyskał korespondentów z całej Litwy. Narodziny klubu wzbudziły powszechne zainteresowanie, bo jak zapewne wiecie, życie w Imperium było wtedy dość nudne. Wszystko było zabronione: życie polityczne i płciowe, freudyzm, krisznaizm, UFO, wyjazdy za granicę – wszystko prócz wódki i fantastyki. Zabraniać fantastyki było bez sensu, bo i tak jej prawie nie było, podobnie jak żadnych wieści ze świata fandomu. Ale istniała jeszcze chęć.

Czas chęci. Antyutopia

Niespodziewanie dla miłośników fantastyki nastały trudne czasy. Ktoś z Centralnej Władzy raptem zwiertzył wielkie niebezpieczeństwo w działalności klubów miłośników fantastyki w całym Imperium. Zaczęło się to gdzieś w mroku tundry czy na Syberii – lecz czarne chmury oskarżeń o próbę obalenia wspaniałego ustroju

(niby socjalistycznego) dotarły i do naszego kraju. Fantastyka stała się intruzem na łamach gazet i magazynów.

Natura nie byłaby naturą, gdyby nie wyzwoili energii neutralizującej. W знаmiennym roku 1984 powstał drugi klub

Fandom litewski

„Feniksas” w Kownie. Był to już sam w sobie fakt fantastyczny, zważywszy na okoliczności. To przesądziło sprawę.

Jak wyobraźniaki sposobem bieżnym podolali komunistom. Space opera

No i wygraliśmy (lub przeczekaliśmy, w zależności od interpretacji).

Najważniejszy dzień 19...90 roku. Fantasy

Oczywiście stał się nim dzień rozpoczęcia pierwszego narodowego konwentu miłośników fantastyki na Litwie – Lithuaniaconu

nu '90. Doczekaliśmy się iście historycznego momentu w dziejach fandomu litewskiego. Po prawie 11 latach istnienia zorganizowanego ruchu fantastów mamy 6 klubów miłośników fantastyki: „Dorado” (Wilno), „Feniksas” (Kowno), „Soliaris” (Alytus), „Geja” (Kiejdany), „Uf!” (Utena) oraz klub z regionu Sudava. Mamy też fanzin „Kontakt” (były „InfoSFera”), no i teraz pierwszy konwent za sobą. Mam chęć twierdzić, że się udał: uczestniczyło około 120 osób z całego kraju, włączając gościa honorowego J.-P. Maumona z Francji (piszemy o nim w oddzielnym tekście – przyp. red.) oraz gości z Polski: Maćka Parowskiego, Tomka Marciniaka oraz Sławka Sączka. Zorganizowaliśmy to wszystko mając na karku blokadę Litwy przez Sowietów, lato oraz mistrzostwa świata w piłce nożnej!

Fantastyka wygrała pierwszą rundę. Miejmy nadzieję, że nie ostatnią.

Droga, z której nie chce się wracać. Historia niealternatywna

I to by było właściwie wszystko. Opisana historia będzie mieć ciąg dalszy: zorganizowanie następnego, jeszcze większego Lithuaniaconu oraz wydanie na Litwie pierwszego magazynu poświęconego wyłącznie fantastyce.

Rolandas Maskoliunas

Kim jest Jean Pierre Moumon? Wydawca, tłumacz-erudyta, drukarz, organizator i animator fandomu, znawca oraz miłośnik fantastyki i komiksu – człowiek nieprzeciętny.

Stanowił sensację pierwszego litewskiego konwentu miłośników SF „Lithuaniacon”, który odbył się na przełomie czerwca i lipca 1990 w Kownie. Jak wyznał, wizję litewską dostał na trzy dni przed wylotem z Marsylii. Przebił się przez blokadę – zwracał więc uwagę nie tylko nieskazitelnym białym, przynajmniej na początku, garniturem.

Jean Pierre został przede wszystkim zaproszony jako wydawca „Antaresa” – półprofesjonalnego kwartalnika, wydawanego w niewielkim, jak na naszą miarę, nakładzie 800–1000 egzemplarzy. Przy okazji zaskakująca wiadomość: we Francji brak jest magazynu SF, odpowiednika polskich „Fantastyki” lub „Fenixa”. Jest to dużym utrudnieniem dla początkujących twórców. Brak czasopisma, które zamieszczałoby takie debiutanckie próby i poddawało je surowej, acz życzliwej krytyce, uniemożliwia wielu autorom wejście na rynek. Jedynym rozwiązaniem jest więc umieszczanie opowiadań w dwu francuskojęzycznych magazynach ukazujących się w Belgii lub w czasopiśmie kanadyjskich.

„Antares” wydawany przez Moumona również nie jest dobrą trampoliną dla rodzimych twórców. Poświęcono go bowiem różnym, najczęściej nieznanym fantastykom: rosyjskiej, litewskiej, rumuńskiej, bretońskiej, hiszpańskiej itd. Stanowi to pewną przeciwwagę dla odintelektualizowanej w swojej masie literatury amerykańskiej, zalewającej odbiorców na całym świecie. Zasada „Antaresa” jest także niepublikowanie w jednym numerze więcej niż jednego

utworu danej narodowości. Tak więc w ciągu roku jego francuscy czytelnicy mogą najwyżej czterokrotnie zapoznać się z rodzimą twórczością.

Oczywistym problemem jest kwestia tłumaczeń. Jak bowiem we Francji znaleźć tłumacza języka moldawskiego czy równie egzotycznego islandzkiego? Jean Pierre ominął i ten kłopot: sam przekłada fantastykę z 13 (trzynastu!) języków. Uczy się ich sam korzystając z dostępnych podręczników i gramatyk. Co prawda nie zna polskie-

ANTARES

Fan bez granic

go, rosyjskiego, czeskiego, ale twierdzi, że nauczy się ich wcześniej czy później np. za pomocą polskich komiksów SF. Zacznie od fantastyki ukraińskiej, gdyż uważa ją za oryginalną i wartą spopularyzowania. Gwoli prawdy trzeba przyznać, że z litewskimi fanami Moumon nie mógł się „dogadać”, gdyż zna ten najbardziej archaiczny z żyjących języków indoeuropejskich jedynie z podręcznika.

Wydawanie tak niskonakładowego magazynu jak „Antares” nie jest oczywiście przedsięwzięciem opłacalnym. Jean Pierre dokonuje więc składu i druku własnoręcznie – za pomocą komputera i dwu maszyn drukarskich stojących w piwnicy jego willi. Sam nie wykonuje jedynie kolorowej okładki. Pieniądze na to kosztowne hobby pochodzi z druku innych publikacji, np. skryp-

tów uniwersyteckich. Zaś perfekcji jego sztuki poligraficznej można tylko pozazdrościć; podczas druku wkładki z fascynującymi ilustracjami do „Frankensteina” z 1928 roku odrzucił 20 procent wydrukowanych już grafik, ponieważ nie dość wyraźnie były widoczne subtelności linii.

Niespożyta energia pozwala jeszcze Moumonowi na czynne uczestnictwo w życiu fandomu. Organizuje lokalne konwenty „Mellonta”, dla których sfinansowania angażuje m.in. miejską bibliotekę, oraz wydaje specjalny, jednorazowy fanzin, noszący nazwę konwentu.

Świat Jean Pierre'a nie ogranicza się do fantastyki. Jest on, jak przystało na Francuza, smakoszem i wyśmienitym kucharzem. Mógł więc należycie ocenić zalety litewskich „zeppelinów” oraz serwowanego podczas sobotniego party „Lithuaniaconu” piwa przegryzanego smażonym czarnym chlebem z czosnkiem. Nie tylko to wytworzyło tak familijną atmosferę konwentu – były to także kabaretowe popisy sześciu istniejących litewskich klubów miłośników SF. A oprócz tego przez trzy dni wideo, prelekcje, spotkania i długo oczekiwana aukcja książek – SF jest na Litwie wciąż towarem deficytowym, lecz nadal nie reglamentowanym...

Gdy konwent się kończył, blokada została właśnie zniesiona. Pękła więc kolejna bariera. Jean Pierre Moumon chciał w drodze powrotnej spotkać się jeszcze z moskiewskimi fanami – przecież na okładce jego „Antaresa” widnieje hasło *science fiction et fantastique sans frontieres* – SF i fantastyka bez granic. I jak sam Jean Pierre udowodnia, potrafi ona przełamać nie tylko granice wyobraźni.

Tomasz Marciniak

O locie Gagarina dowiedziałem się w specyficznych okolicznościach. Pisałem wtedy książkę popularnonaukową „Człowiek w kosmosie”, pierwszą w Polsce na ten temat (ukazała się później nakładem wydawnictwa „Wiedza Powszechna”). Byłem więc wszystkim żywo zainteresowany i oczywiście wiedziałem, że lotu człowieka w kosmos należy się spodziewać wkrótce. Polskie Radio podało, że właśnie odbył się lot kosmiczny obywatela radzieckiego Jurija Gagarina. Ale naprawdę było już po locie... W Związku Radzieckim także poinformowano o nim post factum.

Andrzej Marks

Czy Gagarin był w kosmosie?

No cóż, później musieliśmy przywyknąć do tego, że Związek Radziecki przez bardzo długie lata nigdy nie zapowiadał swych eksperymentów kosmicznych, informując o nich po fakcie, a tylko wyjątkowo w trakcie trwania.

Motyw takiego postępowania był oczywisty dla wszystkich. Gdy się coś nie powiodło, można było o eksperymencie nie informować... A w kosmonautyce zdarza się, że coś się nie udaje, także Amerykanom, bo chodzi o niezwykle trudne i skomplikowane przedsięwzięcia.

W kołach fachowych lot Gagarina od początku budził pewne wątpliwości. Na Zachodzie wyrażano je głośno, u nas – tylko w kręgu prywatnym. Co ciekawe, specjaliści radzieccy nie opublikowali od razu pełnych informacji o przebiegu lotu, ale sukcesywnie ujawniali coraz nowe dane. W miarę jednak, jak były one ujawniane, wątpliwości przybywało! Dane te były bowiem niekiedy nawet sprzeczne.

Węgierski dziennikarz István Nemere (który zresztą wiele lat przebywał w Polsce) zebrał i zestawiał cały szereg tych wątpliwości, opracował je i sugestywnie zaprezentował w swej książce.

Wątpliwości tych jest nadspodziewanie dużo. Ich waga jest różna. Choć żadna z nich nie ma charakteru definitywnego „naukowego” dowodu, że Gagarin nie był w kosmosie (jest rzeczą znaną, że w nauce na ogół jest bardzo trudno przeprowadzić dowód negatywny), to przy tak dużym nagromadzeniu konkretnych i niebłahych zastrzeżeń, także w nauce odnosimy się do jakiegoś wydarzenia z daleko posuniętym sceptycyzmem.

Oto parę najbardziej dla mnie istotnych faktów natychmiast rzucających się w oczy.

Nieoczekiwanie okazało się, że brak jest dokumentacji fotograficznej z przebiegu lotu, to znaczy brak fotografii Ziemi wykonanych ze statku kosmicznego. A przecież mogłoby się wydawać, że na statku kosmicznym powinny być zainstalowane kamery fotograficzne i filmowe. Nadzwyczaj trudno byłoby taką dokumentację sfalszować, jest to właściwie niemożliwe. Oczywiście brak dokumentacji fotograficznej nie oznacza, że Gagarin w kosmosie nie był, ale jest to fakt bardzo dziwny.

Bardzo naiwnie brzmiały dla mnie relacje Gagarina z przebiegu lotu. Nie tylko zresztą naiwnie, ale po prostu – nieprawdziwie. Obecnie mamy przecież bardzo wiele relacji z kosmosu bardzo wielu różnych kosmonautów. Mamy też bardzo wiele doskonałych fotografii i przekazów telewizyjnych. Na ich tle relacje Gagarina brzmią po prostu niepoważnie...

Jest wiele sprzeczności w relacjach o lądowaniu kosmonauty. Jeżeli chodzi o relacje ustne, to sprzeczności takie mogą się zdarzyć. Gorzej jednak, że istnieją pewne sprzeczności w dokumentacji fotograficznej, a to już nie jest sprawa marginesowa, wręcz przeciwnie – na-

suwa się podejrzenie, że dokumentacja ta mogła być tworzona później.

Być może istnieją jednak niezbita dowody, że Gagarin odbył lot kosmiczny. Byłyby to przede wszystkim raporty radarowych stacji śledzących, rozmieszczonych w różnych miejscach powierzchni Ziemi. Raportów takich jednak nie znamy. Być może istnieją, ale są utrzymywane w tajemnicy, być może nie mają w ogóle, a to by znaczyło, że lot się nie odbył. Trzeba tu jednak wyjaśnić, że w roku 1961 stacji radarowych nie było jeszcze tyle co teraz i nie były one tak technicznie sprawne jak w chwili obecnej, kiedy są w stanie wykryć w bliskiej przestrzeni kosmicznej każdy przedmiot o rozmiarach piłki nożnej.

Właściwie nie wiemy, czy Gagarin kontrolował przebieg swego lotu, czy był tylko „pasażerem” swego statku kosmicznego. Nie wiemy nawet, czy wylądował w kabinie (podobno tak), czy też wyskoczył z niej na spadochronie

jak pozostałych pięciu kosmonautów ze statków kosmicznych „Wostok”.

Sugerując na podstawie swych wywodów, że lot kosmiczny Gagarina w ogóle się nie odbył, Nemere uzasadnia także dlaczego dopuszczono się tego fałszerstwa. Wywody te brzmią przekonująco, choć znowu mają charakter oczywiście tylko przypuszczeń.

Istnieją poszlaki wskazujące, że kilka dni przed 12 kwietnia 1961 r. podjęto w Związku Radzieckim próbę przeprowadzenia lotu kosmicznego człowieka – podawane jest nawet nazwisko rzekomego kosmonauty (Iliuszyn – syn słynnego konstruktora lotniczego). Próba się nie udała, sam kosmonauta (?) miał odnieść bardzo ciężkie obrażenia.

Jako ostatnią poszlakę negatywną Nemere omawia śmierć Gagarina. Jak wiadomo, zginął on w katastrofie lotniczej 28 marca 1968 roku. Istnieje wiele różniących się od siebie relacji na temat okoliczności tej katastrofy, a jednocześnie usilnie próbowano przekonać świat, że „wszystko” zostało „dokładnie” wyjaśnione, z wyjątkiem jednego – przyczyny katastrofy... Nemere sugeruje wprost, że śmierć Gagarina nie była nieszczęśliwym wypadkiem, ale że chodziło o usunięcie niewygodnego świadka fałszerstwa.

Jeżeli więc nie Gagarin był pierwszy, to kto? Oto wykaz następnych lotów kosmicznych: Shepard – maj 1961 – USA – lot balistyczny; Grissom – lipiec 1961 – USA – lot balistyczny; Titow – sierpień 1961 – ZSRR – lot satelitarny.

Glenn – luty 1962 – USA – lot satelitarny.

Czy Gagarin był więc w kosmosie? Nie mamy dowodów, że nie. Istnieje jednak bardzo wiele poważnych wątpliwości.

István Nemere: *Gagarin = kosmiczne kłamstwo*. Tłum. Camilla Mondral. Wyd. KLEKS, Bielsko-Biała 1990.



NOWY MIESIĘCZNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY!!!

W pierwszym numerze:

- ☺ Wieczór w dwóch światach ☺
- ☺ Czasoprzestrzeń i giełda ☺ Dlaczego rewolucja upadła ☺
- ☺ Czy Wszechświat mógłby być inny ☺ Kraina fantazji ☺
- ☺ Kosmici ☺ Fantastyczna historia świata ☺
- ☺ Odyseja „Voyagerów” – kosmiczny fotoreportaż ☺
- ☺ ... kiedy Bestia się pojawia ☺ Coś za coś ☺
- ☺ Komiks ☺ Leksykon postaci fantastycznych ☺
- ☺ Widzieć muzyką ☺ Poradnik fantasty ☺ Kinomagia ☺
- ☺ Książki z fantazją ☺ Humor ☺

☺ Konkurs literacki ☺ Krzyżówka z dedukcją ☺

☺ Labirynt ☺ Zagadki ☺

SPRAWDŹ SIĘ! NAGRODY!

Wśród autorów m.in.:

☺ Tadeusz Baranowski ☺ Andrzej Bukowiecki ☺

☺ Maciej Iłowiecki ☺ Stanisław Lem ☺

☺ Andrzej Urbańczyk ☺

SZUKAJ W KIOSKACH!!!

Redaguje

Fantastyka

Księżycy bez planety

T. Zbigniew Dworak

Rosnące zainteresowanie Plutonem, który został odkryty ponad 60 lat temu przez Clyde'a W. Tombaugh'a w Obserwatorium im. Percivala Lowella (Flagstaff, Arizona), spowodowało podjęcie nowej serii obserwacji astrometrycznych w celu dokładniejszego określenia elementów jego orbity. Problem ten zbadano w Obserwatorium Marynarki Wojennej USA. Obserwacje zostały wykonane w kwietniu i maju 1978 roku, nim Pluton znalazł się wewnątrz orbity Neptuna przestając być na okres dwudziestu lat (1979-1999) najdalszą planetą Układu Słonecznego.

Fotografie Plutona wykonali A.V. Hewitt i W.S. Dunham – za pomocą 155 cm teleskopu na stacji obserwacyjnej w pobliżu Flagstaff podczas znakomitej pogody. Następnie klisze przesłano do Waszyngtonu w celu wykonania pomiarów pozycyjnych. Przeglądając te klisze James Christy zauważył, że obraz Plutona jest „rozciągnięty” (fot. 1), podczas gdy obrazy gwiazd na tej samej fotografii zachowują dokładnie kształt kolisty. Najprawdopodobniej więc obraz na kliszy przedstawiał Plutona oraz jego nieznany dotąd księżyc! Uzyskane wkrótce nowe fotografie Plutona potwierdziły, podobnie jak przegląd klisz archiwalnych, możliwość istnienia satelity Plutona oznaczonego prowizorycznie 1978 P 1.

Następnie Christy wraz z Robertem S. Harringtonem wyznaczył przybliżoną orbitę nowo odkrytego satelity podając też jego efemerydę (przewidywane położenie), dzięki czemu stały się możliwe dalsze obserwacje fotograficzne układu Plutona. Zarazem wyjaśniło się, iż „zniekształcony” obraz Plutona był niejednokrotnie obserwowany w przeszłości – nie tylko w 1977 roku, lecz także w latach 1971, 1970, 1967, 1965. Nasuwa to smutne podejrzenie, że księżyc Plutona dawno już był fotografowany, ale zdeformowany obraz wywoływał przede wszystkim wrażenie niewłaściwie wykonanego zdjęcia, które następnie było... niszczone, zwłaszcza jeśli obserwacje prowadzili studenci.

Odkrycie satelity Plutona to zarazem pouczający przykład, że nie wolno niczego odrzucać a priori. Nigdy już chyba nie dowiemy się, ile klisz zostało zniszczonych w celu zatarcia rzekomej nieudolności obserwatora.

Dawid W. Hughes zaproponował, by nazwać nowo odkryty księżyc Plutona Charonem

nauka i SF

(w nawiązaniu do mitologicznego przewoźnika dusz do królestwa cieni Plutona), co odkrywcę satelity zaakceptował, a Międzynarodowa Unia Astronomiczna zatwierdziła.

Podczas obserwacji przeprowadzonych na Hawajach w 1980 roku za pomocą 3,6 m teleskopu udało się, stosując tzw. technikę interferometrii plamkowej (fot. 2), rozdzielić obraz układu Pluton-Charon. Dalsze obserwacje pozwoliły uściślić parametry fizyczne i geometryczne tego układu. Była to obserwacja zakrycia gwiazdy przez Charona, wykonana w 1980 roku przez Alistera Walkera, następnie ponowne obserwacje wykonane w 1983 roku techniką interferometrii plamkowej, wreszcie seria obserwacji – w latach 1985-1990 – zakryć Charona przez Plutona i przejść Charona przed tarczą Plutona. Seria takich zakryć powtarza się co 124 lata. Kiedy Charon jest zakrywany przez Plutona, to sumaryczna jasność zmniejsza się o 0,2 wielkości gwiazdowej. Natomiast kiedy Charon przechodzi przed tarczą Plutona, to łączna jasność maleje o 0,6 wielkości gwiazdowej. Jedną z przyczyn jest cień Charona rzucany na tarczę Plutona, inną – mniejsze albedo Charona (0,37) niż Plutona (0,50), co już udało się wcześniej ustalić. Czas zakrycia może wynosić od 32 do 79 minut.

Dzięki wystrzeleniu satelity IRAS przeprowadzono również obserwacje układu Plutona w podczerwieni, a w roku 1988 zaobserwowano zakrycie gwiazdy przez Plutona. Natomiast w 1990 roku otrzymaliśmy pierwsze fotografie układu Plutona, wykonane przez Hubble Space Telescope (fot. 3). Z tych wszystkich obserwacji wynika, że średnica Plutona wynosi 2250 km, a średnica Charona – 1200 km. Masa Plutona została oceniona – dzięki możliwości zastosowania uogólnionego III prawa Keplera – na około 0,002 masy Ziemi, natomiast masa Charona na ponad 1/10 masy Plutona. Odpowiadająca tym wielkościom przeciętna gęstość dla obu ciał została oceniona na około 2000 kg/m³. Stąd wniosek, że ciała te składają się z materiału skalnego i lodu.

Jeśli wyznaczenie masy Plutona jest ostateczne – a tak należy sądzić – to nie tyle wyjaśnia ono zagadkę tej planety, ile ją potęguje. Tak mała masa nie mogła przecież wywołać tak dużych perturbacji (zakłóceń) zaobserwowanych w ruchu Urana oraz Neptuna. Czyżby więc zbieżność położenia Plutona na sferze niebieskiej z efemerydami podanymi przez Percivala Lowella i Williama Pickeringa była naprawdę przypadkowa? W takim razie jakież to ciało jest w rzeczywistości odpowiedzialne za te perturbacje?

Charon obiega Plutona po ciasnej kołowej orbicie o promieniu równym 19 130 km. Płaszczyzna orbity Charona jest nachylona do płaszczyzny orbity Plutona pod kątem 98°. Okres obiegu Charona wokół Plutona wynosi 6 dni 9 godzin i 17 minut, czyli tyle samo, ile wynosi okres rotacji Plutona wokół jego osi. Taki sam jest okres obrotu Charona wokół własnej osi. Charon więc nie tylko zwraca jedną i tę samą półkulę ku Plutonowi, ale zawsze jest widoczny nad tą samą półkulą Plutona! Jest to jedyny tego rodzaju przypadek pełnego synchronicznego ruchu dwóch ciał w Układzie Słonecznym.

Ustalono również, iż w 1950 roku widoczne były okółbiegunowe obszary Plutona, ponieważ osi rotacji zwracał się wtedy ku Ziemi. Natomiast obecnie zwraca się on ku Słońcu i Ziemi obszarami przyrównikowymi, tak iż odbite od plamistej powierzchni promieniowanie zmienia się z okresem rotacji. Z przeprowadzonych serii obserwacji wynika też, że Pluton ma atmosferę, głównie metanowo-wodorową, a powierzchnia planety jest urozmaicona. Wyróżniono biały duży obszar wokół bieguna południowego, ciemniejsze, plamia-

ste rejony przyrównikowe i nieco jaśniejsze na półkuli północnej. Ogólnie Pluton ma zabarwienie czerwone, podczas gdy powierzchnia Charona jest szara.

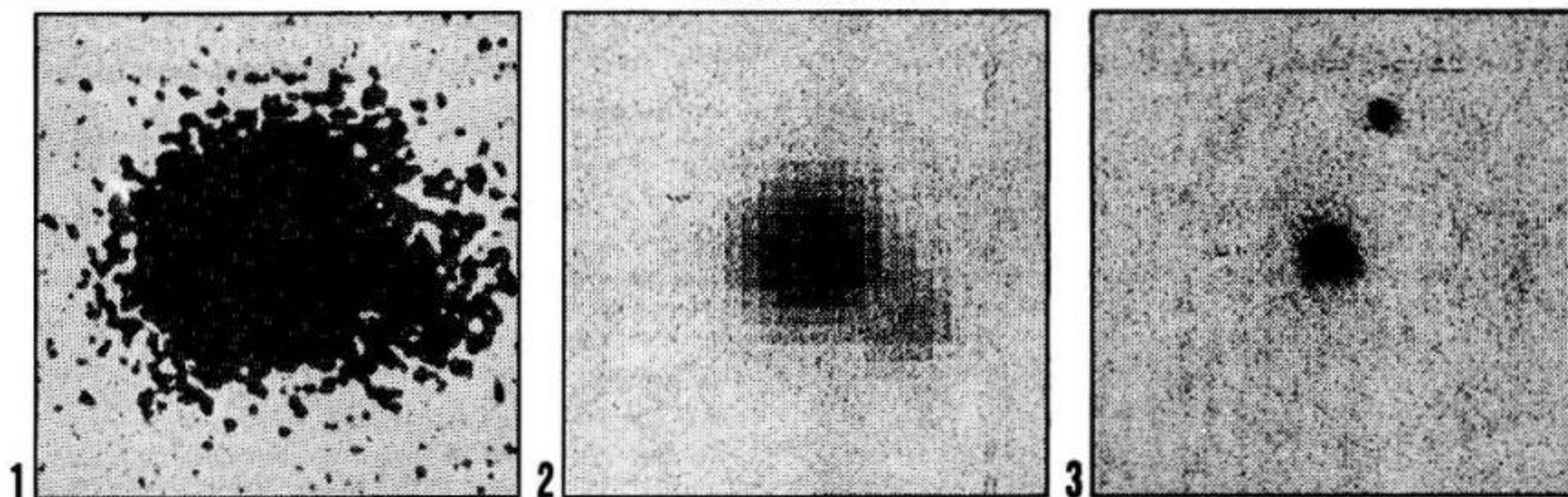
Ze względu na porównywalne masy oraz rozmiary Plutona i Charona układ ten można uważać raczej za „podwójną planetę” niż za typowy system planeta-satelita. Ale z drugiej strony średnica Plutona, jego gęstość, okres rotacji różni się od analogicznych parametrów dla innych planet typu ziemskiego, jest natomiast zbliżona do parametrów księżyców Saturna czy Urana. Wszystko to razem wzięte skłania do wysunięcia nader zaskakującej w pierwszej chwili hipotezy, że układ Pluton-Charon jest podwójnym księżycem. Bez macierzystej planety!

Według hipotezy sprzed pół wieku wysuniętej przez Issei Yamamoto i Raymonda A. Lyttletona Pluton to „zbiegły” księżyc Neptuna. Obecnie, po odkryciu Charona, hipotezę Yamamoto-Lyttletona uwspółcześili dwaj inni astronomowie – Robert S. Harrington i Thomas van Flandern. Według nich w Układzie Słonecznym istnieje jeszcze jedno ciało (planeta X?), które musiało dawno temu zbliżyć się do układu Neptuna silnie oddziałując na niego grawitacyjnie. Miało to wywołać ogromne zmiany w układzie Neptuna. Obliczenia modelujące taką sytuację wykazały, że zbliżenie do układu Neptuna ciała o masie równej niemal cztery masy Ziemi mogłoby odwrócić ruch orbitalny Trytona, „spłaszczyć” orbitę Nereidy, przerzucić proto-Plutona z orbity okołoneptunowej na wokółsłoneczną. Jednocześnie siły przyprytywowe miałyby oderwać od proto-Plutona znaczny fragment materii, który stał się jego księżycem – obecnym Charonem.

Lodowato milczący świat Plutona i Charona nie wydaje się jednak całkiem zamarty, „ujednolicony”. Obserwacje fotometryczne, spektrometryczne i polarymetryczne dowodzą zmienności powierzchni Plutona i zachodzenia na niej pewnych procesów. Stwierdzono na przykład pojawienie się rozrzedzonej atmosfery metanowej (być może nawet metanowo-wodorowej). Powstanie atmosfery – z powodu zbliżania się Plutona do punktu peryhelium (punktu przysłonecznego) swojej orbity – miałyby wyjaśnić zmniejszanie się zdolności odbijającej (albedo) powierzchni planety. Jednak swój udział w zmianach albedo ma również nachylenie osi rotacji Plutona a w związku z tym wielkość ciśnienia atmosfery planety została zapewne zawyżona. Pościemnienie tarczy Plutona jest bowiem efektem wypadkowym. Okazało się ponadto, że powierzchnia Charona musi być pokryta czymś innym niż powierzchnia Plutona – ze względu na różnicę albedo i zabarwienia.

Nieprawdą jest również, że „Pluton porusza się w gęstym mroku” lub że „tonie w mroku”. Nawet kiedy układ jest w punkcie odsłonecznym orbity, nasza Gwiazda Dzienna świeci jako bardzo jaskrawy obiekt punktowy o jasności minus 18,2 wielkości gwiazdowej, czyli niemal dwieście razy jaśniejszy niż nasz Księżyc w pełni! Kiedy układ znajduje się w peryhelium – co właśnie zdarzyło się w 1989 roku – to Słońce osiąga nieco większą jasność niż dla hipotetycznego obserwatora w układzie Neptuna.

Jasność Słońca obserwowanego z Plutona i Charona zmienia się zatem – od peryhelium do aphelium – o ponad jedną wielkość gwiazdową. Tak duża zmiana jasności widomej naszej Gwiazdy Diennej pociąga za sobą poważne zmiany w nasłonecznieniu powierzchni obu globów. W punkcie przysłonecznym orbity temperatura na powierzchni tych globów może osiągnąć około minus 200°C. A zatem przebieg pół roku (trwającego 248 lat ziemskich) jest bardziej regulowany zmianami odległości układu Plutona od Słońca niż



Fot. 1. Obraz Plutona oraz jego księżyc Charona uzyskany we Flagstaff. Fot. 2. Nadziemne zdjęcie Plutona i Charona wykonane dzięki technice interferometrii plamkowej. Fot. 3. Obraz Plutona i Charona przekazany przez HST.

nachyleniem osi obrotu planety do płaszczyzny orbity, jak to jest w przypadku Ziemi. Choć... każdy z biegunów nie jest przecież oświetlany przez 124 lata – stąd wniosek, że klimat na tych księżycach bez planety kształtuje i zmiana odległości od Słońca, i nachylenie osi do płaszczyzny orbity.

Charon – oglądany ze stałe zwróconej ku księżycowi półkuli Plutona – ma rozmiary kątowe ponad $3,5^\circ$ (siedem razy większe od naszego Księżyca) i może osiągać w pełni jasność około minus 10 wielkości gwiazdowej, przy czym zmiana faz będzie zachodziła z okresem niemal tygodniowym (według naszej rachuby czasu). Dla obserwatora na Plutonie doba będzie zarazem równa miesiącowi – w południe Charon będzie w nowiu, o północy w pełni, ale oglądać go będzie można tylko z jednej półkuli Plutona. Obserwator na drugiej półkuli nigdy nie zobaczy Charona, podobnie jak obserwator- astronauta na odwrotnej stronie Charona nigdy nie zobaczy Plutona.

Natomiast obserwator znajdujący się na zwróconej ku Plutonowi półkuli Charona będzie

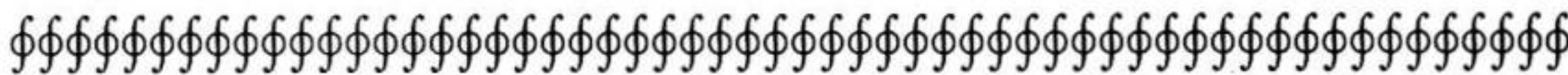
możliwi widzieć duży dysk o średnicy kątowej blisko 7° , który może osiągnąć maksymalny blask równy jasności naszego Księżyca w pełni (około minus 13 wielkości gwiazdowej).

Co sto dwadzieścia lat obserwator na Plutonie będzie mógł oglądać zaćmienia (zakrycia) Słońca przez Charona oraz zaćmienia Charona przez Plutona, zaś obserwator na Charonie będzie mógł obserwować wędrówkę cienia Charona po powierzchni Plutona i zakrycia Słońca przez tarczę Plutona. Za najbliższe 120 lat układ Plutona znajdzie się w aphelium swojej orbity; być może Ziemia zdecyduje się wysłać tam wtedy astronautów.

Pluton jest osobliwym ciałem Układu Słonecznego ze względu na swoje parametry dynamiczne, fizyczne i geometryczne. Wyróżnia się ponadto tym, że obiega go stacjonarny satelita o potężnych, w porównaniu z Plutonem, rozmiarach. Jest Pluton niewielką „planetą” o dość nieregularnej powierzchni, jaśniejszej i... chłodniejszej od powierzchni Charona. Ten z kolei najbardziej przypomina lodowe księżyce planet-olbrzymów, a zwłaszcza Mirandę – księżyc Urana.

Nie wiemy jeszcze, czy można się spodziewać kraterów na powierzchni Plutona i Charona. Przekazane przez Hubble Space Telescope zdjęcie nie pozwala dostrzec takich szczegółów (fot. 3). Ale przekazane przez sondy kosmiczne obrazy księżyców Jowisza, Saturna, Urana i Neptuna (w szczególności Trytona) potwierdziły powszechność występowania tego typu utworów na wszelkich globach mających stałą powierzchnię. Nie jest jednak pewne, czy na tych dwóch odległych globach pozostałyby widoczne jakieś kratery. Powierzchnia – zarówno Plutona jak i Charona – jest pokryta lodem (metanowym bądź wodnym). Znaczne wahania temperatury od aphelium do peryhelium, od zimy do lata, mogły spowodować w ciągu milionoleci zatarcie śladów kraterów, a nawet owego ewentualnego kataklizmu, na skutek „corocznej” przebudowy powierzchni tych ciał.

Rozstrzygnięcie tego problemu mogłaby przynieść kolejna misja astronautyczna. Niestety, na odkrycie domniemanych kraterów na Plutonie i Charonie przyjdzie nam jeszcze poczekać – co najmniej dwadzieścia lat.



Pokwitowanie dla wpłacającego

Odcinek dla posiadacza rachunku

Odcinek dla banku

zł _____

słownie _____

WPŁACAJĄCY
imię _____
nazwisko _____

ADRES _____

_____ - _____
kod pocztowy _____

zł _____

słownie _____

WPŁACAJĄCY
imię _____
nazwisko _____

ADRES _____

_____ - _____
kod pocztowy _____

zł _____

słownie _____

WPŁACAJĄCY
imię _____
nazwisko _____

ADRES _____

_____ - _____
kod pocztowy _____

na rachunek

na rachunek

na rachunek

KANT IMM sp. z o.o.

02-606 Warszawa, ul. Odyńca 1A/1

PBK VIII O/Warszawa

370028-804796-136

KANT IMM sp. z o.o.

02-606 Warszawa, ul. Odyńca 1A/1

PBK VIII O/Warszawa

370028-804796-136

KANT IMM sp. z o.o.

02-606 Warszawa, ul. Odyńca 1A/1

PBK VIII O/Warszawa

370028-804796-136

stempel

pobrano opłatę

podpis przyjmującego

zł _____

stempel

pobrano opłatę

podpis przyjmującego

zł _____

stempel

pobrano opłatę

podpis przyjmującego

zł _____



Craig Shaw Gardner

BATMAN

Powieść, która nie może tak jak kino działać sugestywną wizją reżysera, musi oddać słowem zarówno materię, jak i ducha. Musi mieć walor literackości. Dlatego

PAPIEROWY BATMAN

nie czytamy (a przynajmniej rzadko) scenariuszy, lecz powieści. A „Batman” jest tylko kiepskim scenariuszem. W dodatku razi niestaranność tłumaczenia i redakcji. Co chwila spotykamy takie kwiatki, jak „prysznic kul”, „kielich przepelniał się w studiu telewizyjnym”, czy „dodał żując język”.

Tu przypomina się anegdota o tym, jak pewien Amerykanin mieszkający w Japonii zachwycił się opowiadaniem, które tam przeczytał. Nie wiedząc, że jest to tłumaczenie, przełożył utwór na angielski, otrzymując opowiadanie zupełnie odmienne od oryginału. Podobny efekt może wystąpić przy przekładach z języka literackiego na filmowy i odwrotnie. Film nigdy nie jest kopią książki, często realizatorzy wprowadzają istotne zmiany fabularne, rozwijają jedne wątki, pomijają inne, zmieniają zakończenia; na podstawie filmu można napisać nową książkę, która będzie się zasadniczo różnić od pierwowzoru. (Można sobie wręcz wyobrazić kolejny film nakręcony na podstawie tej nowej książki i jakąś książkę powstałą w oparciu o ten film. Pomysł ten tylko w pierwszej chwili wydaje się absurdalny.)

Na razie czeka nas istna lawina książek „postfilmowych”, wielu wydawców ostrzy sobie na nie zęby, toż to istna żyła złota. Ale obawiam się, że miłośnicy literatury nie mają się z czego cieszyć. Po filmie „Batman” zostaje przynajmniej w pamięci obraz miasta, przez które pędzi samochód człowieka-nietoperza. Po przeczytaniu książki nic.

Dorota Malinowska

Craig Shaw Gardner: *Batman*. Przeł. Barbara Nollender. Alfa, Warszawa 1990.

* Komiks „Batman” był drukowany w latach 1939-1966. Ostatnią adaptację filmową zrealizował Tim Burton w 1988 r. Rok później na rynku amerykańskim pojawiła się napisana na podstawie filmu książka, której przekład polski właśnie omawiamy.

 _____

„Nowa Fantastyka” – w kiosku **8000 zł**, a w prenumeracie **TYLKO 7000 zł!**

NOWA
Fantastyka

Aby zaprenumerować któreś z tych czasopism (lub oba), należy wpłacić odpowiednią kwotę na nasze konto bankowe np. za pomocą przekazu zamieszczonego na odwrocie. Zamówione egzemplarze będziemy wysyłać pocztą (w kopertach), korzystając z adresu podanego nam na przekazie. W cenę prenumeraty wliczyliśmy już koszty wysyłki

—PRENUMERATA PÓŁROCZNA—

Nr dotychczas. prenumeraty

NOWA
Fantastyka

Cena półrocznej prenumeraty „Nowej Fantastyki” wynosi 42 000 zł za komplet

—PRENUMERATA PÓŁROCZNA—

Nr dotychczas. prenumeraty

NOWA
Fantastyka

Osobom zamawiającym jednocześnie „Nową Fantastykę” i „Komiks” lub kilka kompletów któregoś z pism proponujemy niższe ceny w związku z niższymi kosztami wysyłki: „Nowa Fantastyka” - półrocznie 39 000 zł za każdy komplet, „Komiks” - półrocznie 48 000 zł za każdy komplet. Przykład: półroczna prenumerata jednocześnie „Nowej Fantastyki” i „Komiksu” kosztuje 87 000 zł. *Wydawca*

Wydawca

—PRENUMERATA PÓŁROCZNA—

Nr dotychczas. prenumeraty

POLSKIE NAGRANIA

największa firma
fonograficzna w Polsce

PRZEDSTAWIA

Magiczny Kamień



SZCZEGÓŁOWE INFORMACJE W NASZYCH SKLEPACH FIRMOWYCH:

00-357 WARSZAWA, UL. NOWY ŚWIAT 68 ☎ 26-13-76

02-603 WARSZAWA, UL. PUŁAWSKA 66/70 ☎ 45-17-41

01-249 WARSZAWA, UL. GOLESZOWSKA 6 ☎ 37-35-10 WEW. 206

POLSKIE NAGRANIA, UL. GOLESZOWSKA 6, 01-249 WARSZAWA

☎ 37-35-10, TELEX: 817831 FONAG PL, FAX: 37-37-35



Przyjdź, zobacz, wybierz, co miesiąc nowości!